POLSKI CZERWONY KRZYŻ

WYDAWNICTWO JUBILEUSZOWE ZARZĄDU GŁÓWN. P. C. K.

IN PACE ET IN BELLO CARITAS

1919 · 1929

WARSZAWA

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

1919—1929

WYDAWNICTWO JUBILEUSZOWE NA DZIESIĘCIOLECIE ISTNIENIA POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA.

[NR 5]

NAKŁADEM ADMINISTRACJI MIES. „POLSKI CZERWONY KRZYŻ", OFICJALNEGO ORGANU POLSK. CZERW. KRZYŻA, WYDAWANEGO PRZEZ ZARZĄD GŁ. P. C. K.
WARSZAWA — 1929.

Słowo wstępne.

W ROKU BIEŻĄCYM UPŁYWA DZIESIĘĆ LAT ISTNIENIA POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA W WOLNEJ RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

JAKO JEDNA Z PIERWSZYCH PLACÓWEK SPOŁECZNYCH, POWOŁANYCH DO ŻYCIA Z CHWILĄ ODRODZENIA NIEPODLEGŁEJ POLSKI, POLSKI CZERWONY KRZYŻ POWSTAŁ W TRUDZIE I ZNOJU CIOSANIA PODWALIN POD BUDOWĘ PAŃSTWA POLSKIEGO I PRZEZ CAŁY CIĄG PIERWSZEGO DZIESIĄTKA LAT SKUPIAŁ I WYTĘŻAŁ SIŁY, BY SPROSTAĆ SWYM ZADANIOM I POWOŁANIU.

W CZASIE POŻOGI WOJENNEJ, KIEDY KRWAWĄ DANINĘ SKŁADALI NASI BRACIA I OJCOWIE ZAGROŻONEJ OJCZYŹNIE, GDZIE TYLKO BÓL I NIEDOLA WYCISKAŁY SWE PIĘTNO, TAM DĄŻYŁ POLSKI CZERWONY KRZYŻ, KOIŁ CIERPIENIA, NIÓSŁ POMOC, OCIERAŁ ŁZY, ZAPOBIEGAŁ CHOROBOM.

MIMO, ŻE W ZARANIU SWEGO POWSTANIA NIE ROZPORZĄDZAŁ ODPOWIEDNIEMI ŚRODKAMI, ANI W ZAOPATRZENIU MATERJAŁOWEM SPRZĘTU, ANI LUDZI, CHLUBNIE ZAPISAŁ KARTY SWEJ HISTORJI W CZASIE WOJNY, ZAWSZE PEŁNIĄC WYTRWALE SWOJE OBOWIĄZKI.

TO TEŻ POZYSKAŁ PEŁNE POPARCIE SPOŁECZEŃSTWA, KTÓRE POZWOLIŁO PO SKOŃCZONEJ WOJNIE DALEJ PROWADZIĆ PRACĘ, W PRZYSTOSOWANIU DO WARUNKÓW I POTRZEB POKOJOWYCH.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ, JAKO INSTYTUCJA WYBITNIE POKOJOWA, OPARTA O ZASADY IDEI MIŁOŚCI BLIŹNIEGO, PROWADZI PRACĘ SAMARYTAŃSKĄ I HUMANITARNĄ, JEST ZAWSZE GOTOWY DO NIESIENIA POMOCY LUDNOŚCI W WYPADKACH KATAKLIZMÓW OGÓLNYCH, JAK POWODZIE, WYBUCHY, EPIDEMJE ETC. POLSKI CZERWONY KRZYŻ W CZASIE POKOJU PROWADZI I BUDUJE SZPITALE, LECZNICE I AMBULATARJA, TWORZY DRUŻYNY SANITARNE, KSZTAŁCI ZASTĘPY PIELĘGNIAREK, SKUPIA MŁODZIEŻ POD SWE SZTANDARY, BUDZĄC W NIEJ SWE SZCZYTNE IDEE, DOŻYWIA BIEDNĄ LUDNOŚĆ, OPIEKUJE SIĘ CHORYM ŻOŁNIERZEM ETC. ETC.

ZARZĄD GŁÓWNY POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA Z OKAZJI DZIESIĘCIOLECIA ISTNIENIA INSTYTUCJI, PRAGNĄC ZŁOŻYĆ SPOŁECZEŃSTWU POLSKIEMU SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI W CIĄGU PIERWSZEGO DZIESIĄTKA LAT, OPRACOWAŁ NINIEJSZE WYDAWNICTWO I ODDAJE JE DO RĄK SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO W PRZEŚWIADCZENIU, ŻE PRZYCZYNI SIĘ ONO DO SZERSZEGO ZAINTERESOWANIA PRACĄ INSTYTUCJI, ORAZ WZMOŻE PROPAGANDĘ HUMANITARNYCH IDEI POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA.

REDAKCJA.

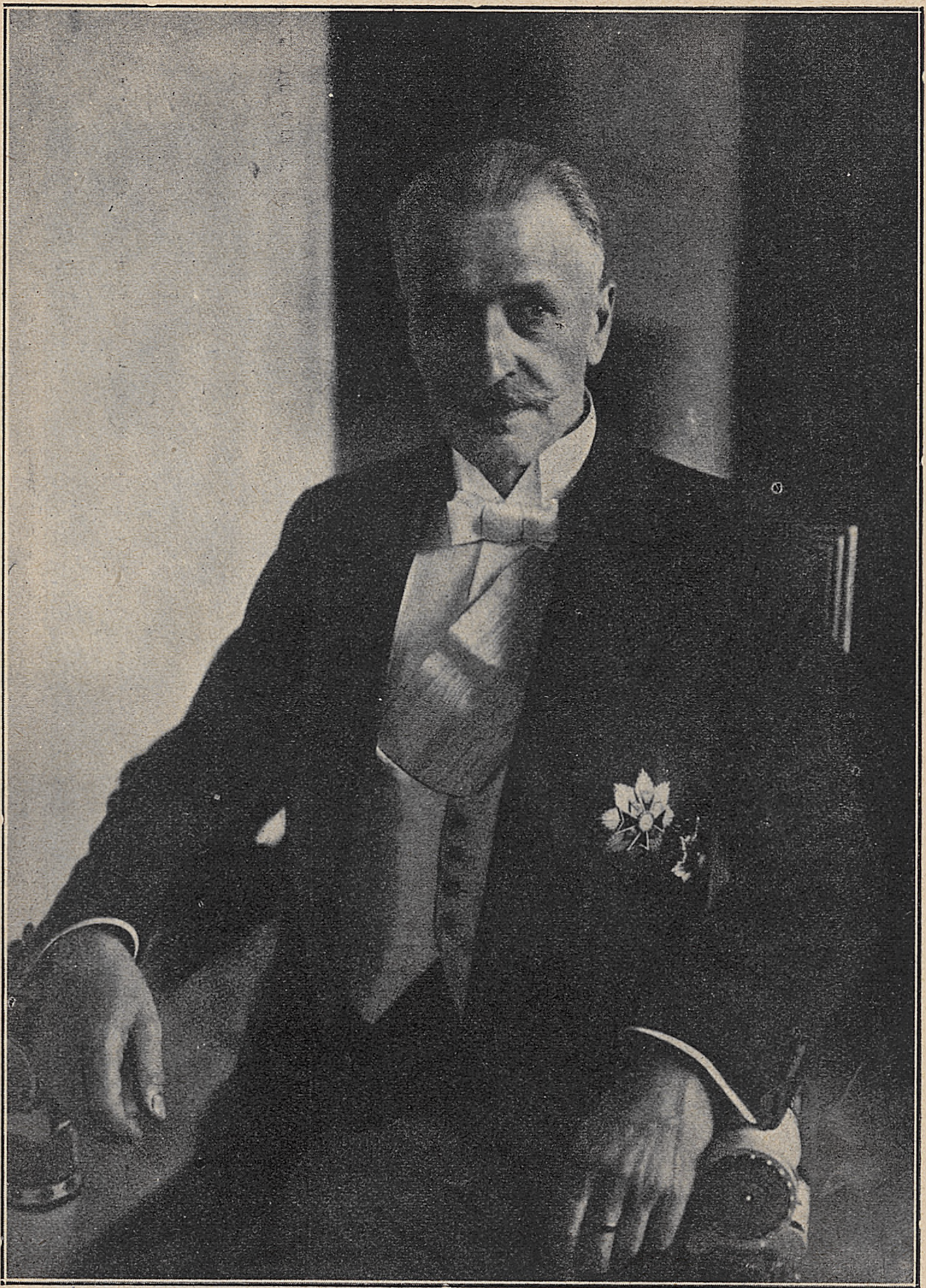
KOMITET REDAKCYJNY:
ANNA ROSZKOWSKA, LEOPOLD RUTKOWSKI, DR. LUDWIK ZEMBRZUSKI.
Redaktor odpow.: ZOFJA WOŁŁOWICZOWA. Naczelny Redaktor: ANNA ROSZKOWSKA
Wydawca: FELICJAN KUROK za Zarząd Główny P. C. K.

Redakcja — Warszawa, Smolna 6, telefon Nr. 61-71.

Administracja — Warszawa, Mazowiecka 9, m. 7, telefon Nr. 302-96.

Konto czekowe w P. K. O. — Nr. 12-762.

Tekst wykonano w Drukarni Związku Pracowników Administracji Gminnej Rz. P. — Warszawa, Pl. Krasińskich 6. Telefon Nr. 44-04.

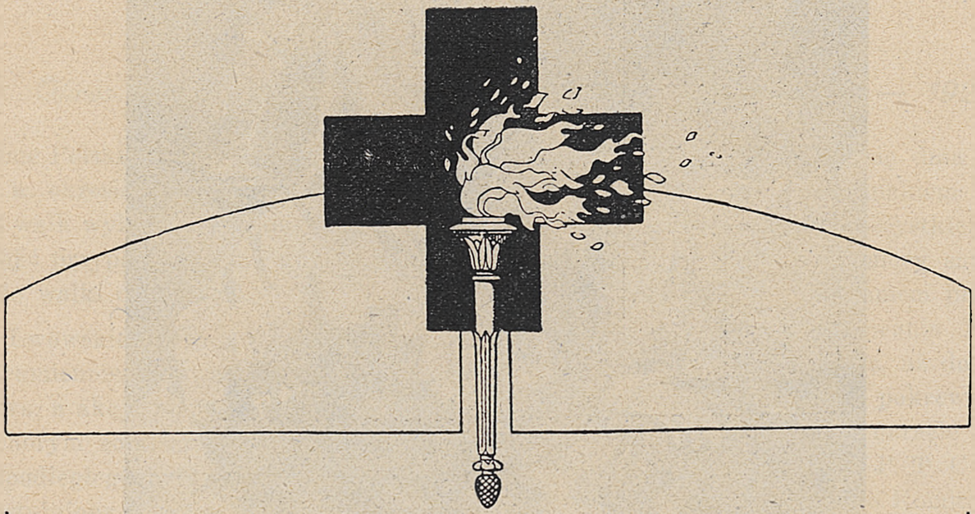


Mościcki

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ,
PROTEKTOR POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA.



MARSZAŁEK POLSKI JÓZEF PIŁSUDSKI
NACZELNIK PAŃSTWA W CHWILI POWSTANIA POLSKIEGO
CZERWONEGO KRZYŻA.



PRAWDZIWIE MIŁOSIERNY ODNAJDUJE W NIESZCZĘŚLIWYM SIEBIE SAMEGO, POCZUCIE BOWIEM LUDZKOŚCI W NIM SIĘ WTEDY BUDZI, CZUJE SIĘ CZŁOWIEKIEM, GDY CZŁOWIEKA WSPOMAGA.

MIŁOSIERDZIE PODNOSI CZŁOWIEKA DO BOGA I BOGA SKŁANIA KU CZŁOWIEKOWI, BO KTO LITUJE SIĘ NAD NIESZCZĘŚLIWYM, U BOGA ZLITOWANIE ZNAJDUJE, JAKO CHRYSTUS BYŁ POWIEDZIAŁ: BŁOGOSŁAWIENI MIŁOSIERNI, ALBOWIEM ONI MIŁOSIERDZIA DOSTĄPIĄ.

† Ks. Antoni Szlagowski
Biskup Sufragan Warszawski



Uznanie Polskiego Czerwonego Krzyża

przez Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża w Genewie.

Do PP. Prezesów i Członków Komitetów Centralnych Czerwonego Krzyża.

Panowie!

Już od dość dawna ukonstytuowało się w Warszawie T-wo Pol. Czerw. Krzyża. Nie było ono ogólno narodowem. Rozmaite organizacje Czerw. Krzyża istniały w Krakowie i w Galicji. Tym wszystkim Oddziałom udało się połączyć w celu utworzenia Czerw. Krzyża Polskiego i 15 kwietnia 1919 r. Rząd Polski zatwierdził Statut przyjęty poprzednio przez Walne Zebranie Towarzystwa.

W tym pierwszym Statucie odczuwały się pewne braki, które niezbędnem było zapełnić. Mianowicie należało uznać nowopowstałe Towarzystwo jako narodowe T-wo Czerw. Krzyża i jako organizację pomocniczą sanitarnej służby wojskowej. Niezbędne poprawki zostały wkrótce wprowadzone do Statutu, który odpowiada obecnie zasadniczym i jednolitym warunkom, które przez każde nowe Narodowe T-wo powinny być wypełniane.

Prócz tego Rząd Polski, uznany jako Rząd niezależny, został upoważniony do podpisania wobec Szwajcarskiej Rady Federalnej-Konwencji Genewskiej z 1906 roku.

Uznajemy zatem z radosnem uczuciem Polskie T-wo Czerw. Krzyża jako ostatecznie i urzędowo ukonstytuowane i uwierzytelniamy takowe u innych dawniejszych Towarzystw, pośród których Polski Czerw. Krzyż zajmie miejsce narówni z innemi, jako nowy i uprawniony członek.

Niepotrzebujemy oczywiście polecać sympatji i przychylności Panów Towarzystwo Polskiego Czerwonego Krzyża.

Towarzystwo urzęduje w Warszawie.

Wkrótce zgodnie z tradycją ogłosimy Statuty jak również skład Zarządu i dekret Rządowy, zatwierdzający Towarzystwo

Za Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża

Prezes Edward Naville.

Wice-Prezes Adolf D'Espine.

Genewa, 14 lipca 1919 r.

Dziesięciolecie prac Polskiego Czerwonego Krzyża w świetle cyfr i faktów.

1. Okres pracy P. C. K. podczas wojny i repatrjacji (1919 — 1922).

Powstanie Polskiego Czerwonego Krzyża miało miejsce w okresie, gdy Państwo znajdowało się w ogniu walk wykuwania granic Rzeczypospolitej Polskiej i przypada na czas, gdy wojsko polskie idzie do walki o obronę Lwowa.

Orlęta Lwowskie zrywają się do lotu, krew żołnierza strumieniem spływa w bojach o wolność i byt państwa, a akcja pomocy armji, opieka nad rannym i chorym żołnierzem w dobie tworzenia zrębów niepodległego bytu jest znikoma, rozbita i nieujednostajniona.

Dewiza Czerwonokrzyska „Inter arma caritas", oparta na zasadach uchwał Konwencji Genewskich z 1864 i 1906 i w zastosowaniu do wojny morskiej z 1907 r. oraz Konwencji Haskiej z 1899 daje podstawę do utworzenia Polskiego Czerwonego Krzyża.

Przytaczamy nazwy instytucji, które w tym czasie w Warszawie zajmowały się potrzebami armji: Towarzystwo Opieki Wojennej, Pogotowie Wojenne Kobiet Polskich, Związek Kobiet, P. K. P. S. (Polski Komitet Pomocy Sanitarnej), Wydział Pomocy dla Inwalidów, Polskie Towarzystwo Niesienia pomocy ofiarom wojny, Sanitarjusz Polski, Akademicki Komitet Pomocy dla studentów-żołnierzy, Pogotowie Ratunkowe, Centralny Komitet Opieki nad żołnierzem polskim. Wiele z tych instytucji miały już liczne swoje filje w całej Polsce.

Dnia 18 stycznia 1919 roku Sanitarjusz Polski zwołał do sali hotelu „Bristol" naradę wszystkich instytucji, które opiekowały się żołnierzem, organizacyj społecznych, magistratu, sfer wojskowych i rządowych dla ujednostajnienia pracy. Przewodnictwo honorowe objęła pani Paderewska i generał Hordyński, obradom przewodniczył dr. J. Zawadzki.

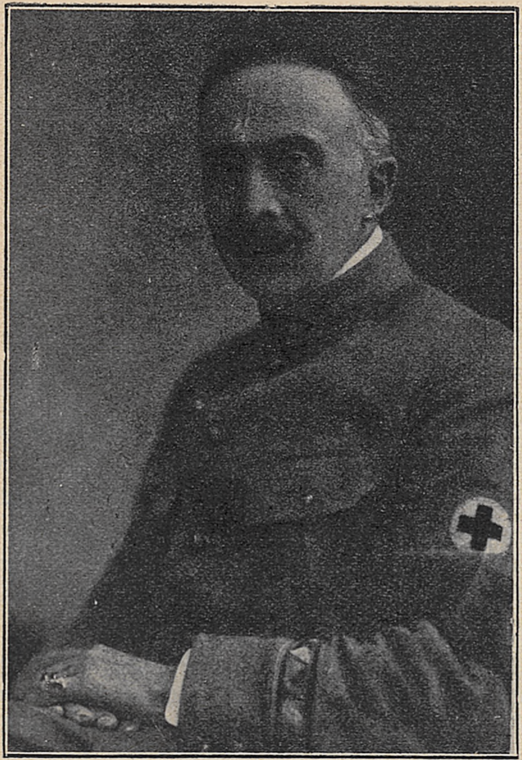
Po ożywionej dyskusji obrano 4 organizacje, które miały stworzyć Polski Czerwony Krzyż: Centralny Komitet Opieki nad żołnierzem, Pogotowie Ratunkowe, Sanitarjusz Polski i Polski Komitet Pomocy Sanitarnej.

Organizacje te zebrały się dnia 20 stycznia i uchwaliły stworzyć pod znakiem Czerwonego Krzyża organizowaną akcję wszystkich instytucyj, działających w kierunku pomocy sanitarnej dla żołnierza polskiego, a tem samem przyczynić się do ostatecznego ukonstytuowania Towarzystwa Polskiego Czerwonego Krzyża, aż do czasu zjednoczenia się z organizacjami pokrewnemi innych dzielnic. Akcja ta polegała narazie na utworzeniu Komitetu Tymczasowego P. T. C. K. z następujących instytucji: obecnego Komitetu P. K. P. S., Centralnego Komitetu opieki nad żołnierzem, Sanitarjusza Polskiego i Pogotowia Ratunkowego. Uchwałę tę podpisali: dr. J. Zawadzki, Dora Wisznicka, Irena Wasiutyńska, dr. Borzymowski, St. Dmochowski i Cz. Jankowski.

Grono osób bierze się raźno do pracy, w krótkim przeciągu czasu przedkłada opracowany projekt statutu, w którym jako cel istnienia P. C. K. zostaje ustalone, że T-wo zajmuje się niesieniem pomocy sanitarnej rannym i chorym żołnierzom wraz z odpowiedniemi instytucjami wojskowemi.

Rząd powołał na komisarza do spraw Polskiego Czerwonego Krzyża Władysława hr. Tyszkiewicza. Dnia 27 kwietnia 1919 roku rozpoczął się okres działalności prawnej Polskiego Czerwonego Krzyża. Komisarz zwołał Walne Zgromadzenie członków; po ożywionej dyskusji nad statutem, opracowanym na zaproszenie Komisarza Rządowego w porozumieniu z Wielkopolskim i Małopolskim Czerwonym Krzyżem, uchwalono przyjąć go tymczasowo i wybrano Komitet Główny, złożony z 30 osób dla kierownictwa sprawami Towarzystwa.

Do Komitetu powołano: ks. Sapiehę, Elżbietę marg. Wielopolską, Helenę Paderewską, ordyn. H. Bispingową, A. Wieniawskiego, Romanową hr. Potocką, dr. Grobelnego, dr. C. Meisnera, J. Przyjemską, dr. Pawlickiego, dr. Krzyżanowskiego, bar. H. Lesserową, E. Bonieckiego, B. Hummla, D. Wisznicką, dr. J. Borzymowskiego, dr. J. Zawadzkiego, M. Godlewskiego, prof. L. Kryńskiego, p. Weychertównę, M. Rodziewiczównę, H. Baryl-



Władysław Tyszkiewicz powołany przez Rząd polski na Komisarza do spraw P. T. C. K. (1919—1920).

skiego, K. Olchowicza, S. hr. Kossakowskiego, M. Kretkowską, ks. bisk. Galla, hr. J. Aleksandrowiczównę, P. Błeszyńską, Szpadkowskiego i ks. Nowakowskiego.

W dniu 4 maja z grona Komitetu wybrano Zarząd Główny w osobach: Prezes — ks. Sapieha, Wice-prezesi — ord. Bisping i p. Przyjemska, Skarbnik i Sekretarz — p. Edward Boniecki.

Na skutek zrzeczenia się ks. Sapiehy powołano niebawem na prezesa Helenę Paderewską.

Przystąpiono gorączkowo do pracy dla zdobycia środków i spoistego zorganizowania P. C. K. celem tworzenia koniecznych jednostek dla wojska.

Dla utrzymania stałego kontaktu z armją czynną P. C. K. ustanawia sześciu pełnomocników frontu i głównego inspektora frontu. Wobec braku ustalonego typu wojskowego różnych jednostek sanitarnych P. C. K. natrafiał czasami na wielkie trudności przy organizowaniu formacji Czerwonego Krzyża dla wojska. Z biegiem czasu, dzięki doświadczeniom, ustalono typ własny, który z powodzeniem służył na froncie.

W okresie walk z bolszewikami, Polski Czerwony Krzyż prowadził szereg instytucyj w kraju i na froncie, między któremi było: 15 szpitali frontowych na 1500 łóżek, 13 szpitali w kraju na 1625 łóżek, 5 zakładów dla ozdrowieńców na 860 łóżek, 6 pociągów sanitarnych i sanitarno-kąpielowych, 7 pociągów żywnościowych i opatrunkowych, 7 gabinetów dentystycznych, 5 kolumn dezynfekcyjnych, 7 pralni parowych o wielkiej wydajności, 8 kantyn, 6 herbaciarni, 2 patrole sanitarne, 68 bibljotek ruchomych z 6450 książkami, 4 stacje zborne dla rannych oraz oddziały lotne zaopatrzone w szczepionki dla ludności cywilnej i wiele innych.

Jak pracowały instytucje P. C. K. służyć mogą następujące dane. Szpital polowy Nr. 1 miał 36928 dni szpitalnych, licząc 54 oficerów i 4914 szeregowców. W powyższym szpitalu udzielono 6250 porad ambulatoryjnych i 5262 porad dentystycznych.

W zakładzie dla ozdrowieńców w Karolinie na 19130 dni zakładowych przebywało 70 oficerów, 445 szeregowców i 16 sióstr P. C. K.

Niezależnie od prowadzenia instytucji, P.C.K. rozdawał w szpitalach i formacjach wojskowych na froncie żywność, odzież, bieliznę, opatrunki, apteczki i t. p.

W okresie 1919 — 20 wydano między innemi: koszul, swetrów, palt, ubrań, kalesonów, skarpetek 305169 sztuk, kakao, czekolady, mąki, cukru, ryżu 348089 klg., tytuniu 1018 klg., papierosów 2458975 sztuk, mleka skondensowanego 9716 puszek, apteczek 382, pakietów indywidualnych 150000 sztuk, waty 1277 klg., bandaży 138453 szt., ligniny 1174 klg., gazy 50834 metr., 1800 paczek z książkami i t. d.

P. C. K. obsadzał instytucje swoje siostrami C. K. W tym celu zarejestrował 4255 sióstr, z tych 888 z własnych kursów.

W 1919 r. zostało założone biuro informacyjno-wywiadowcze, które zajmowało się rejestracją zmarłych i rannych żołnierzy, oraz wyszukiwaniem ich na żądanie rodzin. W 1919 — 20 r. kartoteki rejestracyjne zawierały 850000 nazwisk strat, 46000 spraw wywiadowczych i około 5000 nazwisk zmarłych w niewoli bolszewickiej (przeznaczonych dla komisji repatrjacyjnej).

Niezależnie od stałego kontaktu z armją frontową za pośrednictwem personelu P. C. K. został zorganizowany objazd frontu przez księży-posłów pod flagą P. C. K., członków Komitetu Gł. i przedstawicieli oddziałów P. C. K.

Poza działalnością dla armji czynnej P. C. K. poświęcał dużo uwagi i energji sprawie jeńców.

Przeprowadzał korespondencję i starał się o zwalnianie jeńców, będących we Włoszech, Czechosłowacji, Rumunji i Francji. Dla uzyskania pomocy dla akcji ratowniczej porozumiewano się z Czerwonym Krzyżem z Ameryki, Danji i Holandji. Do Rosji i na Ukrainę wysłano 2714 listów.

Z Sowieckim Czerwonym Krzyżem w sprawie wymiany jeńców zawarto w Mikaszewiczach umowę, którą następnie włączono do traktatu pokojowego z dnia 18.III.1921 r.

P. C. K. bierze udział w przewozie i zaopatrywaniu jeńców, przeprowadza ich rejestrację, która od 20.II.21 do 15.IX.21 zawiera około 10000 nazwisk, oraz około 15000 nazwisk V Dywizji Syberyjskiej.

Również pośredniczono między jeńcami, a rodzinami jeńców, udzielono pomocy jeńcom Polakom w Sowietach przez delegatkę P. C. K. p. Pieszkową.

P. C. K. stale czuwał nad obozami jeńców internowanych w Modlinie, Brześciu n/Bugiem, Dęblinie, Dąbiu, Strzałkowie, udzielając pomocy jeńcom bolszewickim za pośrednictwem delegatki Sowieckiego Czerw. Krzyża p. Sempołowskiej.

Poza żołnierzami P. C. K. zajął się zdemobilizowaną młodzieżą, urządzając 6 burs dla 300 uczniów, dając im możność dalszego kształcenia się po trudach wojennych.

Nie obojętną również była P. C. K. dola inwalidów, w szczególności ociemniałych, których w liczbie 42 umieszczono w Bydgoszczy i odpowiednio przeszkolono.

P. C. K. ograniczając w tym okresie z konieczności pomoc dla ludności cywilnej, dotkniętej katastrofą wojny, utworzył 3 szpitale zakaźne na 450 łóżek, ochrony w Mińsku, Stanisławowie, Tarnopolu it .d.

W styczniu 1920 r. specjalna misja przewiozła do kraju 1000 uchodźców z Ukrainy, następnie wysłano delegację do Humania i Rumunji po uchodźców, delegatkę na Syberję oraz 3 pociągi ratownicze.

Tysiące uchodźców w 1920 r. otrzymało żywność, bieliznę i ubranie, a na cele walki z chorobami zakaźnemi i na pomoc dla dzieci wydano około 3 miljonów marek.

W 1921 r. wobec zakończenia wojny i podpisania traktatu pokojowego P. C. K. likwiduje swą pracę wojenną, pozostawiając tylko pełnomocnictwo przy II armji, które oddano na usługi akcji repatrjacyjnej. W tym okresie szereg instytucyj



Helena Paderewska, Prezes Komitetu Gł. P. T. C. K. (1919—1920).

czerwonokrzyskich pracuje jeszcze bardzo intensywnie, co stwierdzają poniższe cyfry: Szpital etapowy w Kowlu Nr. 23 do maja 1921 r. miał 17400 dni szpitalnych, lecząc 1574 chorych. Szpital polowy Nr. 301 miał do kwietnia 1921 r. 8274 dni szpitalnych, lecząc 358 chorych, Szpital im. kr. Elżbiety Belgijskiej w Brześciu n/Bugiem do października 1921 r. miał 15541 dni szpitalnych, lecząc 770 chorych, Szpital epidemiczny w Słonimie w ciągu 1921 r. leczył 2805 chorych przez 75509 dni szpitalnych i udzielił 1928 porad ambulatoryjnych.

W 1921 r. punkty opatrunkowo-żywnościowe i herbaciarne wydały 2076191 porcyj, z czego 479326 porcyj bezpłatnych.

Kolumny dezynfekcyjno-kąpielowe wykąpały w tym okresie 32151 osoby, wydezynfekowały 51370 sztuk ubrań i bielizny, zamieniły 3917 sztuk i wydały 2835 sztuk nowej bielizny.

Na stacjach sanitarnych w Warszawie wykąpano 21838 osób, wydezynfekowano 145863 sztuk ubrań i bielizny, wyprano 223392 sztuk, zamieniono 6385 sztuk i wydano nowej 2950 sztuk. Także stacja w Pińsku była czynna zaledwie 1 miesiąc.

W dalszym ciągu w roku 1921 wydano przez pełnomocników 76600 szt. bielizny; 37365 klg. produktów, 420000 sztuk papierosów.

Po podpisaniu traktatu pokojowego i przejęciu przez Rząd spraw jeńców, P. C. K. zajmował się nadal pośredniczeniem w wymianie listów mię-

dzy jeńcami i ich rodzinami. W okresie 1921 r. przesłano do Sowietów 20750 listów zwyczajnych, 780 pieniężnych. W biurze informacyjnym z powodu zakończenia wojny i ruchu repatrjacyjnego zarejestrowano zgórą 400000 nazwisk z czasu ofenzywy 1920 roku.

Na punktach wymiany jeńców w Równem i Baranowiczach urzędnicy P. C. K. ustalili 1000 nazwisk osób zmarłych lub rozstrzelanych.

Delegatura P. C. K. zorganizowana w Moskwie we wrześniu 1920 roku do chwili objęcia przez Rząd Polski w 1921 r. opieki nad jeńcami, zorganizowała dla jeńców i zakładników pomoc materjalną, prawną, informacyjną i lekarską, i w 1921 roku wydano 57666 porcyj pożywienia, 5500 puszek mleka, 3000000 papierosów, 2500 kompletów bielizny, 165 par obuwia, 1200 szt. ubrań, 215000 klg. produktów. Z pomocy korzystało 19250 osób. Poza delegaturą w Moskwie istniały oddziały P. C. K. w Charbinie, we Władywostoku, Nikolsku Ussuryskim, które brały czynny udział przy wysyłce dzieci polskich z Syberji.

Szpital przy ul. Smolnej w Warszawie w 1921 r. obsługiwał jeszcze wojsko, jak również Szpital Św. Antoniego oraz zakład dla uzdrowieńców w Karolinie.

Sanatorjum w Zakopanem zostało Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi zwrócone w 1921 r. i wymagało znacznych nakładów pieniężnych. W końcu 1921 r. w Sanatorjum uruchomiono 212 łóżek, z tych 170 oddano do dyspozycji wojska.



Helena Bispingowa, Wiceprezes Zarz. Gł. P. T. C. K. (1919—1921).

W dalszym ciągu tak jak w roku poprzednim P. C. K. prowadził w Warszawie 3 bursy dla zdemobilizowanej młodzieży w liczbie 217.

Polski Czerwony Krzyż zmuszony był również zająć się zdemobilizowanemi żołnierzami, których zaopatrzył w bieliznę, ubrania, płaszcze i obuwie. Podobna pomoc była również okazana inteligencji, znajdującej się w tym okresie w bardzo krytycznem położeniu. Prócz tego wydano 1000 wyprawek dla niemowląt, 1398 klg. produktów, 223 puszek mleka oraz 219 paczek indywidualnych.

W roku 1921 Polski Czerwony Krzyż, mając do dyspozycji 5644 sióstr, przydzielił do szpitali 1985 sióstr, zwalniając 1166.

Wobec nader trudnych warunków wyżywienia na Górnym Śląsku podczas powstania w 1921 r., P. C. K. podjął akcję pomocy żywnościowej i sanitarnej, akcja ta trwała od 20.V.1921 r. do 4.VII.21 i została ukończona z chwilą objęcia władzy przez państwa sprzymierzone na Górnym Śląsku. Ogółem zakupiono różnych produktów 1422 wagonów za 467472689 mk. oraz wysłano 250 wagonów darów.

Dla powstańców uruchomiono 3 stałe i 2 ruchome punkty sanitarno-odżywcze, które wydały 90000 porcyj żywności. Na punkcie sanitarnym w Sosnowcu udzielono przeszło 2000 opatrunków, pozatem był również czynny lotny oddział sanitarny w składzie 5 wagonów.

Powstańcom wydano 5000 pakietów indywidualnych, oraz komplety bielizny, ubrania, koce, produkty żywnościowe i środki opatrunkowe.

Uruchomiono również dla powstańców szpital w Sosnowcu na 200 łóżek. Po zlikwidowaniu powstania delegat P. C. K. brał udział w Komisji Międzynarodowej Czerw. Krzyża do wymiany jeńców w Opolu. W 6 transportach przyjęto 1392 jeńców Polaków i wydano 1163 jeńców niemców.

Delegaci P. C. K. objeżdżali tereny walk i szpitale w bardzo trudnych warunkach, biorąc udział w wywożeniu rannych powstańców z różnych szpitali polskich, pozatem zbierali informacje co do poległych powstańców na Śląsku.

Rok 1922 to okres ostatecznej likwidacji instytucji wojennych i prowadzenia w dalszym ciągu przeważnie akcji pomocy dla repatrjantów. Dane cyfrowe pomocy repatrjantom wynosiły: w szpitalu w Baranowiczach (100 łóżek) leczono 940 chorych podczas 11992 dni szpitalnych,

w żłóbku przebywało 146 dzieci, na stacji higjenicznej wykąpano 1773 dzieci i wydano 11500 porcyj mlecznych. Rozdano repatrjantom 11337 szt. bielizny, odzieży i obuwia. Na punktach żywnościowo-opatrunkowych udzielono 10800 porad lekarskich i rozdano 390000 porcyj żywnościowych.

Szpital epidemiczny w Słonimie, działający poprzednio dla wojska obsługiwał w 1922 r. repatrjantów, liczba chorych wyniosła 2582 osób.

P. C. K. współdziałając z Komitetem Brytyjskim zajął się wysłaniem do Belgji 207 dzieci rosyjskich.

Po przeprowadzeniu kosztownych remontów w szpitalu na Smolnej i w Zakopanem praca w tych zakładach rozwijała się w dalszym ciągu.

Polski Czerwony Krzyż, stworzony samorzutnie w dobie ciężkiej potrzeby w okresie 1919—22, niósł w miarę możności i sił wyżej wymienioną pomoc i opiekę sanitarną i społeczną, opierając się na zasobach materjalnych, które powstały z ofiarności publicznej i dzięki wydatnej pomocy zagranicznych Towarzystw Czerwonego Krzyża. Należy zaznaczyć, że pomoc ta była bardzo wydatną w chwili powstania P. C. K. i podczas trwania wojny.

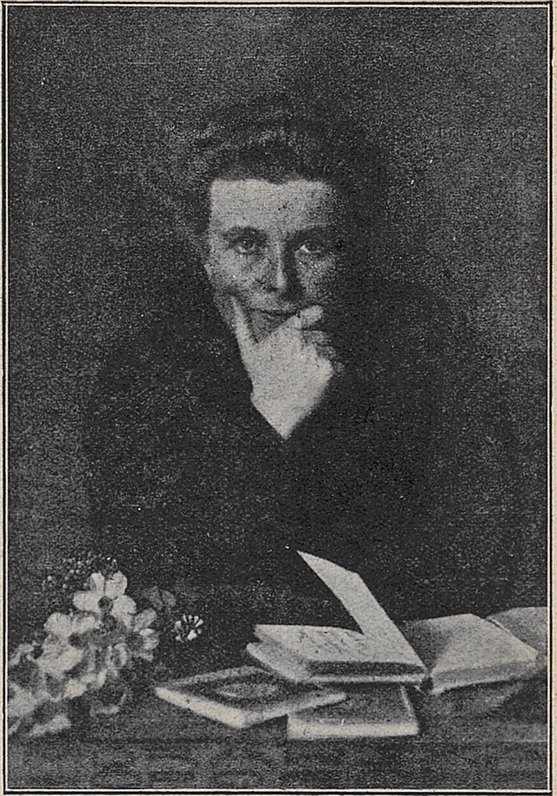
Z chwilą ukończenia działań wojennych, pomoc zagraniczna ustała zupełnie, zaś pomoc w kraju była coraz więcej ograniczona. Brak środków zmuszał do ograniczenia zakresu prac P. C. K. Z tego powodu zlikwidowano w końcu 1922 roku akcję dla jeńców oraz dla repatrjantów, dom dla uzdrowieńców w Karolinie i sanatorjum w Suchej, szpital im. kr. Elżbiety Belgijskiej został przekazany Dyrekcji P. K. P., bursy dla młodzieży przekazano specjalnemu kuratorjum.

Na tem kończy się I-szy okres pracy Polskiego Czerwonego Krzyża od 1919 do 1922 roku; poczem nastąpił okres likwidacji szeregu instytucyj związanych z wojną.

W tych ciężkich dla kraju latach Polski Czerwony Krzyż spełnił swe zasadnicze zadania — niosąc ulgę chorym i rannym żołnierzom, otaczając opieką jeńców i repatrjantów.

2 Okres.

Po zlikwidowaniu działalności, związanej z wojną i po okresie przejściowym (1922—1923) Polski Czerwony Krzyż stanął wobec zagadnienia, czy powinien zająć się jedynie pracą przygotowawczą na wypadek wybuchu nowej wojny, czy też, celem nawiązania bliższego kontaktu ze społeczeństwem, objąć teren pracy humanitarno-społecznej?



Julja Przyjemska, Wiceprez. Zarządu Gł. P. T. C. K. (1919).

Ta myśl, jak się okazuje, dawno kiełkowała w umysłach zagranicznych działaczy czerwonokrzyskich.

Jeszcze w roku 1867, podczas konferencji Międzynarodowej Czerwonego Krzyża była rozpatrywana możliwość humanitarnej pracy w czasie pokoju. Minęło jednak wiele lat, zanim pojęcie o Czerwonym Krzyżu, jako dorywczym czynniku w czasie wojny, ustąpiło miejsca przeświadczeniu, że Czerwony Krzyż winien nieść ciągłą i stałą pomoc ludności. Podczas wojny światowej Czerwony Krzyż zajął w całym świecie mocną pozycję. Skutki wojny światowej, które należało leczyć i łagodzić, dawały szerokie pole dla zorganizowania społecznej pracy Czerwonego Krzyża. Na ziemiach naszych przed wojną Czerwony Krzyż, jako organizacja państw zaborczych, wprowadzał do swej pracy cele polityczne, więc nie mógł zdobyć sobie popularności. Tem należy tłumaczyć powstanie przed wojną wielu instytucyj i organizacyj, jak „Towarzystwo Higjeniczne", Towarzystwo Przeciwgruźlicze, Towarzystwo Eugeniczne



Edward Boniecki, Skarbnik i Sekretarz Zarz. Gł. P. T. C. K. (1919).

i t. p. cały szereg inych obejmujących w posiadanie te dziedziny pracy, które w innych krajach prowadzą podczas pokoju organizacje Czerwonego Krzyża.

Dlatego też po okresie wojennym oddziały P. C. K. podjęły różnorodną akcję na terenach swej działalności, przystosowując się do miejscowych warunków, zaspakajając najpilniejsze i konieczne potrzeby.

Ten sposób bezprogramowego zaspakajania miejscowych potrzeb w danem środowisku popularyzował wprawdzie oddziały P. C. K., pozwalając zdobywać wśród miejscowego społeczeństwa odpowiednie środki finansowe, jednakże instytucja zatracała właściwy charakter.

Poza tem większość oddziałów uważała swoją pracę jako ukończoną, gdyż według pojęć miejscowego społeczeństwa, działalność P. C. K. mogła trwać podczas wojny, po ukończeniu której traciła swą rację bytu.

Centralne władze P. C. K. postanowiły dać Okręgom i Oddziałom drogowskaz w doborze programów pracy i przystąpiły do teoretycznego skrystalizowania wskazań.

W dniu 6 marca 1923 roku Komitet Główny P. C. K. uchwalił następujące zasady działalności Polskiego Czerwonego Krzyża (skrót).

„Cel Polskiego Czerwonego Krzyża — łagodzenie klęsk, spowodowanych przez wojnę, stąd wypływają następujące obowiązki:

1) w czasie wojny niesienie odpowiedniej pomocy wojsku i cierpiącej wskutek wojny ludności,

2) w czasie pokoju — przygotowywanie się do jaknajlepszego wypełniania obowiązku swego na wypadek mogącej wybuchnąć wojny.

Przygotowania powinny polegać na:

a) przygotowanie planu działania podczas wojny,

b) przygotowanie personelu,

c) przygotowanie materjałów i urządzeń.

Powyższa praca, stanowiąca obowiązek P. C. K. winna być prowadzona z możliwem uwzględnieniem pożytku dla ludności cywilnej już podczas pokoju, z właszcza w wypadkach epidemji klęsk żywiołowych i t. p. do czego mogą być użyte urządzenia np. transportowe, kąpielowe, dezynfekcyjne, pralniane, szpitale ruchome, lotne oddziały, ambulatorja i t. d. wraz z personelem i materjałem. Program ten nie wyklucza jednak prowadzenia wielorakiej innej działalności P. C. K. w myśl programu Ligi Czerwonych Krzyży, o ile Oddział po zorganizowaniu wyznaczonych mu prac, znajdzie odpowiednie ku temu środki i ludzi".

Realizacja zasad natrafiała na trudności natury finansowej. Ciężkie położenie kraju odbijało się na stanie materjalnym P. C. K. i żadna placówka nie była w stanie prowadzić planowej pracy. Kończyło się zwykle na dorywczych akcjach.

Podjęto więc starania u władz o zdobycie stałych podstaw prawnych i materjalnych dla P.C.K.

Dopiero rok 1927 staje się rokiem przełomowym dla tej instytucji. Dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 1.IX.1927 r. ogłoszonego w Nr. 79 Dziennika Ustaw ukazuje się ustawa o „Stowarzyszeniu P. C. K." dająca ostateczną prawną podwalinę istnienia. Jednocześnie ukazuje się w dzienniku ustawa o ochronie godła P. C. K.

Natychmiast po ogłoszeniu dekretu o Polskim Czerwonym Krzyżu przystąpiono do opracowania statutu, który został dopełniony przez Zjazd Prezesów Okręgów, uchwalony przez Komitet Główny P. C. K. i na początku marca 1928 r. złożony władzom do zatwierdzenia. Po wprowadzeniu z urzędu zmian w kilku istotnych punktach, statut został zatwierdzony przez Pana Ministra Spraw Wewnętrznych dnia 11.XII.1928 r.

Przeprowadzenie ustaw wzmogło zainteresowanie Polskim Czerwonym Krzyżem wśród czyn-

ników miarodajnych. Władze państwowe mianowały stałego Delegata Rządowego i przekazywały dla P. C. K. w 1928 r. 2.180.000 na cele pogotowia sanitarnego. Nadto 150.000 zł., jako subwencję specjalną na zapoczątkowanie budowy szpitala w Busku.

Pod koniec 1926 roku wszczęto akcję zbiórki w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej pod kierownictwem p. posła Ciechanowskiego. W roku 1927 dochód stąd osiągnięty wyniósł 16.000 dol., które przeznaczone zostały na budowę gmachu P. C. K. Zakupiono składnicę za 25.000 funt. szterl. w celu przygotowania zasobów materjałowych P. C. K.

Poważnym dorobkiem P. C. K. po zlikwidowaniu pracy powojennej, jest cały szereg instytucyj, które prowadzi P. C. K., a mianowicie:

szpitali 7, sanatorjów 4, lecznica 1, szkół pielęgn. 2, ambulatorjów 14, poradni przeciwgruźliczych 14, stacyj sanit. odżywczych (poradni dla matek) 20, Domów Macierzystych 3, Dom Wdów 1, schronisko dla weteranów powstań narodowych 1, schronisk dla dzieci i burs 8, stacyj opieki nad matką i dzieckiem 20, gabinetów naświetlań 10, kolonij letnich 3, referatów oświatowych 4.

Z instytucyj, prowadzonych przez P. C. K. zasługują na wyróżnienie Sanatorjum P. C. K. w Zakopanem na 200 łóżek, prowadzone przez Zarząd Główny,

Sanatorjum chirurgiczne we Lwowie na 50 łóżek, prowadzony z nadzwyczajną starannością przez Okręg Lwowski P. C. K.,

Sanatorjum dla słabowitych dzieci, własność Okręgu Śląskiego P. C. K., prowadzony pod bezpośredniem jego kierownictwem przez cały rok: zimą na 60 dzieci, latem na 200.

Szpital na Smolnej w Warszawie na 132 łóżka, prowadzony przez Zarząd Główny P. C. K.; dział chirurgiczny i chorób wewnętrznych.

Szpital w Gnieźnie na 100 łóżek, prowadzony przez Okręg Wielkopolski P. C. K.

Szpital w Równem na 40 łóżek, prowadzony przez miejscowy oddział.

Szpital w Pniewach, prowadzony przez miejscowy oddział.

Szpital w Białymstoku na 40 łóżek, prowadzony przez Okręg Białostocki.

Szpital w Brańsku na 25 łóżek, prowadzony przez miejscowy oddział.

2-letnia Szkoła Pielęgniarstwa w Katowicach, prowadzona przez Okręg Śląski. Taka sama szkoła w Poznaniu, prowadzona przez Okręg Wielkopolski i otwarta w 1929 r. dwuletnia Szkoła Pielęgniarstwa P. C. K. w Warszawie, prowadzona przez Zarząd Główny.



Gen. Józef Haller, Prezes Komitetu Gł. P. T. C. K. (1920—1926).

Okręg Warszawski w r. 1924 objął opiekę nad bezdomnymi na Żoliborzu, mieszczącymi się w liczbie 180 osób w blaszankach, pozostałych po okupantach i w paru płóciennych namiotach. Beznadziejne wówczas położenie bezdomnych musiało być traktowane jako klęska społeczna, spowodowana wojną i jako taka wkraczała w kompetencję Polskiego Czerwonego Krzyża. Pierwszą troską Okręgu było zorganizowanie ambulatorjum na Żoliborzu, a w następstwie na Powązkach.

W roku 1925 Okręg opiekował się 993 bezdomnymi, w roku 1926 dysponował 55 barakami, w których zamieszkiwało 3612 osób. Zaś w roku 1927 Okręg posiadał 70 baraków, zamieszkałych przez 4654 bezdomnych. Urządzono dla mieszkańców baraków ambulatorjum, w którym dwóch lekarzy udzielało pomocy. W roku 1926 udzielono w 6810 wypadkach, i wydano bezpłatnie 9.930 lekarstw. W szpitalach umieszczono 183 osoby i przyjęto 91 porodów.

W r. 1927 wszystkie te świadczenia wzrosły o 30%. Pomimo panujących w mieście epidemji i dzięki sanitarnemu nadzorowi, do baraków epi-

demji nie dopuszczono. W założonych przy barakach świetlicach korzystło z nauki i opieki około 600 dzieci. W ciągu roku powyższym dzieciom wydano około 150.000 obiadów.

Dzieci do trzech lat w liczbie 480 korzystały z darmowego rozdawnictwa mleka, prowadzono również kuchnię dla dorosłych, wydając gorące porcje obiadowe za 5 gr.

Jak widać z cyfr powyższych ilość bedomnych mnożyła się w zastraszający sposób. Bezdomność traciła charakter doraźny i stąd wynikła konieczność, by losem bezdomnych i budową domów zajęły się powołane do tego władze municypalne. Wobec tego Okręg Warszawski z dniem 1 stycznia 1928 r. przekazał opiekę nad bezdomnymi Magistratowi m. Warszawy.

Okres doraźnego traktowania przez Okręgi i Oddziały prac Polskiego Czerwonego Krzyża musiał jednak być zlikwidowany.

W myśl zasad działalności, wskazanym Okręgom i Oddziałom do wiadomości, Zarząd Główny w porozumieniu z władzami wojskowemi opracował w 1925 roku program pogotowia sanitarnego.

Program ten zawierał przygotowania:

1) samochodów i wozów czterokołowych, sanitarnych,

2) punktów sanitarno-odżywczych,

3) szkolenie sióstr pogotowia sanitarnego,

4) szkolenie instruktorów przeciwgazowych.

Przystąpiono w pierwszym rzędzie do budowy wozów sanitarnych 4-ro kołowych i wykonano 20% programu, pobudowano kilkanaście samochodów sanitarnych.

Okręg Warszawski posiada lecznicę przy ul. Pięknej, urządzoną według najnowszych wzorów, stosującą wszystkie nowe metody lecznicze. Opłata dla członka Polskiego Czerwonego Krzyża zniżona jest o 25%, inwalidów i biedną ludność leczą w niej bezpłatnie.

Ponieważ w myśl decyzji Międz. Kom. C. K. podczas pokoju zadaniem pogotowia sanitarnego P. C. K. jest nieść pomoc ludności cywilnej na wypadek klęsk i katastrof żywiołowych, niezależnie od przygotowania powyżej przytoczonego sprzętu i szkolenia sióstr pogotowia sanitarnego, opracowano zasady i program dla drużyn ratowniczych P. C. K. oraz przygotowano sprzęt, którym drużyny będą się posługiwały. Organizacja drużyn ratowniczych, jak i zasoby materjałowe okazały się niezbędne, wobec przystąpienia Państwa Polskiego do Konwencji Międzynarodowej, mającej na celu utworzenie Związku Pomocy ludności cywilnej w razie klęsk i katastrof (projekt Ciraolo). Formacje pogotowia sanitarnego P. C. K. i jego zasoby materjałowe okazały się bardzo potrzebne podczas klęsk, które Polskę nawiedziły podczas ostatnich lat.

Już w roku 1924 została zorganizowana przez Okręg Warszawski pomoc powodzianom, na którą wydatkowano przeszło 73.000 złotych. Powódź pod Warszawą 1925 r. dzięki małym rozmiarom, była opanowana przez Okręg Warszawski, powódź pod Karczewem w 1928 r. wywołała również natychmiastową akcję Okręgu Warszawskiego.

Niesienie pomocy powodzianom w Małopolsce Wschodniej na jesieni r. 1927 samorzutnie zorganizował Okręg Lwowski i zanim przyszła pomoc z odległych okolic, przedstawiciele Okręgu Lwowskiego dzięki zapasom w składnicy rozdali ubrania i bieliznę potrzebującym.

Zarząd Główny po zbadaniu potrzeb na miejscu skierował swój wysiłek głównie w kierunku zwalczania epidemji duru i czerwonki oraz okazał dalszą pomoc za pośrednictwem Okręgu Lwowskiego, przez wysłanie trzech szpitali na 1256 łóżek, oraz aparatów dezynfekcyjnych dla epidemicznych chorych.

Ponadto Okręg Lwowski zorganizował ekspedycję sanitarną do wsi, dotkniętych powodzią, wysyłając kilku medyków ze szczepionkami przeciwko czerwonce i durowi. Dokonano 33.457 szczepień i wydezynfekowano 3357 studni.

Wypadki majowe, zaszłe w Warszawie w roku 1926, dzięki zorganizowaniu przez P. C. K. pogotowia sanitarnego pozwoliły okazać skuteczną pomoc walczącym. Pierwszym ofiarom pośpieszyła z pomocą czołówka Okręgu Warszawskiego P. C. K. Ogółem było zorganizowanych 30 czołówek pieszych, z których 17 w miarę rozgrywania walki zmieniły się na stałe punkty sanitarne. Prócz tego Zarząd Główny zorganizował na Dworcu Głównym stały punkt opatrunkowo-żywnościowy. W akcji ratowniczej P. C. K. brało udział: 32 lekarzy, 60 sióstr zawodowych, 40 sióstr pogotowia sanitarnego (ochotniczek), 90 sanitarjuszy-ochotników oraz 7 łączników na rowerach, nie biorąc pod uwagę stałych instytucyj, jak szpitał P. C. K. przy ul. Smolnej i Lecznica P. C. K. przy ul. Marszałkowskiej.

W samem mieście udzielono pomocy przeszło 1000 osobom, a personel P. C. K. pracował często wśród gradu kul. Jako ofiary pełnienia tej zaszczytnej służby, padli na posterunkach sanitarju-



Hr. Henryk Potocki, Prezes Komitetu Gł. P. T. C. K. od 1926.

sze: Stanisław Próchnicki, Piotr Bobrzyk i harcerz Mieczysław Bem.

Liczby powyższe nie wyczerpują całokształtu działalności P. C. K.

Wartość przygotowanych zasobów materjałowych Pogotowia Sanitarnego P. C. K. przez Okręgi i Oddziały przekracza 6.000.000 zł. Zapasy Zarządu Głównego posiadają wartość zł. 1.263.945. Pozatem przeszkolono w Warszawie kilkudziesięciu instruktorów głównych Drużyn Ratowniczych P. C. K. i każdy z Okręgów posiada takich instruktorów, następnie przystąpiono do szkolenia podinstruktorów, a Okręg Śląski od szeregu lat prowadzi drużyny ratownicze, które gotowe są nieść pomoc poszkodowanym podczas katastrof i klęsk. Okręg Warszawski posiada wyszkoloną drużynę ratowniczą złożoną z 22 patroli.

Niepoślednią rolę odgrywają dla potrzeb P. C. K. siostry czynne, siostry rezerwy i siostry pogotowia sanitarnego. W tym celu został opracowany projekt szkolenia sióstr pogotowia sanitarnego, obejmującego całą Polskę oraz program własnej 2-letniej Szkoły Pielęgniarstwa, którą otwarto w kwietniu 1929 roku. Dla sióstr inwalidek został otworzony specjalny Dom Inwalidek.

Biuro Informacyjno-Wywiadowcze Zarządu Gł. P. C. K. prowadzi w dalszym ciągu pracę lat ubiegłych, polegającą na wywiadach o zaginionych wojskowych, przeważnie jeszcze z czasu ubiegłych wojen, oraz o osobach cywilnych, przebywających w kraju lub zagranicą, z któremi rodziny

straciły kontakt w czasie zawieruchy wojennej. Dla wykazania dokonanej w tym zakresie pracy podajemy poniżej następujące cyfry:

W roku 1919 zgłoszono wywiadów w Biurze Informac.-Wywiad. P. C. K. — 7794, w 1920 roku — 33886, w 1921 roku — 25836, w 1922 roku — 7801.

Obecnie Biuro Inf. Wywiad. otrzymuje przeciętnie 4000 listów rocznie, wysyła listów 5000, otrzymuje około 1250 zgłoszeń o wywiady, przyjmuje około 1250 interesantów.

Polski Czerwony Krzyż posiada bardzo ożywiony kontakt z zagranicą i od chwili założenia uczestniczył w X, XI, XII i XIII Międzynarodowych konferencjach Międz. Komitetu C. K. w Genewie.

Między 9 a 14 kwietnia 1923 roku odbył się w Warszawie Zjazd Czerwonych Krzyży Europy Wschodniej, na który zjechali przedstawiciele Ligi Czerwonych Krzyży w Paryżu, Międzynarodowego Komitetu C. K. w Genewie oraz licznych Towarzyst Czerwonego Krzyża.

W tymże roku przewodnicząca Sekcji Sióstr na Zjeździe Międzynarodowym w Paryżu wygłosiła referat. System podziału sióstr, stosowany przez P. C. K. spotkał się z uznaniem Czerwonych Krzyży innych krajów, praktyczny zaś strój sióstr P. C. K. zwrócił uwagę Rumuńskiego Czerwonego Krzyża, który prosił o prawo skopjowania tego ubioru.

W roku 1924 Polski Czerwony Krzyż wystąpił z energicznym protestem wywołanym przez ukazanie się we Francji deklaracji, podpisanej przez szereg wybitnych osobistości, zawierającej zarzuty, skierowane przeciwko traktowaniu więźniów w więzieniach polskich. Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża uznał sprawę za bardzo poważną i wydelegował do Polski, po porozumieniu się z P. C. K. p. E. Brunela w celu wyświetlenia czynionych zarzutów.

Po kilkumiesięcznym pobycie p. Brunela w Polsce i zwiedzeniu przez niego 20 zakładów więziennych ukazało się w listopadzie 1924 w „Revue Internationale de la Croix-Rouge", wyczerpujące sprawozdanie, podpisane przez p. Brunela, zbijające wszystkie zarzuty. Sprawozdanie to było również drukowane w numerze 1-ym „Gazety Administracji i Policji Państwowej".

Uwzględniając życzenie Ministra Spraw Zagranicznych, Polski Czerwony Krzyż wskutek odezwy Ligi Narodów wysłał w 1924 r. na ręce Prezesa Albańskiego C. K. 9 dużych pak materjałów opatrunkowych i odzieży.

Pod koniec 1924 r. Zarząd Gł. P. C. K. zajmował się wymianą jeńców polsko-rosyjskich, jak również projektowaną wymianą jeńców polsko-litewskich.

Kilkakrotnie udzielono pomocy emigrantom ukraińskim, skoncentrowanym w obozie pod Kaliszem, przez wysyłanie im bielizny i odzieży; P. C. K. brał również czynny udział w pomocy udzielanej powracającym do kraju z Rosji więźniom politycznym i zakładnikom.

W 1925 r. P. C. K. wziął udział w wystawie Higjeny w Wiedniu i w II Zjeździe C. K. Europy Wschodniej. Również w tym roku odbyły się trzykrotne konferencje: w Rydze z przedstawicielami Litewskiego C. K., dzięki którym w październiku i listopadzie 1925 r. odbyły się wymiany więźniów politycznych polsko-litewskich. Sprawa wymiany była również omawiana podczas Międz. Konferencji C. K. w Genewie.

W 1925 roku delegat P. C. K. brał udział w Kongresie Pedagogicznym w Paryżu, a członkowie Zarządu Głównego w XII Międzynarodowej Konferencji Czerwonych Krzyży w Genewie.

W maju 1926 r. przedstawiciel P. C. K. brał udział w Wszechamerykańskiej Konferencji w Waszyngtonie i w listopadzie tegoż roku w Tokio na Konferencji C. K. Dalekiego Wschodu. Zarząd Główny zajął się bardzo gorliwie losem więźniów polskich, przebywających w więzieniach litewskich i dzięki staraniom P. C. K. udał się do Kowna delegat Międzynarodowego Komitetu C. K.

Na skutek powyższego wyjazdu odbyła się w połowie grudnia konferencja przedstawicieli P. C. K. i Litewskiego C. K. w Genewie pod przewodnictwem Prezesa Komitetu Mędzynarodowego C. K., na której podpisana została umowa o wymianie więźniów. 3.II.1927 r. odbyła się wymiana więźniów politycznych.

W dn. 16.I.1928 delegat P. C. K. brał udział w Kongresie w Brukseli, omawiającym zagadnienie obrony przeciwgazowej ludności cywilnej.

W dniu 5 maja przeprowadzono wymianę więźniów między Polską a Litwą.

W październiku P. C. K. wziął udział w XIII Międzynarodowej Konferencji Czerwonych Krzyży w Hadze, na której przedłożył trzy wnioski:

1) o zakazie w drodze Konwencji stosowania na wojnie broni gazowej,

2) o ochronie znaku Czerwonego Krzyża w czasie działań wojennych,

3) o zwolnienie od opłat celnych i przewozu wzorów materjałów sanitarnych.

W 1929 roku odbyła się ponowna konferencja w Kownie, z udziałem delegata Międzynarodowego C. K., gdzie omówiono datę i warunki wymiany. Na ręce Tureckiego Czerwonego Półksiężycia wysłano materjały odzieżowe i bieliźniane dla zubożałej ludności.

W końcu kwietnia 1929 roku wydelegowano do Rzymu delegatów P. C. K. na Konferencję obrony ludności cywilnej na wypadek wojny gazowej.

Jednym z doniosłych działów pracy P. C. K. mającą wychowawcze znaczenie, jest Organizacja Kół Młodzieży P. C. K.

Myśl zorganizowania młodzieży pod sztandarem Czerwonego Krzyża powstała podczas wojny w Ameryce i Australji; przeniknęła wkrótce do wszystkich krajów europejskich.

W Polsce natrafiła ona na grunt podatny, gdyż w wielu miejscowościach młodzież z inicjatywy własnej lub nauczycieli dopomagała P. C. K. w jego działalności, opiekując się w miarę możności żołnierzami na froncie i ich rodzinami w kraju. Działalność Kół Młodzieży P. C. K. rozwijała się w zakresie pomocy bliźniemu, rozpowszechniania zasad higjeny i nawiązania stosunków z młodzieżą zarówno w kraju, jak i zagranicą za pomocą korespondencji międzyszkolnej.

Komisja Główna Kół Młodzieży co roku rozsyła przed świętami Bożego Narodzenia przeszło 4000 paczek gwiazdkowych.

Ogromnie rozwinęła się korespondencja Międzyszkolna, co wykazują następujące cyfry: w r. 1924 Koła Młodzieży P. C. K. korespondowały z 5 Czerwonemi Krzyżami, w r. 1927 — 14 C. K. a w roku 1928 z 20 C. K.

W roku 1928 obliczano w Polsce 500 Kół Młodzieży.

O tem, że akcja P. C. K. stale rozwija się, świadczyć mogą następujące cyfry: bilans zamknięcia Zarządu Głównego i jego instytucyj w dn. 31.XII.1924 r. wynosił 1.864.444 zł., tenże bilans w dniu 31.XII.1928 wynosi 6.898.363 zł.

Przychód Okręgów i Oddziałów w roku 1924 wynosił 727.072 zł. Przychód tychże Okręgów i Oddziałów w roku 1928 wynosił 1.527.870 zł.

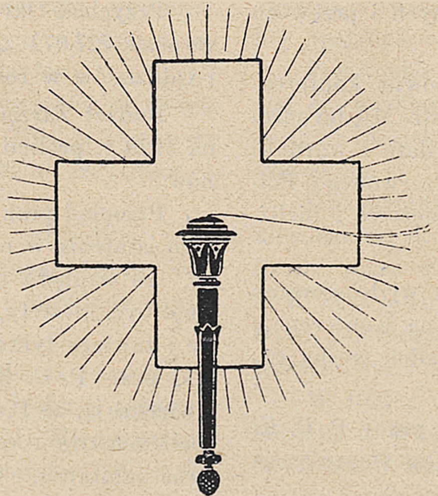
Budżet Zarządu Głównego i jego instytucyj na 1929 r. preliminuje wydatki na sumę 6 miljonów.

Przegląd prac P. C. K. w ciągu dziesięciolecia jego istnienia w ramach artykułu powyżej ujętego, ze względu na bardzo ograniczone miejsce, mógł być, niestety, fragmentarycznie przedstawiony i zawiera tylko najważniejsze momenty i wyniki prac P. C. K. Powyżej przytoczone dane stwierdzają, że P. C. K. czuwa na szańcu obrony społeczeństwa i ratownictwa w cierpieniu jako straż sanitarna, Czerwonym Krzyżem znaczona, miłosierdziem zbrojna i kojąca bóle umiejętną dłonią lekarza i miękką, troskliwą ręką siosty P. C. K.

Dlatego współpraca z P. C. K. to nie żadna wspaniałomyślność, lecz powszechny obowiązek narodowy i obywatelski.



Ku Zdrowiu!
Afisz propagandowy Ligi C. K.



ZOFJA KOSSAK-SZCZUCKA.

Miłosierdzie.

Gałęzie starego bzu chyliły się na płot, przeciążone kiśćmi kwiatów już okwitających, spłowiałych i zlekka przyrudzonych na końcu. Za każdym powiewem, deszcz maleńkich gwiazdek, o barwie mdłego błękitu sypał się na ramiona i białe zawicie Siostry Marty. Woń mocna, właściwa kwiatom przekwitającym, pulsowała nad spruchniałą ławką, wszczepioną między dziwaczne skręty starych krzów bzowych. Siostra Marta opuściła ręce na kolana i zapadła w słodkie bezczucie. Myśli, obawy, troski, wirowały w jej mózgu leniwie, powoli, obrane nagle z powszedniego znaczenia i wagi. Przez dziwne skojarzenia i odskoki myśli, napłynęły skądś obrazy tak różne od otaczającej ją od paru lat rzeczywistości, jak różnym był ten rozpachniony krzak od dusznej salki szpitalnej, lub pola pełnego trupów. Stare legendy naiwne w swojej cudownej prostocie, zapomniane, dawno wygnane z świata. Jakiś człowiek, co niegdyś żył i mówił ludziom takie śmieszne, a zarazem przedziwne słowa... Do srogich, chciwych na łup i krew zabijaków mawiał: Najmilsi moi braciszkowie zbóje... Nie czyńcie tak przez miłość Pana Naszego...

Kroki zatrzeszczały na dróżce. Naczelnik czołówki, doktór Rybicki nadchodził, kręcąc nerwowo w palcach papierosa.

— Koni dotąd niema, a strzały coraz bliżej, zauważył. — Co to będzie?

— Bo ja wiem,—odparła siostra Marta, zwracając na niego swe łagodne oczy.

Doktór poczuł się zirytowanym tym spokojem, który określił w duchu, jako cielęcy. Niebezpieczeństwo istotne wisiało w powietrzu. Szpital powinien był cofnąć się jeszcze poprzedniego dnia, z powodu jednak opóźnienia rozkazu, zdążono zaledwie wyprawić jego połowę. Reszta została czekając na furmanki. Wysłani po nie żołnierze nie wracali, a tymczasem jedyna droga wolna jeszcze, mogła być lada chwila przeciętą.

— Nie rozumiem, czego te łajdaki tak marudzą — denerwował się doktór, rzucając niedopałek papierosa na ziemię — musiało im chłopstwo zastąpić drogę, aby nas przetrzymać do nadejścia bolszewików...

— Chłopstwo? — zapytała Siostra Marta z niedowierzaniem.

— Oczywiście. Toż te hady tylko czekają, aby nam móc dać po gardle. Co siostra myśli? Że oni czują jaką wdzięczność za to, że przez te cztery tygodnie pielęgnowaliśmy ich i leczyli za darmochę? Akurat! Lepiej nie liczyć na wdzięczność tego fałszywego bydła...

Siostra Marta zamyśliła się. Przeliczyła pamięcią szereg bab, dzieci i chłopów, przychodzących codziennie do czołówki po lekarstwa i opatrunki, — chorych, przy których ona i inne siostry przesiedziały wiele nocy.

— Nie, — rzekła z przekonaniem. — Wieś nam nic nie zrobi.

— Dałby Bóg, — westnął doktór Rybicki, — słyszy siostra strzały? Maszynki grają gdzieś blisko, w tem tylko sęk, czyje...

— Co za szczęście, że tamci zdążyli wyjechać!

— Co za nieszczęście, że my nie zdołaliśmy tego zrobić z niemi! Zna mnie siostra nie od dziś: tchórz nie jestem, ale tak nie chciałoby się umierać... I co za śmierć... Ależ tu pachnie... Aż durzy... Dostałem wczoraj list od żony... Nasza malutka chodzi już sama podobno... Kiedy wyjeżdżałem, leżało to jeszcze w becie, nic nie wiedząc, a teraz... biega! Dziwi się pewno wszystkiemu... Jak to dzieci... Mamy też takie bzy w ogrodzie — naokoło ścieżka... I biega to sobie po ścieżce, maleńkiemi nóżętami: tup, tup... tup, tup...

— Pora już iść dać podwieczorek chorym, — podniosła się Siostra Marta.

Chorych było tylko pięciu, gdyż wszyscy mocniejsi i ozdrowieńcy zostali wysłani wraz z trzema siostrami, młodszym lekarzem i połową taboru szpitalnego poprzedniego dnia wieczorem. Na sali leżało trzech rannych żołnierzy i dwóch krasnoarmiejców, których dogorywających porzuciła czerwona armja, cofając się tędy przed paru tygodniami. Przebywszy ciężki dwukrotny tyfus, wracali zwolna do zdrowia. Niespokojne spojrzenia powitały wchodzącą dziewczynę.

— Siostro, przecież mieliśmy wyjeżdżać?!

— Dlaczego nie wyjeżdżamy?

— Co będzie?

— Będzie co Bóg da, — odparła pogodnie, rozdając posiłek.

Krasnoarmiejec Kiryłow śledził jej ruchy tępym wzrokiem, obojętny na wszystko, prócz jedzenia. Po przebytej chorobie, wnętrzności jego targał nieustanny głód, którego nie wolno było jeszcze zaspakajać. Siostra Marta usiadła przy nim, był bowiem zbyt osłabiony, by utrzymać kubek w ręku, i karmiła go troskliwie. Żłopał żarłocznie, z żalem widząc zmniejszającą się zawartość.

— Wyjeżdżać... wyjeżdżać... wzdychał szeregowiec Kuraś.

— A juści! — burknął starszy żołnierz Mroczęk, — psia ich mać bolszewiki już za płotem, którędy będziesz uciekał?

Ścichli wszyscy, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Terkotanie karabinów maszynowych urwało się nagle. Zadudniał gdzieś rzucony granat, szyby dźwięknęły na alarm. Po chwili ciszy w dole na dziedzińcu buchnął straszliwy wrzask zwycięskich głosów.

— Doktora nie widać? — zagadnęła półgłosem.

— Nie, — odparł żołnierz z wahaniem, — nie widać.

Położył się i odwrócił twarzą do ściany. Zęby mu szczękały z cicha. W ciszy salki słychać było tylko chciwe siorbanie bolszewika. Na dole panowała wrzawa. Przekleństwa i groźby, wybuchy śmiechu, gorsze od przekleństw, jęki i skowyty, głuche łomotania — trzask pękających wyważonych drzwi, walenie sprzętów i przeraźliwy brzęk szyb.

Schody jęczały, trzeszczały pod naporem ciężkich nóg. Zwycięzcy już się zbliżali. W wywartych kopnięciem drzwiach olbrzymi czerkies z twarzą skurczoną, jak pysk złego psa, gdy kąsa, zamachnął się od ucha granatem. Za nim tłoczą się krasnoarmiejcy i wiejskie wyrostki, chłopi i baby. Rozwrzeszczane, świecące ich twarze tańczą w oczach siostry, która stoi z opróżnionym kubkiem. Cuch dziegciu, potu, brudu, dzikości i mordu wpełza powoli do salki.

— Gdzie gaficery?! Siestrica! — ryczy czerkies, machając granatem. — Gdzie gaficery?!

— Niema tutaj oficerów.

— Łżesz! To wszystko oficery!

— To żołnierze, — odpowiada siostra Marta, — ci trzej nasi, a ci dwaj wasi, bolszewicy... możecie się ich zapytać...

— Prawda eto, towariszcze?

— Prawda — przyznaje z niechęcią Kiryło, — to sołdaty, ale ta — ukazuje głową siostrę, — jeść nie daje... zamało... człowieka aż skręca z głodu...

— Wot kakaja!!

Ulewa straszliwych przekleństw wali się na głowę oskarżonej. Ręce tłumu, dygocą pragnieniem rozszarpania tej żmii na sztuki.

— Nie mogę dać mu na raz więcej jeść, — tłumaczy siostra Marta, — on był bardzo chory, ledwo go uratowaliśmy... trzeba powoli przyzwyczajać organizm do jedzenia...

— Mołczi, swołocz! Znamy was polskie siestrice! zabieraj się! Pójdziesz za swoim doktorem!...

Przywykła do posłuszeństwa siostra Marta, stawia kubek na stole, lecz śledzący każdy jej ruch Kiryło, unosi nagle głowę przerażony:

— Radi Boha, — towarzysze, nie ubijajcie jej jeszcze, aż przyjdzie druga, — Kto mi da jeść?

Czerkies namyśla się chwilę, ku rozczarowaniu tłumu puszcza ramię siostry.

— Siedź tu tymczasem, djablico przeklęta! Pilnuj chorych, a będziesz naszych głodzić, to obaczysz!

Wychodzi na korytarz, tłukąc po plecach swych towarzyszy granatem, gdy zbyt się tłoczą na schodach.

— Gdzie może być doktór? — niepokoi się siostra Marta.

— Siostro, — mówi półgłosem Mroczek, — naczelny, świeć mu Panie — nie żyje. Zabili go i felczera też i gospodarza też...

— Jezus Marja!! Kiedy?!

— Jeszcze zanim weszły te dranie na górę... Widziałem z okna... Ot leżą biedaki na dziedzińcu...

— Boże! Boże! — szepce siostra Marta zbladłemi wargami, przywarłszy do szyby twarzą.

— Jeść, jeść! — warczy z kąta Kiryło.

W gorącem, czerwcowem słońcu rozkład następuje szybko. Nagie, straszliwie okaleczone ciała zabitych, rozpuchłe są i sine. Błękitne, wielkie muchy krążą wokoło. Błaganiem, łzami i widmem zarazy siostra Marta wyżebrała, by je kazano pochować. Dwóch chłopów kopie leniwie płytki dół w kącie podwórza. Z poza płotu przelewa się falą przekwitający bez. Wyrostki wiejskie i kilka bab łażą po dziedzińcu, szturchają kijami zmarłych, naśmiewają się urągliwie, szczególnie z doktora, którego zmasakrowana twarz podobna jest strasznej larwie.

...„malutkiemi nóżętami tup, tup, tup”... przelatuje nie wiedzieć skąd przez głowę siostry Marty.

— Gotowe! dawać doktora! Idy doktor! Budziesz w ziemlu naczelnikom!!

Ciśnięty w dół pada trup twarzą do ziemi z bezwładnie rozrzuconemi rękami.

— Nie tak! Nie można! — woła siostra Marta. — To człowiek!!...

Schodzi sama do fosy, pragnie go odwrócić twarzą do góry, skrzyżować ręce na piersi. Serce w niej kołacze z tego zbożnego pragnienia i zarazem wstrętu. Nabrzmiałe ciało ustępuje pod palcami. Zaduch tamuje oddech. Nie da rady sama. Z rozpaczą spogląda w górę, w pierwszym szeregu ciekawych stoi dorodny chłopak, niedawny jej pacjent.

— Iwaśku! pomóż! — prosi go błagalnie, oczami dopowiada, czego nie kończą usta. — Iwaśku! żeby nie ten doktór, żeby nie ja, byłbyś takim samym trupem... Pomóż mi teraz, przez miłość Pana naszego...

Chłopak cofa się o krok.

— Ej, pomożu tobi!

Rzucony z rozmachem drugi trup pada na głowę dziewczyny, przygniata ją cuchnącem brzemieniem do ziemi. Obecni wrzeszczą z uciechy.

— Mołodiec Iwaśka!

Dni idą powolne, jak wieki, mimo ciągłej pracy. Sama ze swymi chorymi, przybyło do nich jeszcze czterech bolszewików, siostra Marta wyprasza dla nich strawę, gotuje, myje, sprząta, broni swojej salki. Nie rozbiera się wcale, nie sypia. Martwi się, bo Kiryle z przejedzenia znacznie się pogorszyło. Kuraś też znów gorączkuje. Wśród tych utrapień słyszy pewnego ranka jakiś głos, wołający na nią z dziedzińca przyjacielsko:

— Siestriczko! Panienko!

Wychyla się przez okno. Jedna z bab, które w tamtym tygodniu plądrowały szpital, stoi na dole uśmiechnięta, serdeczna:

— Nie treba wam mołoka?

Zdumiona siostra Marta schodzi na dół. Po drodze uderza ją cisza, cisza i pustka. Pusty jest budynek, gdzie stał bolszewicki sztab, puste mieszkanie komisarza, puste stajnie. Niema śladu bolszewików. Na dziedzińcu stoją baby uśmiechnięte, życzliwe z mlekiem, z jajami, z masłem...

— Nie mam pieniędzy — mówi z żalem siostra Marta, rozglądając się wokoło, niepewna, czy nie śni.

Któżby mówił o pieniądzach! Kobiety są oburzone. One przyniosły to tak, ot, z poczciwości serca. Wzruszona, wdzięczna siostra Marta ściska je serdecznie, dziękuje, wraca z darami na górę.

— Nasi pewnikiem idą! — krzyczy na ten widok Mroczek. — Nasi idą! To chytra swołocz dopiero, te baby!

Karabiny maszynowe terkocą znów w oddaleniu. Zbliżają się z każdą chwilą. Czyje, — o Boże, czyje?! Kto pierwszy wejdzie w opustoszały dziedziniec? Z dygocącem sercem nasłuchuje ich siostra Marta i trzej żołnierze. Apatyczni, niechętni, krasnoarmiejcy udają, że śpią. Chory Kiryło jęczy. Walka się toczy tuż, tuż, gdzieś za opłotkami. Rozgorączkowani, wsparci na łokciach żołnierze patrzą przez okno na uciekających w popłochu bolszewików. Nasi siedzą im na karkach, już są w dziedzińcu. Ktoś biegnie bez tchu po schodach. To Iwaśko, mołodiec. Krew bucha z rozciętego ramienia.

— Siestriczka! Spasaj!!

Klęka przed nią, całuje brzeg fartucha, skomli zawodzi, znacząc krwią podłogę. Dzwoni brzęk

szabel radosny, mocny. W otwartych drzwiach hurma młodych głów.

— Gdzie bolszewicy?

— Tu są tylko chorzy i ranni, panie poruczniku — odpowiada słonecznie Siostra Marta. Gardło chwyta spazm radości na widok orzełków.

— Wycierpieliście się, biedacy... szkoda tamtych... Ten drań co go siostra opatruje, to może jeden z tych co mordowali?

— Nie... nie przypuszczam...

— — — — — — — — —

— Siostra to ci dopiero ma miętkie sumienie! mruczy z niechęcią Kuraś po wyjściu porucznika. Niby ja nie wiedziałem przez okno tego hada, jak siostrę chciał w dole przywalić?! Pierwszy hycel! Zaraz bym go wydał... Ty rezunie, łotrze, hajdamako!!!

Iwaśko milczy skulony. Czarnemi oczyma wodzi z podełba z przerażeniem. Każdy nerw dygoce w nim ze strachu. Zresztą jest istotnie ciężko ranny. Czepia się rozpacznie rąk siostry, układającej go na łóżku.

— Siestriczka, spasaj!

— Podlec, świnia przeklęta — świszcze ze złością Kuraś przez wybite zęby. — Wstydu taki łajdak niema, żeby tu przychodzić... A siostra z nim, jak z kim dobrym... A ja siostrze mówię, że jakby się dziś odmieniło, to on pierwszy na nas z nożem pójdzie i nikomu nie daruje. Oho! Ani siostrze, chociaż się teraz z nim cacka...

— Może być, — przyznaje siostra, poprawiając poduszkę pod głową rezuna.

— Patrzcie! Patrzcie, ile jeńców bolszewickich prowadzą!

Biały rój sióstr garnie się do okna. Tuż pod murami szpitala przesuwa się długa kolumna. Przodem maszeruje żołnierzyk szesnastoletni w czapce z fantazją, zesuniętej na ucho. Zmęczony jest, zakurzony, lecz radosny. Gra w nim hymn zwycięstwa dusza. Cud Wisły odmienił świat i szara droga skrzy się w jego oczach i jaśnieje. Za nim, wznosząc tuman kurzu bosemi nogami idą bolszewicy. Jest ich tysiąc zgórą. Są obdarci, znędzniali, wielu rannych. Podbitemi, opuchłemi stopami drepczą śpiesznie za przewodnikiem. Kędyś, na ledwie widocznem końcu tej gromady, drugi żołnierzyk idzie, gwiżdżąc i rozglądając się srogo dookoła.

— Ależ nabrali tego psiarstwa! — dziwi się sanitarjusz Wawrzek.

— Trzeba będzie do nich zajść, bo zdaje się, że niektórzy są ranni — odpowiada siostra Marta.

I przed wieczorem, gdy ma chwilę wolną wchodzi do baraków jeńców. W olbrzymiej szopie mroczno jest i smrodliwie. Gęsto, pokotem zwaleni, jak niepotrzebne rupiecie, jak zniszczone bezwartościowe tłomoki, stłoczeni jak stado baranów, leżą bolszewicy. Na każdy odgłos kurczą się trwożliwie. Co z nimi zrobią? Czy zabiją? Oni zabijali jeńców. Z oszczędności prochu rzezali nożami, szablami. Co tutaj z nimi uczynią? Podejrzliwie posępne spojrzenia śledzą wchodzącą. Jakiś Tatar, oparłszy głowę o ścianę, wywrócił oczy na pułap i wyje, zawodzi, nie wiedzieć: łkanie to, czy jakaś pieśń muzułmańska. Poranione, obolałe kikuty nóg sterczą ze wszystkich stron. Olbrzymi, brodaty wielkorus trzyma oburącz rozbitą kolbą szczękę i jęczy z cicha, dojmująco. Ciemny czerkies patrzy przed siebie ponuro. Ten sam może, którego twarz kurczyła się, jak pysk złego psa, gdy wchodził do salki szpitalnej?

Siostra Marta opatruje szczękę wielkorusa; otaczający trącają się ramionami, patrzą podejrzliwie, wreszcie trwożliwe zbiorowe pytanie:

— Siestrica? Czy dadzą jeść?

— Ależ dadzą, oczywiście.

Odpowiedź przechodzi z ust do ust. Obiega całą szopę, w szmerze odprężenia i ulgi powraca.

— Dadzą jeść, — znaczy: nie zabiją...

Zwalone bezwładnie ciała przybierają wygodniejsze nieco pozycje. Wygłodzonemi oczami śledzą wejście, przez które wniosą, być może, jedzenie.

Siostra Marta, zakładając tymczasowy opatrunek czwartemu zkolei, spogląda na nich z uwagą. Legli to oto niechlujnem, nędznem stadem z Bóg wie skąd, z krańców Europy, z Azji spędzeni na biedę swoją i naszą. Obdarci, zgłodniali, bezradni i przerażeni łypią chciwie niespokojnie okiem w lęku śmierci—w nadziei życia. Ciemniejsi są od zwierząt, nędzniejsi od pokrywającego ich robactwa. Siostra Marta przesuwa szybko dłoń po oczach, bo wstydzi się sama przed sobą, że jej tak żal bolszewików. W myślach staje niejasne, niesformułowane przecie mocne przekonanie, że na tym świecie wszystko, co nie jest miłosierdziem, staje się potwornym bezsensem i zbrodnią.

Mikaszewicze.

Pierwsze rozmowy towarzystw Polskiego i Sowieckiego Czerwonego Krzyża, rok 1919.

Proszono mię o artykuł dla wydawnictwa jubileuszowego Czerwonego Krzyża, temat — rokowania, prowadzone przez Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża z Sowieckim Czerwonym Krzyżem w roku 1919 o wydanie zakładników, oraz o wymianę więźniów politycznych. Zwrócono się do mnie, gdyż byłem podówczas przewodniczącym polskiej delegacji i od dnia wybuchu wojny prowadziłem dziennik z zapisem przeżyć i wrażeń.

Pragnąc tedy zadość uczynić zaszczytnemu poleceniu, wydobyłem dziennik z przed dziesięciu laty, by fakty pamięci odświeżyć. Niestety, jak mało jeszcze można z tych ciekawych dni drukiem ogłosić. Są rzeczy, których poruszyć nie wypada przez wzgląd na osoby w kraju naszym, dotąd żyjące, są inne, które bałbym się ujawniać przez wzgląd na te istoty, które może żyją jeszcze obecnie po tamtej stronie granicy polsko-sowieckiej, a nie wiem, jakieby tam względem nich wnioski wyciągnięto, gdyby moja charakterystyka ludzi i rozmów z nimi za kordon dotarła. Wreszcie pierwszy zjazd przedstawicieli dwóch toczących jeszcze wojnę sąsiadów nosił z natury rzeczy znamię zjawiska politycznego. Zagadnienia polityczne wypływały co chwila na plan pierwszy, czasem, wysuwane przez delegatów sowieckich przykrywały sobą całkowicie ścisły cel naszej delegacji — a to są przecież momenta, do ujawnienia których nie jestem jeszcze upoważniony. Nie dziw więc, że oto cały temat rokowań mikaszewickich sprowadza się w niniejszym szkicu do ramek wąskich, do treści, pozbawionej może najciekawszych stron tych pierwszych rozmów polsko-sowieckich, prowadzonych pod sztandarem Czerwonego Krzyża.

Rzecz działa się w połowie i końcu roku 1919, więc wówczas, gdy pokój zapanował już na Zachodzie i tylko na Wschodzie, graniczące z Rosją państwa musiały wykuwać mieczem nowe granice odrodzonej państwowości.

Opowiadanie zaczynam od końca lipca 1919 roku. Byłem wówczas zastępcą komisarza generalnego Ziem Wschodnich i szefem jego Ekspozytury w Warszawie. Tworzyliśmy od podstaw nowy aparat państwowości na ziemiach wyzwalanych orężnie od Rosji. Wojsko polskie staczało krwawe walki na froncie wschodnim. Pod datą 20 lipca 1919 roku zapisałem w dzienniku, wśród wielu innych notatek: wieść o oczyszczeniu Galicji Wschodniej od wroga, wyjednanie w Radzie Ministrów pierwszego kredytu na odrodzony Uniwersytet wileński, zbliżanie się wojsk naszych do Mińska Litewskiego, podanie się do dymisji Rady Ministrów, przygotowania do plebiscytu w Prusach Wschodnich i na Śląsku, demonstrowanie na posiedzeniu Rady Minstrów, próby miejscowego wypieku chleba z okolic Baranowicz, jakiejś mieszaniny wrzosu, perzu, szczawiu, lebiody i koniczyny, wydanie doraźnych zarządzeń walki z głodem i tyfusem w pasie przyfrontowym i wreszcie— wieść z Baranowicz o spotkaniu na froncie komisarza generalnego J. Osmółowskiego z delegatem „incognito" komisarzy sowieckich, Janem Kujawskim (de facto Juljanem Marchlewskim), i rzuconą przez niego propozycję rozpoczęcia rozmów polsko-sowieckich.

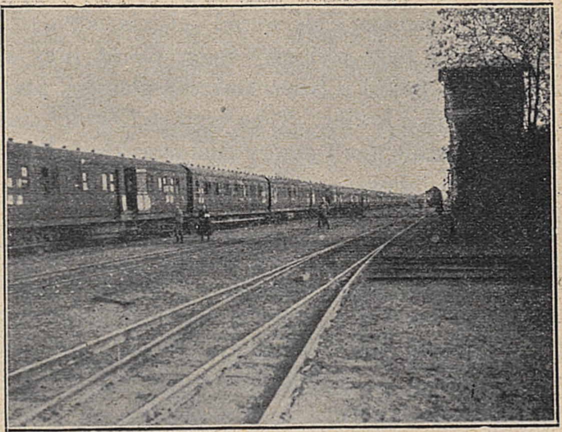
Dnia 27 lipca zjawił się u mnie nieżyjący już dziś p. Aleksander Więckowski i oznajmił, że Naczelny Wódz, Marszałek Józef Piłsudski, życzy sobie, byśmy obaj udali się do Puszczy Białowieskiej dla wstępnych rozmów z Kujawskim - Marchlewskim. Nazajutrz wyruszyliśmy do Hajnówki, a w drodze ustaliliśmy sobie następujący program rozmowy. Sowiety zabiegają o rozpoczęcie rokowań, Kujawski-Marchlewski wręcz podkreślił, że chodzi o szersze ramki porozumienia, wymianę zaś zakładników, więźniów i jeńców poczytuje on jedynie za stosowny pretekst. Staniemy więc na stanowisku, że do Sowietów żywimy całkowitą nieufność, o układach ogólnych więc nawet mówić nie chcemy. Muszą oni przedewszystkiem rozwiać tę nieufność, okazać dobrą wolę, pierwszym krokiem niech będzie zwolnienie zakładników i zaniechanie brania ich na przyszłość, drugim krokiem dopiero mogą być rokowania o wymianie więźniów i jeńców. Dalsze rozmowy mogłyby być jedynie konsekwentnym wynikiem wzrastającego zaufania. Polska zakładników nie brała, więc pierwsza część programu wyrażać musi akt jednostronny, on musi być kamieniem węgielnym jakichkolwiek rokowań.

Taki ustaliliśmy sobie program, zachowaliśmy i spełniliśmy go w ciągu dalszych rokowań.

Zastaliśmy w Puszczy Jana Kujawskiego faktycznie zaś Juljana Marchlewskiego. Marchlewski już nie żyje, wolno mi więc dać krótką jego charakterystykę. Niskiego wzrostu, pochylony wiekiem, brodaty, wydał mi się jakby nieco zakłopotanym, zawstydzonym. Wzrok jego patrzał raczej wdół, unikał naszego wzroku, czuć było w nim pewną nerwowość, ton głosu w rozmowie nie zawsze odpowiadał tematowi, stopniowanie określeń nierówne, nazbyt dużo superlatywów, szkoła sowiecka znana mi z permanentnych wieców pod pomnikami w Moskwie i Kijowie, a potem z posiedzeń mińskich, gdy w najgorszem ubraniu i w długich butach walczyłem z miejscowymi komisarzami sowieckimi o losy powierzonych mi przez Centralny Komitet Obywatelski uchodźców — przejawiała się w Marchlewskim jaskrawo. A jednak, wyznać muszę, dostrzegłem w tym niespokojnym wzroku jakąś poczciwość i powiedziałem sobie odrazu, że z tym człowiekiem zdołam się porozumieć w dziedzinie zagadnień humanitarnych, będących celem realnym naszej misji.

Kujawski-Marchlewski kwaśno wysłuchał twardych słów o tem, że rząd polski z rządem sowieckim nie ma zamiaru rokować, conajwyżej mógłby pozwolić Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi porozumieć się z Sowieckim Czerwonym Krzyżem co do więźniów i to pod warunkiem, że rząd sowiecki uprzednio dowiedzie czynem, że zrywa z metodą brania zakładników. Marchlewski uważał to za wysuwanie na czoło rzeczy błahych. Wszak on proponuje coś znacznie ważniejszego, taka drobnostka, jak zwolnienie zakładników i jeńców eo ipso będzie rozwiązana z chwilą, gdy rozmowy poważniejsze zaczną się zarysowywać. Musiał jednak ustąpić wobec zasady, że „qui veut la fin veut les moyens" stanęło, że komisje obu towarzystw Czerwonego Krzyża zjadą się dla obrad o likwidacji zakładników, obiecaliśmy mu tyle tylko, że postaramy się do mandatów Delegacji dodać prawo preliminarnego omówienia stosunku Towarzystw Czerwonego Krzyża, spraw powrotu uchodźców, wymiany pewnych kategoryj więźniów i zagadnienia obywatelstwa obu państw.

Martwił się Marchlewski, że wraca z niczem, ale zwróciliśmy mu uwagę, że wszak w ten sposób uznamy poniekąd Sowiecki Czerwony Krzyż „de facto", zastrzegając się, oczywiście, że to nie przesądza uznania go „de jure", a to dla odosobnionej



Pociąg delegacji P. C. K. w Mikaszewiczach.

politycznie Rosji Sowieckiej nie jest do pogardzenia.

Marchlewski wylegitymował się pełnomocnictwami Sowietów nietylko moskiewskich, ale i ukraińskich, pozwoliło nam to, gdy upierał się przy zapewnieniu, że właściwie Sowiety zakładnika nie biorą, pokazać mu odpis radjo-depeszy, cotylko otrzymanej przez Naczelnego Wodza od komisarza Rakowskiego z Kijowa, z zapowiedzią represji i oświadczeniem, że krasnoarmiejcom wydany został rozkaz jaknajobfitszego brania zakładników.

Stropił się i posmutniał Marchlewski. Mój Boże! ileż to razy w dalszych rokowaniach widziałem na jego twarzy wstyd palący za tych, o których z urzędu musiał mówić — „my"!

Ileż to razy na owo „my" w ustach Polaków delegatów sowieckich wzdrygaliśmy się niepoprawnie! Ale już w pierwszem pokojowem zetknięciu się z „nimi" nauczyłem się nie używać określenia „Bolszewja", lecz mówić: — „Sowiety".

Długo jeszcze słuchaliśmy wynurzeń Marchlewskiego, który miał nam dużo więcej do powiedzenia, niż my jemu, poczem nieżyjący już adjutant Naczelnego Wodza, Olszanowski, zabrał „Jana Kujawskiego" na front, a Więckowski i ja wróciliśmy do Warszawy, gdzie nazajutrz zdałem raport Naczelnemu Wodzowi, wsłuchując się z zaciekawieniem w jego słowa, gdy mówił o niegasnącym ogniu na froncie wschodnim, a braku ognia w sercu narodu...

Rozmowę przerwała godzina wyjazdu Marszałka Piłsudskiego na Wschód, gdzie miał być zdobywany Mińsk. Na odjezdnem polecił mi Naczelny Wódz zorganizować zjazd towarzystw Czerwonego Krzyża.

A tego samego dnia wśród entuzjazmu zebranych posłów nasz pierwszy Sejm Konstytucyjny ratyfikował pokój z Niemcami 268 głosami, przeciw 41 skrajnej lewicy. Tego samego również dnia o świcie słyszałem w Puszczy Białowieskiej odległą kanonadę działową na Wschodzie — przygotowanie natarcia.

W oczekiwaniu radjo-depeszy od Sowietów, zapowiadającej wydelegowanie misji Sowieckiego Czerwonego Krzyża, przeprowadzałem prace nad sformowaniem naszej delegacji, wyekwipowaniem jej, zebraniem niezbędnych materjałów, instrukcyj i pełnomocnictw. A że musiałem to godzić z memi zajęciami zastępcy komisarza generalnego Z. W., stąd wysiłku trzeba było większego. A lwia część tego wysiłku szła na marne — tyle trudności wszelakiej natury trzeba było przełamywać, by doprowadzić do skutku to, co dziś wspominamy, jako może drobne, lecz bezwzględnie pożyteczne zjawisko z okresu porządkowania chaosu na zrujnowanych ziemiach, a co wówczas, przed dziesięciu laty, budziło tyle zastrzeżeń, podejrzeń, niechęci. Wystarczy, jeżeli powiem, że ta drobna sprawa rokowań o zakładników wymagała całego szeregu uzgodnień dyplomatycznych, politycznych, międzypartyjnych, międzyministerjalnych, nawet między czynnikami wojskowymi: Naczelnem Dowództwem i M. S. Wojsk. To wszystko przy drogach jeszcze wówczas nieprzetartych i wobec przekonania ogółu, że Sowiety tylko zwodzą, że chodzi im tu jedynie o moment agitacyjny i że wszelki kontakt z nimi jest niebezpieczny.

Ostatecznie zarysowały się kompromisy — delegacja Czerwonego Krzyża otrzyma mandat od Ministerstwa: Spraw Wojskowych i Spraw Wewnętrznych, ale oprócz tego trzeba jej było zapewnić autorytet wewnętrzny, upewnić się, że powzięte przez nią w granicach pełnomocnictw zobowiązania istotnie zostaną wypełnione, aż do takich wreszcie szczegółów, że delegacja będzie miała czem pojechać i z czego żyć na miejscu. Komu podkreślenie tych trudności wyda się przesadą, niech przypomni sobie datę — sierpień 1919 roku! Niejednemu naszemu ówczesnemu dygnitarzowi nawet nie chciało się zastanawiać nad błahą sprawą beznadziejnych, jak poczytywał, prób porozumienia towarzystw Czerwonego Krzyża, gdy dzień każdy sprzeczne wieści z granicy wschodniej przynosił. Ruchawka na Litwie, oddziały rosyjskie pod wodzą Liwena zajmują tam Kurszany, idą na Szawle, pod Mińskiem krew spływa obficie. Eryk Czapski przywozi z Mińska listę kilkudziesięciu osób, rozstrzelanych znów ostatnio przez bolszewików. Ażeby ci dać, czytelniku, pojęcie o innych sprawach, rozgrywających się wówczas w Europie, wyliczę ze swych ówczesnych notatek następujące wzmianki prasy: Rumuni zajęli Budapeszt, koalicja wystosowała ultimatum, Bela Kuhn dokonywa prób przewrotu komunistycznego w Wiedniu, Anglicy ostrzeliwują Oczaków i okolice Chersonia, Kołczak i Denikin dokańczają przygotowań ofenzywy przeciwbolszewickiej.

Atmosfera istotnie niesprzyjająca poważnemu traktowaniu naszych poczynań.

Wreszcie 20 sierpnia depesza-radjo z Moskwy z zapowiedzią wysłania Delegacji. Naczelnik Państwa życzyłby sobie, bym stanął na czele Delegacji — odmawiam, — ale pomagam w jej tworzeniu. A wartki potok życia, walk, wysiłków twórczych, wysiłków, idących na marne, toczy się niezwalniając na chwilę biegu, spychając na drugi plan sprawy mniejszej wagi, lub te, w których celowość nie wierzymy. 22 września umiera Aleksander Więckowski; gdym go widział po raz ostatni, nalegał, bym nie zrażając się trudnościami, doprowadził sprawę likwidacji zakładników i więźniów do końca. 26 września pada żądanie Naczelnego Wodza — mam jechać.

Sytuacja polityczna na Wschodzie nieco zmieniona, Kołczak rozgromiony, wojska które go pobiły, rzucono na nasz front, daleko pod Dniepr wysunięty, Denikin idzie zwycięsko z Ukrainy na północ. Jadę.

Już mam upatrzonych współtowarzyszy. Mamy już spis 2.000 nazwisk osób uwięzionych przez czerezwyczajkę pośród Polaków. Przewijają się przed oczyma raporty z za kordonu, nazwiska rozstrzelanych ostatnio w Mińsku: Jana i Wieńczysławy Dąbrowskich, Ryszkowskiego, Plewińskiego, Dubasewicza, Zublewicza, Piotrowicza, Kiełczewskich, Fiedorowicza, Głuchowskich, Żaby, Zbieranowskiego, Kowrygi, Stefanowskiego. Nazwiska spisuje się z ukrytych kawałków materji, wszytej gdzieś do stanika kurjerki P. O. W. odczytuje przez szkło powiększające. Te same bohaterki z takiem samem narażeniem życia przewożą w tamtą stronę pomoc pieniężną — częstokroć same wpadają w sidła i idą „pod stienkę" lub, w najlepszym wypadku, na nową listę uwięzionych się dostają.

Inne materjały dotyczą jeńców wojennych, podano nam liczbę 10.000 żołnierza, ale ustalenie nazwisk dotąd idzie nadzwyczaj opornie. Mam już wreszcie spisy uwięzionych w Polsce za prze-

stępną działalność komunistów i akceptację mego programu co do rozwoju rozmów.

Wreszcie 3-go października 1919 r. zbieram Delegację, odbywamy pierwsze posiedzenie informacyjne, tegoż dnia przyjmuje mnie Naczelny Wódz, Marszałek Piłsudski. Wyszedłem od niego pokrzepiony, bo choć Marszałek Piłsudski nie szczędził przestrogi, że zapewne w osobach delegacji sowieckiej znajdę ludzi nieskończenie przebiegłych i niebezpiecznych — otrzymałem jednak od niego odpowiedź na wszelkie przemyślane uprzednio zapytania i czułem się już uzbrojony, by powierzonemu zadaniu stawić czoło.

Sprawa widocznie dojrzała, gdyż i ministrowie: Spraw Zagranicznych — Władysław Skrzyński, Spraw Wojskowych — generał Majewski, Spraw Wewnętrznych — St. Wojciechowski nie poskąpili mi rzeczowych rozmów.

Wyjechałem 6-go października do Lidy dla porozumienia się z dowódcą frontu, gen. Szeptyckim. Na krótkiej konferencji uzyskałem aprobatę swych wniosków, jedynie naczelny lekarz dowództwa frontu próbował wysunąć żądanie 2-tygodniowej kwarantanny względem powracających z Rosji zakładników i uchodźców, ale przypomniałem mu, że nawet Niemcy w 1918 r. podobneż swoje żądanie zredukowały do wymagania jedynie świadectwa szczepienia ospy. Lekarz ustąpił, bo i tu, jak w Warszawie uśmiechano się lekceważąco — nie wierzono, by poczciwa delegacja Czerwonego Krzyża mogła cokolwiek uzyskać od bolszewików. Otrzymałem od dowódcy frontu ekstra-pociąg bez szyb i wyruszyłem do Łunińca, gdzie po konferencji z dowódcą 9-ej dywizji, ówczesnym płk., dziś generałem Sikorskim, wsiadłem do przybyłego z Warszawy naszego pociągu delegacyjnego i 10 października stanęliśmy na miejscu naszych rokowań w Mikaszewiczach. Byliśmy w komplecie: mój zastępca Edward Zaleski, Ludwik Uniechowski, wiceprezeska Czerwonego Krzyża Helena Bispingowa, Marjan Strumiłło, sekretarz Otton Węcławowicz, dr. Gawłowski, dr. Bałaczeskul, Leon Trzeciak, Baczyński — oficer łącznikowy naczelnego dowództwa, Bołoż-Antoniewicz, oficer łącznikowy gen. Sikorskiego i p. Nowacki, przedstawiciel Jura, powołanego do technicznego wykonywania sprawy powrotu zakładników i więźniów.

Tego samego dnia przybyła z za frontu delegacja sowiecka: Juljan Marchlewski, przewodniczący, Bronisława Marchlewska, jego żona, Zofja Marchlewska, ich córka. Eksperci-konsultanci: Nestor Pantelejmonowicz Manulic, Aleksander Stanisławowicz Sonier, Juris-konsult, Mikołaj Wasiljewicz Jepanicsznikow; kurjerzy: Kubilis i Jabłoński.

Większość stanowią polacy. Prócz Marchlewskiego, żona jego Bronisława, córka Zofja, ekspert-konsultant Aleksander Stanisławowicz, Sonier i kurjer Jabłoński. Rosjanami są: Nestor Pantelejmonowicz Manulic, ekspert-konsultant i Juris-konsult Mikołaj Wasiljewicz Jepanicsznikow. Drugiego z kurjerów, Kubilisa, nazwijmy, zgodnie z jego życzeniem — Litwinem. Nikt z nich nie ma nic wspólnego z Czerwonym Krzyżem. Jepanicsznikow został dobrany jako juris-konsult w ostatniej chwili, gdy okazała się potrzeba rozstrzelania profesorów prawa międzynarodowego, wyznaczonych uprzednio do składu delegacji. Pani Marchlewska, zdaje mi się, Goldmanówna z domu, rodem z Łodzi, czynną jest pono w organizacji kobiet dla walki z religją. Sonier — prawa ręka dyktatora petersburskiego — Zinowjewa, Jabłoński — oficer sztabowy wodza naczelnego. Nadzór komunistyczny sprawia Manulic, typ wschodni, ponury. Jeżeli na chwilę przychodzi człowiekowi myśl, że znajduje się w rękach tej paczki, role zdaje się byłyby podzielone w ten sposób, że: Sonier prowadziłby śledztwo, Marchlewski broniłby, Jabłoński napisałby nieortograficznie akt oskarżenia („życzyć" przez rz), Marchlewska wydałaby wyrok śmierci, z satysfakcją wykonany przez Manulica. Jepanicsznikow nie wtrącałby się do sprawy, a młodziutka panna Zofja Marchlewska patrzyłaby na to wszystko nieco przerażonym wzrokiem.

Na szczęście sytuacja była odmienna, łatwo było zrozumieć, że Delegacja sowiecka jest dekoracją i obserwacją — istotne pełnomocnictwa posiada Marchlewski.

Na wstępie formalne zawikłanie. Nasza delegacja w zakresie sprawy zakładników upoważniona jest do ostatecznych rozstrzygnięć, oni zaś mają zastrzeżenie ratyfikacji. Zawieszamy więc formalne obrady — kurjer Jabłoński wyrusza do Moskwy. Nie wstrzymuje to rozmów, przeciwnie, pogadanki z Marchlewskim dają mi sporo materjału dla raportów do Naczelnego Dowództwa, co się zaś tyczy spraw, obchodzących Czerwony Krzyż, jasno się zarysowuje, że ponieważ ustaliliśmy kolejność tematów i zapowiedzieliśmy, że nie przejdziemy do następnego, zanim nie załatwimy poprzedniego, więc, co robić — ustąpią! Bo im przecie chodzi o te następne sprawy! Czuć było,

że w skuteczność misji Marchlewskiego w Moskwie, podobnie jak w Warszawie nie wierzono, więc on tembardziej chce dowieść, że jednak z Polakami można rozmawiać.

Pewien miejscowy mieszkaniec „Poleszuk", przyszedł do pociągu i spytał, czy mógłby w sprawie konia, ukradzionego mu przez bolszewików, porozumieć się z delegacją, która, jak go poinformowali żydzi, przyjechała tu „na gadanie". Słowo to, choć nieco wulgarne, przyjęło się w naszym pociągu, gdyż istotnie dobrze określało zamiary Sowietów, pozatem nieomal każdy z Polaków-delegatów sowieckich użył je, utyskując na Zachód Europy, że dotąd wcale nie chce z Sowietami „gadać".

Więc rozpoczęliśmy nieoficjalne rozmowy, krok za krokiem przygotowując teren. Zeszły tak dwa tygodnie na oczekiwaniu, a w międzyczasie zmieniały się rozmaicie nastroje, zależnie od planu taktycznego, zależnie od wieści, które do nas przylatywały ze Wschodu i Zachodu.

Opracowanie materjałów o tyle postąpiło naprzód, że 25 października postanowiliśmy wysłać drugiego kurjera do Sowietów. Razem z płk. Sikorskim i E. Zaleskim odwieźliśmy Kubelisa na front. Tam żołnierz z ostatniego posterunku wziął kurjera z zawiązanemi oczyma pod rękę, na bagnet karabinu zatknął brudną szarą szmatę i udał się na most na Ptyczy. Po kwadransie był już z powrotem, ostrzelany w powrotnej drodze z kulomiotów sowieckich.

W parę dni potem otrzymałem telefoniczne zapytanie z frontu, czy wpuścić nową delegację sowiecką. Prosiłem o dostawienie jej do pociągu. Okazało się, że to kurjerzy Kubelis i Jabłoński z całą bibljoteką wydawnictw sowieckich, wiezionych ku naszemu zbudowaniu. Przywieźli wreszcie rozszerzone pełnomocnictwa — mogliśmy wznowić urzędowe konferencje.



Posiedzenie delegacji P. C. K. w Mikaszewiczach.

Gładko przeszło zagadnienie przewodniczenia na posiedzeniach wspólnych i języka obrad. Poprosiłem Marchlewskiego, by uczynił propozycję. Odrzekł:

— Przewodnictwo niech należy do przewodniczących Delegacyj kolejno. Co do mnie zrzekam się tego w ręce pana. A język proponuję polski, tylko Manulic i Jepanieszników będą mieli prawo przemawiania po rosyjsku.

Po łatwym wstępie nastąpiły obustronne deklaracje, zarysowały się dwa krańce światopoglądów i zapatrywań. Dwie ideologje, wprost dwie umysłowości, których pogodzić nie sposób. Zdawało się, że na tem trzeba skończyć rokowania, niektórzy z członków naszej Delegacji wprost szepnęli mi radę, bym zamknął posiedzenie i zarządził wyjazd. Przyjąłem tylko pierwszą radę, zamknąłem posiedzenie propozycją, by przewodniczący obu delegacyj dokonali próby znalezienia kompromisu w rozmowie w cztery oczy.

Udaliśmy się do wagonu, zajmowanego przez Delegację sowiecką, z którego po rozmowie z Juljanem Marchlewskim, wyszedłem z następującym rezultatem:

1) Rząd Sowietów złożył oświadczenie, że odtąd wyrzeka się systemu brania zakładników.

2) Rząd Sowietów zwolni i odda Polsce wszystkich dotąd wziętych zakładników-Polaków.

Odbywa się to bez kompensat. Osiągnął to argument, że branie zakładników było stosowane jedynie przez Rosję.

Była chwila wprawdzie, gdy Marchlewski, walcząc o nadanie aktowi charakteru dwustronnego oświadczenia, powołał się na fakty, wskazujące, że po stronie Polski stosowano okrucieństwo. Odrzekłem mu na to, że istota różnicy polega na tem, że to, co my u siebie nazywamy gwałtem, co piętnujemy i karzemy — w Rosji jest uprawnionem działaniem władzy państwowej, i dlatego gwałt tępią u nas prawodawstwo i sądy, zaniechanie tego gwałtu w Rosji wymaga urzędowej deklaracji. Głowa Marchlewskiego pochyliła się jeszcze niżej, gdy oświadczyłem kategorycznie, że w razie odmowy Delegacji Sowieckiej na jednostronną deklarację, co do zakładników — zamykamy rokowania i opuszczamy Mikaszewicze — ustąpił, bo do tego delegacja sowiecka nie chciała dopuścić.

Moi koledzy z delegacji polskiej, obecni na beznadziejnej dyskusji w czasie urzędowego posie

dzenia nie chcieli uwierzyć sukcesowi, przypomniałem im jednak tak bardzo charakterystyczne upodobanie Rosjan, a tembardziej sowieckich, wyrażające się w słowach: „dawajtie sporit". Spędzenie czasu na dyskusji najlepiej odpowiada ich duchowej potrzebie i stanowi istotnie rosyjskie „l'art pour l'art".

Najelokwentniejszy z delegatów sowieckich był Polak — Jabłoński, przemawiający z własnej inicjatywy stale po rosyjsku. Słuchaliśmy go uważnie, skrzętnie notując sobie, że w Rosji sowieckiej, prócz zakładników i więźniów politycznych, istnieje jeszcze kategorja ludzi, uwięzionych, jako „poszlakowanych o brak przychylności dla robotników i włościan".

Nauczeni doświadczeniem, z chwilą, gdy 30-go października zebraliśmy się znowu na wspólne posiedzenie i Marchlewski wręczył nam akt, zawierający omówioną deklarację — zaproponowaliśmy odesłanie wszystkich spornych spraw do komisyj, któreby nie protokółując swych obrad, dostarczyły nam możliwie uzgodnionych wniosków na posiedzenia urzędowe. Zgodzono się, że w razie napotkanych trudności, przewodniczący delegacyj postarają się rozwiązać je na wspólnej naradzie.

Już po złożeniu deklaracji o zwolnieniu zakładników w Rosji jeden z Polaków w delegacji sowieckiej, niech mi będzie wdzięczny, że go tu nie nazywam, zastrzegł się, że zwolnieni zakładnicy będą musieli dopiero starać się o prawo wyjazdu do Polski, każdy oddzielnie. Zapytany, czemu chce w ten sposób zepsuć znaczenie aktu, przynoszącego im zaszczyt, odrzekł z sowiecką szczerością, że takie zatrzymywanie byłych zakładników będzie miało duże znaczenie agitacyjne, będzie się bowiem zwolnionym zakładnikom mówiło, że Polska nie chce ich przyjąć. Spostrzegł się pan delegat, że przeholował w szczerości, wmówiliśmy mu tedy, że żartował i przewodniczący delegacji sowieckiej rozstrzygnął sprawę oświadczeniem, że towarzysz „oczywiście" zażartował.

Zaproponowałem wtedy, by każda z delegacyj zwróciła się do swego dowództwa z prośbą o wydanie stosownych zarządzeń wykonawczych, a w szczególności o zaniechanie na czas powrotu zakładników działań wojennych na odcinku Kalenkowicze—Kopcewicze.

Wnet po pomyślnym wstępie trudności poczęły wzrastać z dniem każdym, bo delegacja sowiecka chciała iść wciąż dalej w układach, a myśmy żądali wykonania pierwszego punktu, zanim się przejdzie do następnego. Więc znów zaczęło



Delegacja C. K. R.S.F.S.R. w pierwszym rzędzie siedzą państwo Marchlewscy.

się nieskończone „dawajtie sporit!" i nieskończona wymiana zapewnień o wzajemnej nieufności, aż wreszcie komisje utknęły beznadziejnie w trzęsawisku takich określeń, jak: jeniec cywilny, więzień polityczny, osobnik uwięziony wskutek poszlak i t. d. W jednem mieli nasi przeciwnicy rację, a mianowicie, że tekst naszych pełnomocnictw sam zbędne rozróżnienia w tych określeniach wprowadzał.

Zauważyłem, że znów trzeba odwiedzić Marchlewskiego w jego osobistym przedziale wagonowym. Zaniosłem mu taki kompromis: każda strona nazwie wszystkich uwięzionych obywateli strony przeciwnej bez żadnych wyłączeń jeńcami cywilnymi, wszyscy zostaną zwolnieni i przeprowadzony będzie ich powrót do kraju bez porównywania ekwiwalentów. Za warunek swojej zgody na taką formułę zgłosiłem — niezwłoczne rozpoczęcie powrotu zakładników.

Proponując takie ujęcie zagadnienia, powodowałem się myślą, że redakcja powinna być krótka i kategoryczna, by nie dawać pola do umniejszających komentarzy, a zarazem winna obejmować najszersze grono interesujących nas ludzi, bo i tak przewidywać należało, że Sowiety nie wykonają swych zobowiązań i obietnic w całości.

Marchlewski po dłuższem wahaniu, przyjął proponowaną redakcję. Było to zwycięstwo z dnia 1 listopada. Komisje przystąpiły wnet do ustalania spisów tych dwóch kategoryj więźniów: zakładników i jeńców cywilnych.

Urzędowe teksty umów podpisano w uroczystej ciszy, poczem wysłano depesze do obu rządów.

Wówczas członkowie naszej delegacji rozpoczęli w komisji, ustalającej listę zakładników i jeńców cywilnych, mrówczą pracę, w której o każde

nazwisko, o każdy adres trzeba było staczać walkę, by efektowny układ nie pozostał martwym gestem, by jak najbardziej dokładne jego wypełnienie corychlej sprowadzić.

Ile to trzeba było wysiłków i trudów, by jakieś nazwisko przenieść z listy jeńców cywilnych, podlegających bądź co bądź pewnego rodzaju wzajemnej kompensacie, na listę zakładników, mających rozpocząć powrót natychmiast.

Trzeba było przeprowadzać walkę o każdego zakładnika. Chciano nam wyłączyć arcybiskupa Roppa, zasłaniając się jakiemiś rokowaniami bezpośredniemi ze Stolicą Apostolską, odmawiano wydania ks. Mukermana, bohatera wileńskiego, bo jest on poddany niemiecki i t. d.

Z drugiej zaś strony Marchlewski żądał wydania Rosji uwięzionych komunistów-Polaków, obywateli polskich, rozciągając na nich w swoim komentarzu dobrodziejstwo umowy o jeńcach — doszło między nami do tego, że wobec zaostrzonej rozmowy, odłożyliśmy jej zakończenie do dnia następnego. Wieczorem nadeszły z Warszawy gratulacje, aprobata, zachęta, ale zarazem otrzymuję od mandatarjuszów wyrazy obawy, czy nie posunąłem się zbyt daleko w uogólnianiu.

Nazajutrz, coprawda, już późno wieczorem, osiągnęliśmy wreszcie obustronną zgodę na kompromis: utrzymaliśmy zasadę, że wydani będą jeńcy cywilni, wszyscy za wszystkich, bez obliczania ich ilościowo. Co się zaś tyczy polskich obywateli komunistów, aresztowanych w Polsce za przestępczą działalność, co do których wyrok jeszcze nie zapadł, mogą być, o ile na to sami osobiście wyrażą zgodę, wydaleni z Polski przez granicę sowiecką.

Podaliśmy sobie ręce z Marchlewskim — spojrzałem mu prosto w oczy:

— Panie Marchlewski, więc jeńcy cywilni wszyscy bez wyjątku.

— Dalipan (dalibóg, nie pasowałoby do komunisty), tak, bez wyjątku,... tylko...

— Tylko co?

— Tylko oprócz arcybiskupa Roppa i ojca Muckermana.

— W takim razie na powrót tych ostatnich poczekają u nas Auerbach i Lachel.

— Dajcie wizę tranzytową panu R. z Niemiec do Rosji, — to oddamy i te wyjątki wraz z Danglem.

— Panie Marchlewski, czy pana nie razi podobny targ o towar ludzki?

Znów smutna twarz, oczy w dół spuszczone — milczy...

Więc czekamy na pewne dodatkowe instrukcje z Warszawy, Marchlewski sam się do Moskwy wybiera po jakieś „placet". A nasze grono delegacyjne walczy dalej o listę pierwszego transportu powracających zakładników, o listę następnego, o trzecią listę — nie przyznawaną dotąd przez delegację sowiecką, ale przez nasz wywiad ustaloną..., dalej o listy osób, będących na wolności, pragnących powrócić i t. d. Walczą dzielnie nasi niestrudzeni delegaci: E. Zaleski, T. Trzeciak, M. Strumiłło, Helena Bispingowa i inni. Oto kilka cyfr:

Lista zakładników Polaków	380
Lista Nr. 2 jeńców cywilnych Polaków w Rosji	113
Lista Nr. 3 mięszana jeńców i zakładników	1.081
Polaków	1.574
Lista Nr. 1 jeńców cywilnych Rosjan, uwięzionych w Polsce	172
Lista Nr. 3 jeńców cywilnych Rosjan na wolności	36
Lista Nr. 5 komunistów uwięzionych	99
Rosjan	307

W opracowaniu lista Nr. 7 — 306 jeńców.

Wreszcie 8 listopada wieczorem otrzymaliśmy depeszę, upoważniającą nas do podpisania tych z pośród umów, które jako przekraczające zakres naszych formalnych pełnomocnictw, musiały uzyskać aprobatę Naczelnego Dowództwa. Nazajutrz jeszcze jedna walna potyczka, i wyznaczone podpisanie umów, zatwierdzenie i podpisanie spi-

sów zakładników. Osoby arcybiskupa Roppa i ks. Muckermana na niej nie figurują, ale Marchlewski dał mi słowo honoru, że osobiście wystara się o ich zwolnienie i że od nich rozpocznie się powrót zakładników. Bez najmniejszego wahania oświadczyłem mu, że stawiam to jego osobiste zobowiązanie narówni z podpisaną umową.

Natomiast przy sprawie jeńców cywilnych nowe wybuchły zastrzeżenia: delegacja sowiecka zażądała obustronego prawa do wzajemnego wysłania delegacyj kontrolujących Czerwonego Krzyża do państwa strony podpisującej umowę, ogłoszenia umów w dzienniku urzędowym, oraz urzędowego oświadczenia przez władze polskie, że przejazd do Rosji nie pozbawia komunisty obywatelstwa polskiego. Odpowiedzieliśmy na wspólnem posiedzeniu delegacyj kategoryczną odmową, poczem zaproponowałem odesłanie zatargu do próby porozumienia dwóch przewodniczących. I znów udałem się do Marchlewskiego, tym razem z takim listem Edwarda Dziadosza z dnia 3 września 1919 roku do Tadeusza Lizenbarta, syna i brata zamordowanych w Kijowie Marji i Haliny Lizenbartów:

„Niestety, jestem zmuszony powiadomić Sz. Pana o strasznym i smutnym wypadku, matka i córka Lizenbart zostały zamordowane przez kijowską Komisję Nadzwyczajną (czerezwyczajkę). Przed śmiercią obie były męczone, obie mają wycięte pasy skóry, matka w poprzek, córka wzdłuż ciała, oprócz tego z Haliny L. została zdjęta „rękawiczka", czyli inaczej — ściągnięta skóra z ręki, matka miała powbijane gwoździe pod paznokcie, oprócz tego obie były oparzone wrzątkiem. Wszystkie pieniądze, złoto, srebro i rzeczy państwa zostały rozgrabione".

Taką była zemsta za znalezione u nich papiery Polskiego Przedstawicielstwa w Kijowie.

Twarz Marchlewskiego, gdy czytałem ten list, była wprost tragiczna.

O północy delegacja sowiecka podpisała ostatecznie wszystkie umowy i spisy. Marchlewski nazajutrz wyjechał do Moskwy, by swą ustępliwość wytłumaczyć. Pożegnałem go słowami:

— Niech pan przywiezie z sobą arcybiskupa Roppa, ks. Muckermana i Józefa Dangla, a obiecuję panu zapewnić wizę na przejazd R. przez terytorjum polskie.

— Naprawdę? no, to sprawa załatwiona.

Delegacja sowiecka złożyła tymczasem 5 nowych wniosków: 1) o uchodźcach, 2) o wymianie jeńców wojennych, 3) o uznaniu i honorowaniu praw rosyjskiego Czerwonego Krzyża, 4) o zwyczajach wojennych i 5) o wymianie medykamentów. Więc... — Dawajtie sporit!



J.E. ks. Arcyb. Edward Ropp.

Przyszły gazety z Warszawy z krótką wzmianką o zawartym układzie, z długiemi natomiast artykułami o pożarze teatru „Rozmaitości". Postanowiłem pojechać do Warszawy. Tam złożyłem należne raporty w Zarządzie Czerwonego Krzyża, oraz w Naczelnem Dowództwie i w Rządzie. Wyczerpująca rozmowa, której udzielił mi Wódz Naczelny, dała mi nowe, cenne informacje dla dalszych rokowań, w zakresie wniosków, złożonych nam przez delegację sowiecką.

Wróciłem do Mikaszewicz 20 listopada, czwartego dnia po wyjeździe z Warszawy. Marchlewskiego jeszcze nie zastałem, ale już w dwa dni potem, 22 listopada, nastąpił dzień niezapomniany. Wyruszyliśmy na spotkanie wracającego z Moskwy Marchlewskiego. Wjazd Marchlewskiego na terytorjum polskie został nam już zakomunikowany, mieliśmy się z nim spotkać w Kopcewiczach. Gdy tam przybyłem, wskazano mi izbę, w której na nas oczekiwał. Udałem się tam i gdy wzrok na chwilę oślepiony światłem rozróżnił wreszcie twarze szeregu zebranych postaci, ujrzałem obok Marchlewskiego i Jabłońskiego trzy drogie nam istoty, drogie i bliskie chociażby ze względu na tyle trudów i walk, stoczonych z delegacją sowiecką o ich uwolnienie i powrót. Stali przed nami: arcybiskup Ropp i ojciec Muckerman z kazamat smoleńskich, oraz Józef Dangiel z więzienia na Butyrkach. Poza nimi stała jeszcze jedna istota, bliska mi nawet z węzłów rodzinych, figurująca na 1-ej liście, zakładniczka wileńska, matka sześciorga dzieci, Marja K. Była to niespodzianka, zrobiona mi przez Marchlewskiego z jego własnej,

poczciwej inicjatywy. Imieniem Polskiego Czerwonego Krzyża pozdrowiłem wśród powszechnego wzruszenia obecnych (mam wątpliwości co do Jabłońskiego) tych pierwszych, wracających z udręki męczenników. Ile potem było opowiadań, wzruszających wspomnień! Ks. Muckerman, gdy wieczorem dnia wyzwoleńczego wpadł doń słynny wileński komisarz Ajdukiewicz i oświadczył, że czeka na nich samochód, spytał tylko: — „do lasu"? „Nie" — zaśmiał się wesoło Ajdukiewicz, „do lasu wiozą samochody ciężarowe, a ten jest lekki". Ten sam Ajdukiewicz udał się potem do celi, gdzie była Marja K. Wpadł do pokoju, stanął w pozie teatralnej: — „Widzicie, kto ja jestem?". — Milczenie — nikt go nie znał. „Jakto, nie wiecie, kto ja jestem?". — Znów milczenie, potem głos rewelacyjny: „Jestem Ajdukiewicz!".

Wesoło było, radośnie tego dnia w Mikaszewiczach, ale i rzewnie zarazem, gdy na widok białej bułki oczy iskrzyły się naszym zwróconym zakładnikom i wyrwał się im okrzyk zachwytu: „Boże, bułka!". A grono młodszych naszych kolegów już dorobiło nową strofkę do śpiewanych wieczorami piosenek:

„Przybyli oczekiwani
I zostali nam oddani
Jeden w spodniach
Trzech w spódnicy
Wszak to pierwsi zakładnicy".

albo:

„Przybyli polscy zakładnicy, zjadają co się da
Coraz to ciaśniej w okolicy, na miesiąc jeńce dwa".

I znów potoczyły się dnie pracy wytężonej i wysiłku w rozwikływaniu piętrzących się trudności. Zagadnienie lokalnego zawieszenia broni rozrosło się do rozmiarów wielkiego sporu. Szły od nas do Sowietów napomnienia i groźby, by wreszcie dany był poważniejszy wyraz zawartym dotąd układom, a w międzyczasie rokowano o dalszych.

Na wniosek o wzajemnem uznaniu się naszych towarzystw Czerwonego Krzyża, złożyłem na dowód nierówności uprawnień akt uznania Polskiego Czerwonego Krzyża przez Komitet Międzynarodowy, na wniosek konwencji, ustalającej wzajemne zasady metod wojennych — złożyłem odpis akcesu Państwa Polskiego do Konwencji Genewskiej z 1906 roku. Dokumenty wywarły wrażenie, bo ich nie oczekiwano, ale Sowietom nie zbraknie materjału dyskusyjnego.

— Dawajtie sporit!

Nie szczędziliśmy trudów, a przez ten czas cała organizacja przygotowań na powrót zakładników została przez J. U. R. przeprowadzona i tylko spór władz wojskowych o punkty przejścia frontu nadmiernie się przeciągał.

Wreszcie ostateczna redakcja tekstów umów o wzajemnym stosunku towarzystw Czerwonego Krzyża, o zwyczajach wojennych i o majątku Czerwonego Krzyża w redakcji przez nas zaproponowanej uzyskała wstępną aprobatę obu delegacyj, kurjerzy zawieźli projekty do obu rządów dla ratyfikacji.

Delegacja, jako powołana dla przeprowadzenia rokowań swoją rolę wypełniła. Pozostało zatwierdzenie ostatnich umów i wykonanie pierwszych. Sprawa z natury rzeczy przeszła do rąk władz wojskowych i cywilnych, techniczne wykonanie objął urząd do spraw powrotu jeńców i zakładników (J. U. R.).

Zakładnicy: arcybiskup Ropp, ks. Muckerman i M. K. wyruszyli już dalej, tylko zacny J. Dangiel pozostał i nieocenione oddawał nam usługi w pracach delegacji.

Wreszcie 29 listopada płk. Sikorski zaprosił dowódcę sztabu dywizji bolszewickiej na rokowania w sprawie miejscowego zawieszenia broni. Nadeszła pomyślna odpowiedź dowódcy sowieckiego odcinka poleskiego, tylko godzinę spotkania przeniosła z 11-ej na 10 i pół rano, by „projawit indiwidualnost i niezawisimost", co nie przeszkadza, że nazajutrz o 11-ej rano kurjer Manulic prosił płk. Sikorskiego jeszcze o trochę cierpliwości, a dopiero o 3-ej popołudniu stanął po naszej stronie linji bojowej podoficer sowiecki z 8-ma towaryszczami-sołdatami. Delegat z szablą tatarską u boku, świeżo ogolony z niezmytem mydłem na policzkach, a wśród ośmiu towarzyszy — 3 systemy karabinów. Jako dokument uwierzytelniający pokazał kartkę 10 na 15 cm., wyrwaną z notatnika, z napisem ołówkowym:

„Posyła się delegata od komendy odcinka bojowego, towarzysza Bokariuczenkę, dla pertraktacji z naczelnikiem dywizji". Podpis dowódcy pułku nieczytelny, żadnej pieczęci, ani numeru. Rozbawiło to płk. Sikorskiego: „Z czemżeście przyszli?" — spytał.

— „Pokój zawierać" — brzmiała dobroduszna odpowiedź i orszak pułkownika nie zdzierżał śmiechu, zarażając również całą delegację sowiecką. Poczęto objaśniać chochołom nieporozumienie, kiwali głowami, potwierdzali, że rozumieją.

— „Rozumie się! oczywiście!". — Wtedy zwrócił im uwagę płk. Sikorski, że przecież to wszystko już było powiedziane w zaproszeniu!

— „Nasz komandir niegramotien" — brzmiało tłumaczenie.

Postawiłem wreszcie wniosek likwidacji prac delegacji. Jeszcze trzymamy to w tajemnicy, jeszcze dysputujemy. Po jakiejś gorącej, beznadziejnej dyskusji na Komisji, pewien delegat sowiecki przeciąga się i powiada:

— „Oryginalna rzecz takie posiedzenie, na którem każdy z nas musi mówić co innego, niżby chciał".

Mieliśmy tego dosyć. Dnia 7 grudnia delegacja polska złożyła delegacji sowieckiej deklarację, w której między innemi oświadczyła, że widzi się zmuszoną uroczyście wezwać delegację R. T. Czerwonego Krzyża w Rosji Sowieckiej do niezwłocznego wykonania powziętych przez nią w umowach z 2 i 9 listopada 1919 roku zobowiązań.

Jednocześnie delegacja P. T. Czerwonego Krzyża oświadczyła, że dalszy udział P. T. C. K. w pertraktacjach z R. T. C. K. uzależniony będzie od rychłego wykonania powziętych przez nich zobowiązań.

Krótka rozmowa przez Huges'a z Belwederem, który zaaprobował to stanowisko. Ostatnia wizyta w przedziale wagonowym J. Marchlewskiego, wręczenie mu deklaracji, konsternacja, odpowiedź delegacji sowieckiej, krótki okres likwidacyjny, ostatnia poufna rozmowa z Marchlewskim, jego oświadczenie, że ma za sobą Lenina i Dzierżyńskiego, więc sabotaż innych dygnitarzy przełamie i obietnicę spełni, ale zarazem — głuche odgłosy nadciągającej burzy wojennej. Przybywają poprawki, proponowane przez Radę Komisarzy Ludowych do naszych umów. Odrzucamy je jako spóźnione. Wreszcie 16 grudnia delegacje rozjechały się do swych stolic, zobowiązawszy się wzajem, że każda na miejscu przedsięweźmie wszystkie możliwe zabiegi, by doprowadzić do najrychlejszego urzeczywistnienia układów delegacyj Towarzystw Czerwonego Krzyża.

Delegację sowiecką odwiózł do granicy por. Antoniewicz. Sowiecki rotnyj komandir, wyciągnął rękę do naszego konwojenta, ale ten go tylko odsalutował, a stropionego komandira pocieszyła pani Marchlewska słowami: „niepodawajtie ruki, cto wied nie naszi!".

W Warszawie zdaliśmy sprawozdanie, dokumenty, wysłuchaliśmy podziękowań, powołana została specjalna komisja do spraw, związanych z wykonaniem umów z bolszewikami. Na podpisaniu 27.12 1919 r. radjo-depesz do Sowietów o wydanych na froncie rozkazach przepuszczenia transportu zakładników, zakończyła się moja rola. Edward Zaleski, Władysław Raczkiewicz i gen. Żeligowski weszli w skład komisji wykonawczej.

A już 2 stycznia 1920 roku, Polski Czerwony Krzyż miał szczęście przyjąć na froncie bolszewickim pierwszy transport 480 powracających zakładników... Na linji frontu na polskich okopach stali delegaci Czerwonego Krzyża.. Od placówek sowieckich zjawił się tłum, eskortowany przez krasnoarmiejców. Cisza była w powietrzu, milczące oczekiwanie i nagle z tłumu bliskiego już polskiego posterunku, wybuchła pieśń: „Boże, coś Polskę!". I nikt nie mógł oprzeć się przemożnemu wzruszeniu. Płakano, łkano, na piersi sobie padano... Na przodzie pochodu kroczył z długą, siwą brodą sędziwy profesor Masonius z Mińska. Za nim znany adwokat, p. Dw. Gdy odczytując spis przyjmowanych zakładników p. Uniechowski wymienił nazwisko „Wyszomierski" i adw. Dw. zawołał: „jestem", zdziwienie zarysowało się na twarzy Uniechowskiego. Dostrzegł to wnet agent sowiecki, podskoczył żywo do p. Dw. — „Kak twoja familia?!". Ale już Uniechowski oświadczył: „Przyjęty" i kryjący się pod przybranem nazwiskiem p. Dw. został uratowany. Prócz takich co z konieczności kryli się pod cudzem nazwiskiem, byli i tacy, których Rosja sowiecka chciała na terytorjum polskie przeszmuglować. Podobno około 25 agentów bolszewickich, a wśród nich jednego przebranego za księdza, zatrzymano.

Juljan Marchlewski dotrzymał słowa, a rychło depesza jego zapowiedziała nowy transport 103 zakładników i 370 jeńców. I wykonywał Czerwony Krzyż swe doniosłe dzieło humanitarne, podczas gdy na terenie wschodnim rozlegały się coraz groźniejsze grzmoty wzmagającej się burzy. Rosja triumfująca nad Denikinem, Judeniczem i Kołczakiem, przysłała Polsce propozycję układów pokojowych, szykując jednocześnie swe wielkie natarcie. Wojska polskie zajęły Dźwińsk. Zbliżało się wielkie doświadczenie i zbawczy Cud nad Wisłą...

(Zastrzega się prawo reprodukcji fotografij, zamieszczonych w powyższym artykule).

Polski Czerwony Krzyż w Rosji Sowieckiej.

Polski Czerwony Krzyż rozpoczął swoją działalność w Rosji Sowieckiej we wrześniu 1920 roku, po zawarciu pomiędzy Czerwonym Krzyżem Z. S. S. R. i Polskim Czerwonym Krzyżem umowy, według której praca Rosyjskiego Czerwonego Krzyża w Polsce powierzała się obywatelowi polskiemu, zaś praca Polskiego Czerwonego Krzyża w Rosji Sowieckiej miała być wykonywana przez obywatela rosyjskiego.

W pierwszych dniach września 1920 roku, gdy Polska i Rosja znajdowały się jeszcze na stopie wojennej, zaproponowano pani Katarzynie Pieszkowej, objęcie opieki nad polskimi „jeńcami cywilnymi". Rząd polski nie mógł mieć wówczas żadnej placówki na terytorjum Rosji Sowieckiej i gdy biuro Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie rozpoczęło swoją działalność, wszystkie grupy polskich obywateli, przebywających w Rosji, zwróciły się odrazu o pomoc ku Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Życie rozszerzyło odrazu wytknięte początkowo ramy pracy i w grudniu 1920 roku, gdy w Rydze nastąpiło spotkanie p. Katarzyny Pieszkowej z przedstawicielem Komitetu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża, p. Edwardem Zaleskim i przedstawicielką Czerwonego Krzyża Z. S. S. R. w Polsce, p. Stefanją Sempołowską, ujęto znacznie szerzej granice pierwotnej pracy i postanowiono roztaczać opiekę nad jeńcami wojennymi i nad repatrjantami.

Począwszy od owej chwili, aż do przybycia do Moskwy delegacji polskiej, biuro Polskiego Czerwonego Krzyża prowadziło intensywną pracę, załatwiając sprawy wyżej wymienionych kategoryj obywateli polskich. Zakres pracy stale się powiększał, wystarczy powiedzieć, że na początku p. Pieszkowa, jej zastępca p. Winawer i trzech współpracowników załatwiali wszystkie bieżące sprawy, zaś po roku ilość współpracowników Polskiego Czerwonego Krzyża w Moskwie urosła z samej siły rzeczy do 57 osób. Ogólna liczba pracowników P. C. K., licząc oddziały na prowincji, wynosiła 100 osób.

Gdy Polski Czerwony Krzyż rozpoczął swoją działalność w Rosji, około 5.000 więźniów-Polaków, przebywających w 25 więzieniach, położonych w Moskwie i w jej najbliższych okolicach korzystało z opieki Polskiego Czerwonego Krzyża.

Udało się otrzymać dla potrzeb P.C.K. samochód ciężarowy, wagon osobowy i „ciepłuszkę" dla objazdów i rozsyłania rzeczy na prowincję.

W niektórych miastach na prowincji, w których znajdowała się wielka ilość więźniów polskich, zostały założone oddziały P. C. K.

Oddział w Niżnym-Nowogrodzie liczył 5 pracowników, w Piotrogrodzie 28, w Tule — 3. Powstały również ekspozytury P. C. K. w Jarosławiu, Tambowie, Penzie i Orle.

W czasie objazdów przedstawiciele P. C. K. odwiedzili następujące miejscowości: Twer, Rybińsk, Kostroma, Kienieszma, Daniłow, Iwanowo-Wozniesieńsk, Morszańsk, Władimir, Smoleńsk, Ekaterynburg, Samara, Syzrań, Saratow, Kazańsk, Astrachań, Carycyn, Riazań i t. d., w których znajdowały się liczniejsze grupy osób, podlegające opiece P. C. K.

Prócz tego odwiedzono Białoruś, Ukrainę i większe środowiska Syberji: Omsk, Nowo-Nikołajewsk, Krasnojarsk i Irkuck.

Podczas objazdów i dokonywanych na miejscu wywiadów, znacznie się powiększała liczba osób, wciąganych na listę P. C. K. i korzystających z jego opieki.

Z biegiem czasu ilość osób, które w Moskwie i na prowincji podlegały w więzieniach i w obozach opiece Polskiego Czerwonego Krzyża zmieniała się liczebnie.

Naprzykład w Moskwie:

1920—21	około	5.000
22	„	500
23	„	250
24	„	80—100
25	„	35—50
26	„	20—40
27	„	40—50
28	przeciętnie	20

W chwili obecnej działalność P. C. K. polega na odwiedzaniu więźniów w więzieniach moskiewskich, na perjodycznych wyjazdach na Białoruś i na Ukrainę i na przyjmowaniu interesantów w biurze P. C. K. Korespondencja z prowincją bardzo się wzmogła, załatwiają się również wywiady, zgłoszone z Polski.

Polski Czerwony Krzyż nie ograniczając się do swych stałych interesantów, pomagał również w pierwszych latach przechodzącym stale przez Moskwę eszelonom jeńców wojennych i cywilnych oraz uchodźców, powracających do kraju, niósł

też pomoc w miarę możności rodzinom więźniów, które zamieszkiwały w Rosji i zwracały się o pomoc do P. C. K. Biuro załatwiało również wywiady, zgłoszone przez krewnych obywateli polskich przebywających w Rosji i odpowiadało na listy.

Podczas ostatniego objazdu dokonanego w roku 1929, przedstawicielka Polskiego Czerwonego Krzyża odwiedziła i zapisała 28 więźniów-Polaków przebywających w więzieniach na Białorusi i 83 więźniów-Polaków przebywających w więzieniach na Ukrainie.

Według obliczenia, dokonanego w maju r. b., biuro P. C. K. w Moskwie utrzymuje kontakt z 882 osobami i prowadzi 882 sprawy.

Opieka, roztaczana przez Polski Czerwony Krzyż w Moskwie, polegała na okazywaniu pomocy materjalnej, prawnej, lekarskiej, informacyjno-wywiadowczej, jak również na załatwianiu formalności w rozmaitych instytucjach rządowych.

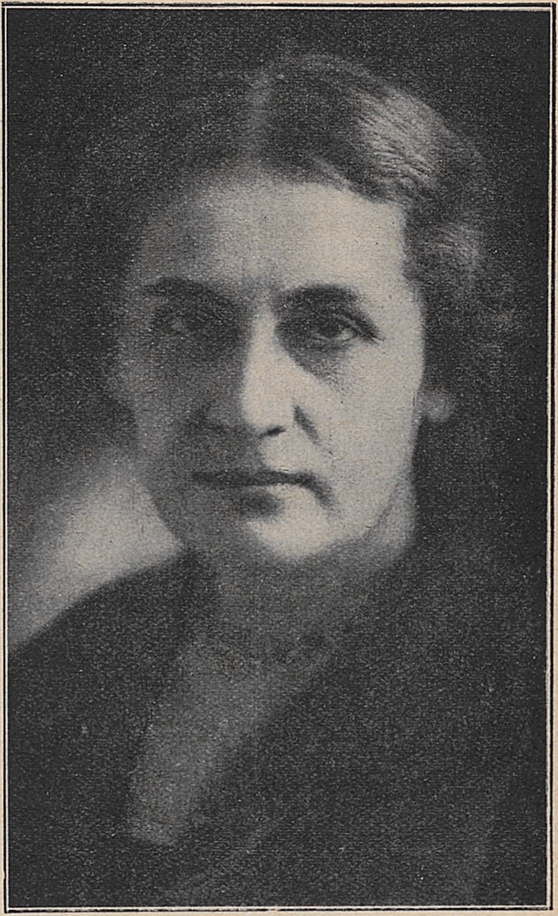
Polski Czerwony Krzyż okazywał pomoc finansową, szczególnie w pierwszym roku swego założenia, przed przyjazdem do Moskwy Polskiej Delegacji, która przejęła stopniowo akcję pomocy materjalnej.

W tym okresie, gdy panował w całej Rosji dotkliwy brak żywności, Polski Czerwony Krzyż zdołał wyjednać dla polskich więźniów wojennych i cywilnych, określony, miesięczny deputat mięsny, przewyższający co do jakości i co do ilości przeciętny deputat mięsny sowieckiego urzędnika.

Ilość deputatów wydanych do roku 1925 wynosiła 79.000, ilość wydanych sztuk bielizny, obuwia i odzieży wyniosła 5.000.

Okazywanie pomocy prawnej stało się w bardzo wielu wypadkach tak nieodzowną koniecznością, że w pierwszych dniach swej działalności Polski Czerwony Krzyż ustanowił specjalny oddział prawny, złożony z 3-ch prawników. Oddział powyższy zawiesił swe czynności dopiero w sierpniu 1921 roku, gdy świeżo przybyła delegacja polska przejęła również i tę część pracy. Polski Czerwony Krzyż zabiegał jednak w dalszym ciągu o wynajdywanie obrońców dla pojedyńczych osób, występujących w sądach rosyjskich.

Polski Czerwony Krzyż okazywał bardzo skuteczną pomoc lekarską. Przy biurze P. C. K. w Moskwie pracowało początkowo trzech stałych lekarzy, których później stopniowo zlikwidowano. Oddział w Piotrogrodzie posiadał również stałych lekarzy. Wielu chorych udało się umieścić w sanatorjach i lecznicach.



Katarzyna Pieszkowa, Delegatka P. C. K. w Rosji Sow.

Pomoc informacyjno-wywiadowcza, rozpoczęta w pierwszych dniach powstania biura P. C. K. w Moskwie, trwa dotychczas. W roku 1928 biuro w Moskwie odesłało do biura Informacyjno-Wywiadowczego przy Zarządzie Głównym P. C. K. w Warszawie około 500 odpowiedzi na zgłoszone wywiady o osoby przebywające w Rosji.

Polski Czerwony Krzyż ułatwia również osobom pojedyńczym zabiegi o pozwolenie powrotu do kraju. W r. 1928 biuro uzyskało dla 43 osób pozwolenie wyjazdu do Polski.

Polski Czerwony Krzyż bierze bardzo czynny udział w pertraktacjach poprzedzających wymiany więźniów politycznych pomiędzy Polską a Rosją.

Obecnie biuro P. C. K. w Moskwie składa się z delegatki, jej zastępcy, 1 pracownika i motocyklisty.

Inż. ROMAN BRELEWSKI

Czy przyjechała pani Pieszkowa?

Takie pytanie rozbrzmiewało pośród więźniów Polaków w Butyrkach, w Nowo-spaskim obozie w Moskwie, później w Jarosławskiem więzieniu G. P. U. w przeciągu prawie trzech lat (1922—1924) mej przymusowej wędrówki po „raju" sowieckim, zanim przed 5-ciu laty przekroczyłem granice ziemskie Polski w drodze wymiany więźniów.

Pytanie to odmieniało się w czasie teraźniejszym (czy już jest), przeszłym — „czy była?" i w przyszłym — „czy będzie pani Pieszkowa?" — snać widocznem było w pytaniach tych duże zainteresowanie, czasem trwożliwe oczekiwanie pomyślnych wiadomości o czasie powrotu do kraju, to znów wiadomości o rodzinie, bliskich, znajomych, czy też najprzeróżniejszych drobnych informacji.

Niemniej żywotną sprawą była materjalna strona aprowizacji, gdyż więzienna strawa sowiecka (zupa ze śledzia) nie zbytnio przeciążała polskie „pańskie" żołądki, a i strona odzieżowa—klimatyczny raj jeszcze nie nastąpił, —niezawsze mogła być pominiętą.

Przyznać jednak trzeba, że strona duchowa przeważała nad materjalną. Odcięcie zupełne od świata, brak wszelkich wiadomości z zewnątrz więzienia dawały się odczuwać niezmiernie intensywnie, to też każdego przyjazdu delegacji Czerwonego Krzyża oczekiwaliśmy z gorączkowym niepokojem, stąd te pytania: „czy przyjedzie?", „czy przyjechała?". Życie więzienne upływało od jednego do drugiego przyjazdu delegacji, jakby od etapu do etapu.

A działalność Polskiego Czerwonego Krzyża w Rosji nie należała do łatwych i dużo trzeba było mieć bezinteresownej, prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego, dużo prawdziwego poświęcenia i zaparcia się samego siebie, aby jej się podjąć.

Trudności czynione przez czynniki zewnętrzne, niedowierzanie narodowe, ocena wszelkiej działalności li tylko z punktu widzenia materjalnych korzyści, psychologiczny nastrój więźniów, dopatrujących w każdym „wolnym" obywatelu, jakby swego osobistego nieprzyjaciela, egoistyczne żądania osobistych wyjaśnień — oto tło, na którem uwypukla się ponad partyjna i ponad narodowa działalność Czerwonego Krzyża, wcielającego w życie chrześcijańską zasadę „Charitas urget me",wymagającą poświęcenia i wyrzeczenia się samego siebie.

Wielokrotnie podczas trzech lat życia więziennego podziwiałem tę mrówczą, niebłyskotliwą, nie dla pozorów pracę, tak kojącą dusze więźniów a niezawsze znajdującą w nich sprawiedliwą ocenę i wdzięczność. Dużo drobnych przejawów tkwi w pamięci i dopiero z odległości lat kilku, widzi się jasno, ile to przykrości, niezasłużonych utyskiwań, podejrzeń, złośliwości, czasami nawet wprost obelg znosić musiała delegacja Czerwonego Krzyża w Moskwie z panią Pieszkową na czele.

Cześć i wdzięczność za tę pracę szlachetną należy się delegacji Czerwonego Krzyża w Moskwie, niosącej i obecnie ukojenie wielu Polakom, co jeszcze dziś są w więzieniach i rodzinom ich, co tutaj, w Warszawie z niecierpliwością oczekują wiadomości z za kordonu i z poza krat więziennych i pytają: „kiedy przyjedzie pani Pieszkowa?".

MARJA WAŃKOWICZÓWNA.

Wspomienia z etapu repatrjacyjnego w Baranowiczach.

(Urywki z pamiętnika).

Warszawa, dnia 17 grudnia 1922 r.

A więc — postanowione.

Jadę do tych Baranowicz, o których tyle okropności mówi się i pisze w Warszawie.

Jak w każdej opowieści, dużo trzeba tu złożyć na karb sensacji, lecz pewnie jest w tem wszystkiem i trochę prawdy.

Oficjalnie ten wyjazd brzmi tak:

Zostałam „delegatką Polskiego Czerwonego Krzyża do spraw repatrjacji na tereny wschodnie i wyruszam za 3 dni objąć to stanowisko.

A nieoficjalnie...

Zżyłam się do tego stopnia z pracą P. C. K. na froncie, że czuję na sobie i teraz cząstkę tej przynależności.

Jakby się już na zawsze brało jakieś niedostrzegalne zobowiązanie.

— — — — — — — — — —

Uważam, że słowo „Baranowicze" wywiera tutaj magiczny wpływ na ludzi: można przypuszczać, iż sam dźwięk tego imienia przepełniony jest bakcylami tyfusowemi, dezynfekcją, dezynsekcją i t. p. okropnościami.

Nawet dobry, kochany doktór Podhorecki miał jakieś wzruszenie w oczach, żegnając się ze mną: „niechże tam pani tylko nie zamrze w tych Baranowiczach, bo ją będę miał na sumieniu".

Maluczko, a zacznę być zarozumiałą.

Baranowicze, dnia 21 grudnia 1922 r.

Od 7-ej zrana jestem w Baranowiczach.

Już za stacją Błudeń ogarnia wrażenie jakiegoś przygnębienia. Zda się, że wjeżdżamy do obcego kraju i że smutek, nędza i zniszczenie przeciągają tędy, jak trujący wyziew z sąsiednich ziem.

Na zniszczonych, odrapanych stacyjkach osaczają pociąg gromady brudnych, głodnych dzieci, żebrzących monotonnie, natrętnie, zawodzącym głosem: „dajcie chleba, choć kawałeczek".

Te głosy prześladują mnie jeszcze...

— — — — — — — — — —

Baranowicze — to mała, żydowska mieścina, z którą obecnie nie posiada łączności właściwy etap repatrjacyjny. Koszary i dawne urządzenia rosyjskie, obliczone na okres manewrów letnich dla konnicy, stanowią osławiony i zniesławiony przedsionek do Ojczyzny.

Imigracja rozpoczęła się w tak szalonem tempie, że nie zdołano poczynić tu nawet elementarnych przygotowań do rozmieszczenia, szczególnie zimą, takiego napływu ludzi.

Instytucyj mnóstwo: Naczelny Nadzwyczajny Komisarjat do Walki z Epidemjami (N. N. K.), Urząd Emigracyjny (J. U. R.), Y. M. C. A., Komitet Pomocy Jeńcom (K. P. J.), Polsko - Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom (P.-A. K. P. D.), Amerykański Czerwony Krzyż, Biały Krzyż (w tych dniach wyjeżdża) i t. p. P. C. K. posiada obok, w Słonimie, całkowicie urządzony szpital na 400 łóżek (dawniej frontowy, obecnie administrowany przez dra Torchalskiego, który jest jednocześnie inspektorem P. C. K.), łaźnię, pralnię parową i odwszalnię, oraz punkt żywnościowy; w Baranowiczach — 2 punkty żywnościowe, składnicę z odzieżą i jadłodajnię dla inteligencji; w Brześciu n/Bugiem — pralnię, w Pińsku — punkt żywnościowy i pralnię, punkty żywnościowe — w Błudniu, Kobryniu i Linowej. To jest mało na nasze aspiracje, a w stosunku do potrzeb jeszcze mniej.

26 grudnia 1922 r.

A jednak — to prawda...

coś tak niedorzecznego w swej konsekwencji, jakby ta różnica między absurdem i logiką zacierała się nagle i skręcała w jakiś przebolesny węzeł, którego wszak nie można przeciąć, jak niegdyś gordyjski.

Tłumaczę to samej sobie, aby dobrze zrozumieć: Z jednej strony bezplanowy, chaotyczny, tłumny powrót do kraju w obawie, by każdej chwili nie było już zapóźno, z drugiej — młoda Ojczyzna, tak świeżo pożogą wojenną zorana, która nie zdążyła przygotować miejsca i niezbędnych środków na przyjęcie tylu nowych obywateli.

Szpitale, przepełnione jeszcze rannymi, ogólny zastój i kryzys ekonomiczny, spadek waluty, niezasiane pola, leżące odłogiem...

Ale o tem nie myślą, nie mogą myśleć tułacze, „powracający cudem na Ojczyzny łono". Na nic tu się nie zdadzą przepisy, regulaminy, umowy o 300 osobach dziennie: tory zalewają coraz to



Przyjazd uchodźców. Baranowicze 1922—23 r.

nowe transporty, a w niebo biją coraz rozpaczliwsze skargi...

Bo Polska nie ma prawa zapomnieć, że śladem jej najwierniejszych synów-zakładników, więzionych po Butyrkach, prześladowanych i nieludzko męczonych, wielokrotnie wystawianych na rozstrzelanie, wciska się trujący powiew agitacji, idzie mór w postaci tyfusu.

Na pograniczu swego domu postawiła Polska nową linję graniczną, otoczyła ją drutem kolczastym z żelaza i nieufności, — bo tak nakazał rozsądek.

Przybycie transportu jest w Baranowiczach tym punktem kulminacyjnym, wokół którego grupuje się cała treść naszej tu egzystencji.

Długi, nieskończenie długi pociąg wyrzuca falę ludzką bladą, wynędzniałą, o przygasłych źrenicach, jakieś resztki mienia, tobołki, węzełki... Dwie siostry P. C. K. w przepisowych opaskach rozdają kartki obiadowe, kartki na odzież, kąpiel. Pomieszczenie w b. stajniach (słabo ogrzanych) jest pierwszym przytułkiem i pierwszym dachem na rodzinnej ziemi. Mimowoli ogarnia poczucie beznadziejności, jakby za temi drutami nie było innej Polski, nie czekała praca, serca bliskie i jaki taki dobrobyt.

Ale sprzeczność zimnych, ponurych koszar z wyśnioną wizją o Wskrzeszonej Polsce jest tak rażąca, że i nam chwilami na ustach zamierają słoneczne wyrazy otuchy.

Nie lepiej jest z chorymi, dla których poprostu niema miejsca.

Najspokojniej chyba martwym zwłokom, wydobywanym z wagonów, ale i tych niema możności grzebać: brak rąk, a mróz 30 st. wymaga wysiłku.

— — — — — — — — — —

Jest w Baranowiczach taki smutny dom, taki straszny dom, gdzie zmarznięte, nagie leżą setki niepogrzebanych ciał.—Och, ta trupiarnia w Baranowiczach, smutniejsza, niż pobojowisko..., bo z bitewnych oparów krwi unoszą się dymy ofiarne, a z tych nagich, skostniałych w niemem otępieniu ciał, bije tylko rozpaczliwy wyrzut...

26 grudnia 1922 r.

Rozmawiałam dziś dłużej z pułkowniikem Aleksandrowiczem, który jest tutaj pełnomocnikiem Grabskiego. Mówił dużo o podziale pracy między instytucjami: N. N. K. — szpitalnictwo, J. U. R. — aprowizacja, opał, lokale, P. A. K. P. D. — opieka nad dzieckiem, Czerwony Krzyż — 0, P. C. K. może tymczasem poprzestać na widomie mniejszym przydziale, damy za to coś, czego tu ludziom bardzo brak: — my damy im serce.

Votum takie dziś czynimy, nieobjęte żadnym paragrafem ustawowej pracy.

29 grudnia 1922 r.

Okazuje się, iż horyzont pracy tak się rozszerza, że ziemia pali się pod stopami.

Przed kilku godzinami przyjechał Grabski. Na konferencji, w której brali udział przedstawiciele wszystkich instytucyj i organizacyj, pracujących na etapie, sprawa szpitalnictwa była postawiona na ostrzu miecza. Grabski proponuje P. C. K. otwarcie szpitala na 100 łóżek dla rekonwalescentów na czystym (niezakaźnym) etapie. Prócz tego P. C. K. ma karmić transporty na miejscu przybycia, pożądanem jest otworzenie 2 — 3-ch kantyn, specjalne wagony, kursujące co parę dni, mają odwozić bieliznę do pralni P. C. K.

Termin otwarcia szpitala — 10 dni — wydaje się wszystkim niepodobieństwem. A jednak tak musi być.

Dziś wieczorem jadę do Warszawy.

20 stycznia 1923 r.

Tak dawno nie pisałam... Myślę, że z czasem będę z przyjemnością przewracała te kartki, bo przez nie płynie nietylko moje, ale pulsujące ogólnem tętnem życie.

Spotykaliśmy nową partję zakładników w Kołosowie: — witały ich polskie fanfary i salutowały polskie bagnety na polskiej ziemi.

Ale tuż za bramą triumfalną, za płomiennemi mowami i względnie wystawnym obiadem czyha baranowicka 40-dniowa kwarantanna, czeka przymusowa kąpiel i prycza z twardym siennikiem i je-

dzenie iście frontowe, — coś, co mimowoli podcina skrzydła i każe natrętną myślą powracać do Bolszewji.

Z tą kąpielą — istna rozpacz! — Mechanizm jest już obecnie doprowadzony do tego stopnia doskonałości, że zanim się zakończą niezbędne ablucje, repatrjant otrzymuje przedyzenfekowane ubranie i może przejść na etap czysty, gdzie poczuje się choć trochę wolnym obywatelem. — Ale trzeba ostro walczyć o tę przepisową czystość!

Na prośbę pułk. Aleksandrowicza dyżurujemy przy kąpielach kobiet, bo obecność siostry zawsze wpływa kojąco.

Zapomniałam powiedzieć, że mamy już 3 obficie zaopatrzone kantyny, oblegane przez repatrjantów, a jadłodajnia nasza przekształciła się w najmodniejszą i elegancką restaurację, gdzie za minimalną opłatą można dostać sznycel i nawet... wodę sodową i piwo. Poczciwa, ruchliwa siostra Gnatowska uwija się, jak zawodowa restauratorka, a czyste, białe firanki (czasem tylko trochę przydymione), jakieś wycinanki, naklejanki robią wrażenie świetlicy i tego ogniska domowego, którego tym tułaczom nieraz długo brakowało.

Ale to są luksusy; ta wielka, ta czarna i niewdzięczna praca jest w długim, szarym, niskim budynku przy kolei, gdzie tłoczy się ciżba, wydobyta z wagonów, gdzie trzeba być b. względnym i wyrozumiałym i trochę się wstydzić, że zamiast homarami i szampanem spotyka się tych ludzi chlebem czarnym i zupą.

Jednego tylko wyrzutu nie mamy na sumieniu: oto tych homarów nie jadamy sami.

10 lutego 1923 r.

Urwałam przed kilku dniami w najciekawszem miejscu: chciałam mówić o naszym szpitalu. Otóż ten mały, bo zaledwie 100 łóżek liczący szpitalik, to jest naprawdę czerwonokrzyska perełka, a nasza tu chluba i że tak jest — trudno wątpić, skoro wszystkie komisje, rewizje, lustracje swojskie i obcokrajowe i nawet sam Grabski wydały o nim to świadectwo. A stanął dnia 8 stycznia w ciągu przepisowych 10 dni. Gdy ja w Warszawie, jak bomba dynamitowa burzyłam się na posiedzeniu, kłóciłam o nowy inwentarz, — mój wyręczyciel, p. Staszewski, zremontował, wyczyścił, odbagnił wokoło skazany jakoby na nieużytek barak. Energja w tym człowieku istotnie niespożyta!

Złą stroną szpitala, jak zresztą tu wszędzie, jest przepełnienie, ale czystość, schludność i opieka wzorowe. To też garną się tu ludziska, jak muchy na lep, chociaż środki mamy nieduże.



Punkt żywnościowy na „Brudnym Etapie“.

Luty 1923 r.

Umarła w Kobryniu na tyfus siostra Kazimierczak. Dotychczas, jak tu mówią, miał Czerwony Krzyż szczęście. Może dlatego, że przeważna liczba osób przebyła już tyfus na froncie? Jest to jeden z najlepiej prowadzonych punktów żywnościowych na tym szlaku repatrjacyjnym.

Błudeń, luty 1923 r.

Tuż przy malutkiej stacyjce, nad świeżo zremontowanym „sumptem,, P. C. K. domkiem, powiewa biała chorągiew ze znajomem godłem. Wioszczyna, przysypana śniegiem, wygląda jak wymarła i zda się, nic nie zdoła jej zbudzić z zimowego snu. I nagle, jak prąd elektryczny, przeszywa sygnalizacja przybywającego transportu.

Na punkcie P. C. K. ruch, bez względu na porę dnia. Kotły rozgrzane przygotowują zupę, kakao, kraje się chleb, wydostaje opatrunki, lekarstwa. Wre praca gorączkowa, która w jednej chwili zmienia zasadniczo wygląd całej wioski. Kuchnie dymiące wyjeżdżają na peron, jedzenie z szybkością zdumiewającą rozdane, znika w tempie jeszcze bardziej pośpiesznem i — transport rusza dalej.

....Aż niemądrze się robi człowiekowi na myśl, że tyle się zużyło zachodów na te 10 — 15 minut, po których pozostało tylko trochę dymu w obłokach. Ale nie, zostaje jeszcze jakiś powiew weselszy, jakaś nuta nieznana w Baranowiczach, coś, niby powiew wolności.

I znowu wszystko zapada w zwykłą apatyczną senność.

2 Marzec 1923 r.

Ugryzła mnie dziś wesz.

Jeżeli zachoruję — to za trzy tygodnie.

Tymczasem zmarło naszych 3 sanitarjuszy i urzędnik Amontow, b. oficer rosyjski, który pracował w kantynie na brudnym etapie. Był to wyjątkowo sumienny pracownik i tak bezgranicznie wdzięczny P. C. K. za otrzymaną pracę! W przeciągu miesiąca mówił już po polsku a nawet załatwiał całą rachunkowość kantyny.

Bardzośmy go wszyscy lubili!

20 marca 1923 r.

Ile zmian!

Zdaje się, że zdjęto nam z piersi jakąś marę duszącą, że widzimy nareszcie efekt i pożyteczność pracy i wiemy, pocośmy tu przyszli.

Dotychczas było przeważnie zmęczenie i poczucie jakiejś miażdżącej odpowiedzialności za winy — niepopełnione.

Obecnie, chociaż mowy jeszcze niema o komforcie, jednak jest znacznie lepiej. Jest już i hotel dla inteligencji (JUR), są dwa duże szpitale N. N. K., są odrestaurowane do stanu zamieszkiwania stajnie.

W szpitaliku naszym otwarto specjalny oddział dla dzieci. Trochę z tem więcej ambarasu, ale zato ile pociechy! Tabliczka czekolady, podzielona na drobniutkie cząsteczki, kakao i ciastka najprymitywniejsze, — tak mało potrzeba zalęknionym, zdziczałym nieraz duszyczkom, otwierającym się pod wpływem tego ciepła, jakby na spotkanie pierwszego uśmiechu losu, po długim mroku niedoli.

„Ojcze nasz”... powtarza zrana i wieczorem chór głosów dziecinnych — a są i takie usta, które po raz pierwszy uczą się wymawiać te słowa...

— — — — — — — — — —

„Błogosławiona śmierć na polskiej ziemi” — powiedział mi niegdyś w tym samym szpitalu repatrjant, konający z długiego wyczerpania i przebywanych trudów. „Przecie te ściany, i te siostry i ta wasza troskliwość — to już przecie Ojczyzna”.

A we mnie nagle zastygły wszystkie nagromadzone w piersi łzy i umarły te słowa pociechy...

Bo może — ta śmierć w przededniu szczęścia była jeszcze potrzebną, jako ofiara na ołtarzu odkupienia Ojczyzny...?

* * *

Z tego szpitala dla „rekonwalescentów" wynieśliśmy już 4 trumny.

19 lipca 1923 r.

Co za scena, godna jakiegoś lepszego pióra, niż moje grezmołki „na kolanie"!

Zauważyłam od pewnego czasu, że pod drzwiami baraku, w którym mieszka nasza pracowniczka p. Regina Bielecka*), zbiera się cierpliwy długi „ogonek", wystający nieraz godzinami i wychodzący w przepisowym ordynku. Tajemnica wkrótce się wyjaśniła: oto p. Bielecka wpadła na nadzwyczajny a iście kobiecy pomysł wysłuchiwania skarg, narzekań i radości (tych ponoć mało) wszystkich repatrjantów.

Jak silną i dręczącą w ludziach jest potrzeba mówienia służy dowód, że żaden z najofiarniejszych pracowników etapu nie cieszy się dziś taką popularnością jak p. Regina.

Już teraz rozumiem scenę o niemodny kapelusz, wydany z naszej składnicy jakiejś panience!

Przezwaliśmy p. B. „konfesjonał".

18 października 1923 r.

Przyjechały dziś z Syberji 4 staruszki, których suma lat wynosi pokaźną sumę 307. Nie mają tu żadnej „określonej" rodziny, a z powodu zamieszkiwania w jakiejś przeraźliwej głuszy nie zaznały nawet większych prześladowań.

Ale i tam doszła wieść o Polsce.

....Więc zebrały resztę sił i naraziły się na nieludzko męczącą podróż, by tę Wyśnioną zobaczyć.

Zobaczyć — i umrzeć.

....choćby to miało być wszystko.

Roztoczyliśmy nad staruszkami opiekuńcze skrzydła, urządzili paradną kolację i wyprawili Fordem P. C. K. na kolej, bo ktoś się przecie w kraju o nie upomniał.

Takie śmieszne, dygające staruszeczki...

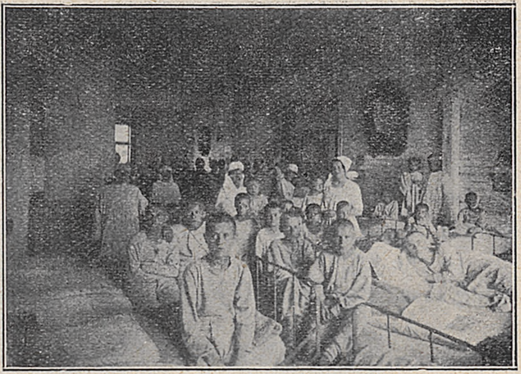
— które bezwiednie całuje się w rękę.

— — — — — — — — —

Marzec 1924 r.

Jest w Baranowiczach o 2 kilometry za etapem duży, nowy cmentarz. Ten cmentarz nie jest smutny, choć niema na nim pomników ni widomych oznak pamięci.

Zda się, że wszyscy, co na nim spoczęli spełnili do końca jakieś posłannictwo,



Oddział dziecinny w szpitalu P. C. K. w Baranowiczach.

i ci, trupami wydostawani z wagonów,

i ci, których śmierć spotkała w baranowickich barakach stajennych,

i ci, z przepełnionych szpitali,

i ci, co szli ratować innych...

Na te piaskiem i gliną białoruską posypane mogiły rzucam ostatnie pożegnanie.

Warszawa, październik 1924 r.

Otrzymałem zaproszenie na poświęcenie pomnika pracowników, poległych przy pracy repatrjacyjnej w Baranowiczach.

Jechać nie mogę, ale myślą przenoszę się na plac tyle razy deptany, i znowu mi jest jakbym tam była.

Pamiętam, jak przed wyjazdem naszym, gdyśmy ustępowali już baraki oddziałom wojska, p. Staszewski powiedział mi nagle: „wie pani, to jednak smutne; tyleśmy się tu napracowali, tyle namęczyli, i nie zostanie po nas nic—nic, i o tej pracy nie będzie wiedział i pamiętał nikt, bo nawet ci, dla których przyszliśmy, tak często bywali tylko rozżaleni".

Niechże zostanie i pamięta ten jeden kamień.

---

*) dziś ś. p.

KS. J. N.

Rola Polskiego Czerwonego Krzyża w powstaniach śląskich.

Gdy w grudniu 1918 r. wybuchło w Wielkopolsce powstanie, udzielanie przez Czerwony Krzyż pomocy i opieki jeńcom i internowanym napotkało na pewne trudności prawne i organizacyjne. Według zasad Konwencji Genewskiej Polski Czerwony Krzyż był powołany do współdziałania tylko w wypadkach wojen regularnych. Dopiero w kwietniu 1921 r. ogólna konferencja Czerwonego Krzyża w Genewie przyjęła rezolucję, stwierdzającą, że także ofiary wojny domowej, rewolucyj, rozruchów i t. p, mają prawo do pomocy na zasadach Czerwonego Krzyża. Nasuwało się także pytanie, która organizacja czerwonokrzyska jest kompetentna, ogólno-polska, czy niemiecka czy też poznańska. Dla usunięcia wątpliwości została zawarta pomiędzy poznańską organizacją czerwonokrzyską i niemieckim Czerwonym Krzyżem w Berlinie umowa, na mocy której mianowano na Wielkopolskę komisarza niemieckiego Czerwonego Krzyża z siedzibą w Poznaniu i komisarza polskiego Czerwonego Krzyża z siedzibą w Berlinie na Rzeszę Niemiecką. Komisarzy zatwierdziła z jednej strony Naczelna Rada Ludowa w Poznaniu z drugiej strony rząd Rzeszy Niemieckiej. Komisarze otrzymali prawo mianowania delegatów dla poszczególnych części kraju, w którym urzędowali. To prawo dało początek organizacji Czerwonego Krzyża na Śląsku, gdy okazała się jej potrzeba po pierwszem powstaniu śląskiem.

Pierwsze powstanie śląskie.

Wypędzenie wojsk niemieckich z Wielkopolski było dla Niemców ostrzeżeniem. Aby się zabezpieczyć przed podobną ewentualnością na Śląsku, skoncentrowano tu liczne ochotnicze formacje wojskowe (Grenzschutz), popierane przez wielki przemysł śląski, obawiający się zbolszewizowania mas robotniczych. Gdy konferencja pokojowa w Paryżu w czerwcu 1919 r. zmieniła pierwotne warunki pokojowe i przewidziała dla Śląska plebiscyt, młodzież, zakonspirowana w Polskiej Organizacji Wojskowej, utwierdza się w przekonaniu, że wojska niemieckie nie ustąpią z Górnego Śląska i że trzeba naśladować przykład Wielkopolski. Wytwarza się masowa sugestja, że generał Haller czeka tylko okazji, aby Górny Śląsk obsadzić. Zdaje się, tę sugestję wywołali sami Niemcy, którym zależało na przedwczesnym wybuchu powstania. W połowie sierpnia 1919 zaczyna się rozległy ruch strejkowy. W kierownictwie Polskiej Organizacji Wojskowej następuje rozłam. Jedni chcą powstania, inni się sprzeciwiają. Wśród takiego zamętu pada w powiecie pszczyńskim hasło: „Haller jedzie"! Z gołemi rękami lud rzuca się na hufce Grenzschutz'u. Powstanie wybucha wbrew woli kierowników, którzy w ostatniej chwili jeszcze próbują ruch zatamować. Wojska niemieckie w przeciągu kilku dni zdobywają z powrotem utracone miejscowości. Na Śląsku nastało piekło. Krew lała się strumieniami, nietylko w czasie walki, ale przedewszystkiem we więzieniach i stacjach strażniczych, gdzie koncentrowano jeńców i aresztowanych. Tysiące żywicieli rodzin uchodzi do Polski, pozostawiając żony i dzieci na opiece Boskiej.

Wtedy to komisarz opiekuńczy Polskiego Czerwonego Krzyża w Berlinie, p. Krzyżankiewicz, korzystając ze swych uprawnień, mianuje dla poszczególnych powiatów Górnego Śląska delegatów Czerwonego Krzyża, powierzając im opiekę nad rodzinami uchodźców i poległych. Główny nadzór nad delegaturami powiatowemi zostaje oddany p. D-rowi Cyranowi. W ten sposób powstają na Śląsku organizacja Czerw. Krzyża, działająca na podstawie mandatu Głównego Komisarza P. C. K. w Berlinie. Akcję opiekuńczą nad ofiarami pierwszego powstania, polegającą na płaceniu miesięcznych rent, prowadzi Czerw. Krzyż przez dwa lata, to jest aż do przyłączenia Śląska do Polski. Z dniem 1 listopada 1921 przejmuje ją ostatecznie od Czerwonego Krzyża Główny Urząd Rent Wojskowych na Województwo śląskie. Czerwony Krzyż wypłacił w tym czasie: 251.971,65 mk. zapomóg dla inwalidów pierwszego powstania oraz 2.025.948,60 mk. dla wdów i sierot po powstańcach. Pozatem Czerwony Krzyż wypłacił rodzinom żołnierzy W. P. tytułem zasiłku 3.202.596,20 mk. Rozchodziło się tu przeważnie o uchodźców z czasów pierwszego powstania, którzy nie mogąc powrócić na Śląsk, zaciągnęli się na ochotnika do armji polskiej.

Drugie powstanie.

Celem zabezpieczenia wolności plebiscytu zajęły Śląsk wojska międzysojusznicze w roku 1920



Sierociniec im. Dra Mielęckiego w Katowicach.

i pozostały tu aż do przejęcia Śląska przez Polskę w roku 1922. Regularne wojsko niemieckie musiało ustąpić, pozostały atoli na terenie plebiscytowym władze niemieckie, policja niemiecka i niemieckie tajne organizacje wojskowe (orgesz). Delegatury Czerwonego Krzyża prowadziły swoje agendy na Śląsku dalej, pomimo, że stanowisko ich mandanta, Komisarza Polskiego Czerwonego Krzyża w Berlinie, zostało zlikwidowane. Byt swój opierały one w tym czasie o polski Komisarjat Plebiscytowy w Bytomiu.

Gdy bolszewicy stali pod Warszawą, tajne niemieckie organizacje wojskowe przygotowywały zamach na wolność plebiscytu. W dniu 17 sierpnia 1920 gazeta niemiecka „Kattowitzer Zeitung" przyniosła fałszywą wiadomość, że Warszawa wzięta przez bolszewików. Na to hasło niemieckie organizacje bojowe uderzyły w środku miasta Katowic na główny odwach wojsk okupacyjnych. Polała się krew od kul karabinowych i prowokacyjnie rzuconych granatów ręcznych. Rannych opatrywał w podwórzu swego mieszkania, czyniąc zadość obowiązkom lekarza i człowieka, Dr. Andrzej Mielęcki, radny miasta Katowic.

Gdy po spełnieniu samarytańskiego obowiązku wracał do swego mieszkania, bojówki niemieckie rzuciły się na niego i zamordowały go, znęcając się nad nim w okrutny sposób.

Wojska okupacyjne cofnęły się pod naporem niemieckim z miasta tego wieczora, tak, że do następnego dnia miasto Katowice było faktycznie w ręku niemieckim. I tylko nadzwyczaj szczęśliwemu wypadkowi zawdzięczać należy, że po zamordowanym Dr. Mielęckim nie padli jako ofiary planowego mordu inni wybitni przedstawiciele polskiej inteligencji.

Na rokosz ten niemiecki odpowiedział lud polski iście wspaniałym odruchem, który drugiem powstaniem zowią. Jednym zamachem, idąc ławą od Mysłowic aż hen po Strzelce, oczyścili Ślązacy kraj z niemieckich bojówek. I tylko w miastach większych ostały się grupy przytajonych orgeszowców, dzięki temu, że wojska okupacyjne, które Polaków nie mogły obronić przed zrewoltowanymi Niemcami, zdobyły się na tyle energji, że ochroniły przyciśniętych do muru Niemców przed karzącą ręką Polaków.

Aby utrwalić pamięć niewinnej ofiary ś. p. Dr. Mielęckiego, człowieka czystego serca, światłego i dobroczynnego lekarza, postanowiło grono obywateli katowickich stworzyć fundację dobroczynną Jego imienia w Katowicach, aby instytucja tego imienia tu w środku miasta przypominała mieszkańcom Katowic życie i śmierć wzorowego obywatela i minione groźne a straszne chwile. Tak powstał sierociniec im. D-ra Mielęckiego w Katowicach pozostający w administracji Czerwonego Krzyża. W zakładzie tym Czerwony Krzyż utrzymuje 35 sierot po powstańcach. Do ochronki za-

kładowej uczęszcza przeszło 60 dzieci ubogich. W pensjonacie sierocińca mieszka kilkanaście sióstr P. C. K. i uczennic Szkoły Pielęgniarstwa i Opieki Społecznej przy P. C. K.

Trzecie powstanie.

Plebiscyt, który się odbył 20 marca 1921, nie wypadł dla Polski tak korzystnie, jak się tego spodziewaliśmy. W łonie Komisji Międzysojuszniczej i Plebiscytowej, która miała zaproponować nową granicę, zdania były rozbieżne. Przedstawiciel Francji, generał Le Rond, był za oddaniem Polsce większej połowy terenu plebiscytowego wraz z całym obwodem przemysłowym, przedstawiciele Anglji i Włoch chcieli przyznać Polsce tylko rolnicze powiaty pszczyński i rybnicki. Polski Komisarjat Plebiscytowy i kierownicy tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej doszli do przekonania, że należy stworzyć fakt dokonany przez zbrojne opanowanie terenu plebiscytowego aż do Odry. Powstanie zostało dobrze przygotowane i wybuchło w nocy z drugiego na trzeciego maja 1921 r.

Aby być na tę ewentualność przygotowanym Czerwony Krzyż już przed plebiscytem rozpoczął akcję kształcenia miejscowego personelu sanitarnego. Były to kursy krótkie, trwające ledwo dwa miesiące. W każdym razie przyniosły one ten pożytek, że powstańcy nie byli pozbawieni zupełnie opieki sanitarnej.

Oprócz tego prowizorycznie wyszkolonego personelu sanitarnego, wielka ilość pań ze Śląska i z całej Polski współpracowała z Czerwonym Krzyżem na placówkach przyfrontowych i w etapach, przeważnie w punktach sanitarno-odżywczych, herbaciarniach, kasynach, kuchniach powstańczych i t. p.

Dla delegatów powiatowych Czerwonego Krzyża powstało nowe zadanie, mianowicie opieka nad rodzinami, których żywiciele brali udział w powstaniu. Wypłacono na ten cel oraz na pogrzeby powstańców 1.572.293,15 mkn.

Wiele trudności sprawiła władzom powstańczym kwestja aprowizacji terenu powstańczego, odciętego linją bojową od dotychczasowych źródeł aprowizacyjnych. Bezpośrednie dostarczanie żywności z Polski na rzecz władzy powstańczej było ze względów politycznych niepożądane. Śląski Czerwony Krzyż nie był tak silny, aby się móc podjąć tak wielkiego zadania. Stworzono w tym celu przy władzy powstańczej nową organizację, Wydział Aprowizacyjny, który przyjął nazwę Centralnego Komitetu Czerwonego Krzyża.

Istniały więc obok siebie na terenie powstańczym dwie organizacje czerwonokrzyskie z odrębnemi zarządami i odrębną gospodarką. Działalność Centralnego Komitetu Czerwonego Krzyża, czyli Wydziału Aprowizacyjnego, jako organizacji niezwiązanej ściśle zasadniczemi zadaniami Czerwonego Krzyża, opisywać tu nie będziemy. Organizacja ta uległa likwidacji po ukończeniu powstania.

W miarę przedłużania się powstania coraz to nowe kwestje domagały się załatwienia. Z powiatów przyfrontowych zaczęły napływać do powiatów etapowych masy uchodźców z rodzinami, pozbawionymi dachu nad głową i środków do życia. Polski Czerwony Krzyż dla Śląska musiał się niemi zaopiekować. Utworzono dla nich obozy koncentracyjne w Goczałkowicach i w Jastrzębiu-Zdroju, gdzie zarekwirowano na ten cel kilkadziesiąt willi. Liczba uchodźców wynosiła w pierwszych miesiącach w obu obozach stale około 3000. W obozach otrzymywali oni nietylko mieszkanie, ale zupełne utrzymanie oraz przyodziewek. Likwidowanie obozów napotykało na wielkie trudności, ponieważ większość uchodźców straciła majątki i nie mogła powrócić do swych miejscowo-

ści rodzinnych bez niebezpieczeństwa życia. Wytworzyła się także pomiędzy niemi opinja, że Polska wynagrodzi im wszystkie poniesione straty i krzywdy, co hamowało ich przedsiębiorczość i powodowało przedłużanie pobytu w obozie. Gdy po roku władze polskie przejęły od Czerwonego Krzyża administrację obozów, mieszkało w nich jeszcze około 600 osób. Koszta utrzymania obozów były bardzo duże. Pokrywano je z ofiar krajowych i zagranicznych. Wielka wdzięczność należy się pomiędzy innemi rodakom w Ameryce, którzy nadesłali na ręce ówczesnego kierownika Wydziału Uchodźców, Ks. Niedzieli, kwotę 25.000 dolarów.

Komisja Międzysojusznicza i Plebiscytowa, widząc trudności po stronie polskiej i niemieckiej z jeńcami i internowanemi, zwróciła się o interwencję do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie. Dwa miesiące przedtem uchwalona była wspomniana już rezolucja o obowiązku Czerwonego Krzyża, opiekowania się ofiarami wojen domowych i powstań. To też Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża bezzwłocznie przysłał na Śląsk swych reprezentantów w osobach p. Lucien Cramer'a i p. Lucien Brunel'a, którzy uzyskawszy od polskiej władzy powstańczej i od dowództwa niemieckich sił zbrojnych przyrzeczenie pomocy i ochrony, zorganizowali w Opolu biuro Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i zaprosili do współpracy przedstawicieli polskiego Czerwonego Krzyża z Warszawy, Śląskiego Czerwonego Krzyża i Niemieckiego Czerwonego Krzyża w Berlinie. Przedstawicielami temi byli z Warszawy p. Paszkowska i hr. Koziebrodzki, ze Śląska p. Dr. Golus i p. Strzodowa, z Berlina pp. Blumberg i Meyer.

Główną czynnością ich była wymiana jeńców polskich i niemieckich. Obozy koncentracyjne jeńców niemieckich po stronie polskiej znajdowały się w Zabrzegu, Bijasowicach, N. Bieroniu i w Solcu. Jeńcy polscy po stronie niemieckiej byli skoncentrowani w Chociebużu (Cottbus) pod Berlinem. Z tych obozów wymieniono około 2000 jeńców.

Biuro Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Opolu podjęło się na żądanie polskie także poszukiwania Polaków umieszczonych w różnych więzieniach na terenie Rzeszy Niemieckiej. Sprawa ta była o tyle utrudniona, że władze niemieckie niechętnie wpuszczały delegatów do więzień.

Oprócz wymiany jeńców biuro Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Opolu wystarało się o to, że obie strony walczące uznały personel sanitarny za podlegający ochronie Konwencji Genewskiej. Przygotowano dla personelu sanitarnego po obu stronach specjalne przepaski i wykazy z pieczątką Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Sprawa ta atoli nie była już aktualną, gdyż w międzyczasie nastąpiło zawieszenie broni.

Z powyższych krótkich wywodów wynika, że Czerwony Krzyż w czasie powstań śląskich odegrał ważną rolę. Niezapomnianą pozostanie dla uczestników chwila, gdy po wkroczeniu wojsk polskich na Śląsk, delegacja Czerwonego Krzyża z Warszawy przybyła z chorągwią na Śląsk, aby wziąć udział w uroczystościach oficjalnych połączenia prastarej dzielnicy śląskiej z macierzą polską, gdy krótko po tem prezes Gł. Komitetu P. C. K., generał Haller, przybył do Rybnika na poświęcenie pierwszej placówki czerwonokrzyskiej, wykupionej z rąk niemieckich, i gdy w dniu 19 sierpnia 1922 r. nastąpiło uroczyste ukonstytuowanie władz okręgowych P. C. K. w obecności delegatów ze Śląska Górnego i Cieszyńskiego.

B. HUMMEL b. członek Zarządu Gł. P. C. K.

Z moich wspomnień z lat 1919 — 1920.

Polski Czerwony Krzyż powstał i zaczął się rozwijać w warunkach niezmiernie trudnych.

U kolebki jego stały nędza i wycieńczenie powojenne. Jednocześnie zaś w społeczeństwie była wielka rozbieżność dążeń, oraz pewien przerost dobrych chęci. Roiło się wprost od instytucyj i pojedyńczych osób dobrej woli, pragnących nieść pomoc choremu i rannemu żołnierzowi, jak kto mógł, umiał i chciał. Zgadzano się jednak, że ta akcja w zasadzie powinna być jakoś scentralizowana i pod właściwą flagą prowadzona. Uznawano nawet, że powinno to być właśnie pod flagą Czerwonego Krzyża. Organizacja ta przecież nawet istniała wówczas, w każdym zresztą zaborze, na innych zasadach oparta.

Przez dłuższy czas jednak — pomimo pewnych usiłowań w tym kierunku, — do akcji skutecznej w celu scentralizowania pracy samarytańskiej jakoś nie mogło dojść. Dopiero wyznaczenie przez Rząd Komisarza, ruszyło nareszcie sprawę z martwego punktu. Po dokonaniu koniecznych prac przygotowawczych — w dniu 27.4.1919 r. ukonstytuował się Komitet Główny Polskiego Czerwonego Krzyża, obejmujący działalnością swoją teren całego Państwa. W skład jego weszły automatycznie, — z jednej strony — wszystkie formacje i oddziały szeroko wówczas zorganizowanego powojennego Galicyjskiego Czerwonego Krzyża, — z drugiej zaś — cały samodzielnie dopiero co zorganizowany Czerwony Krzyż Wielkopolski.

Z b. Kongresówką było nieco gorzej. Z pośród licznych, działających tam organizacyj samarytańskich, żadna faktycznie nie zlała się z nowopowstającym Czerwonym Krzyżem, — ani wówczas, ani potem. Stąd też dalsze organizowanie się Czerwonego Krzyża na tym terenie szło przez cały rok 1919 bardzo opornie.

Pierwszemi poważniejszemi funduszami, jakie zaczęły w roku 1919 wpływać do kasy Zarządu Głównego, były dotacje na rachunek pożyczki rządowej, przyznanej początkowo w kwocie pięciu miljonów marek, następnie zaś w roku 1920 podwyższonej do 20 miljonów.

Jednym z niewielu jasnych momentów wówczas było ufundowanie wspaniałego szpitala polowego przez ziemian kujawskich, pod flagą Czerwonego Krzyża. Szpital ten, prawdziwa chluba nasza, pozostawał pod względem gospodarczym w stałym kontakcie z ofiarodawcami, którzy go subsydjowali i utrzymywali, — pod względem zaś administracyjnym — był nam podporządkowany.

Pozatem zresztą działo się nieszczególnie; z pieniądzmi było krucho, ludzi też było brak. Zaczęły zato napływać potrochu dary w naturze. Pierwszy transport przyszedł z Francji pod opieką niejakiej p. Baccarat. Dalsze i to dosyć znaczne zapasy materjałów otrzymaliśmy w spadku po zlikwidowanym majątku dawnego Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej.

Szczęśliwy traf zdarzył, że udało się wkrótce wydzierżawić tanio na składnicę, nieczynną od czasów wielkiej wojny, fabrykę koronek. Była to okoliczność nadzwyczaj pomyślna dla dalszego rozwoju całej instytucji. Kiedy sobie uprzytamniam te wielkie zapasy materjałów, jakie otrzymaliśmy później od różnych przyjaciół, oraz tę olbrzymią pracę, jaką wypadło nam wykonać dla wojska w lecie roku 1920, to poprostu nie wyobrażam sobie, jakbyśmy sobie dali radę bez tej nieocenionej składnicy przy ul. Skierniewickiej.

W krótkim stosunkowo czasie zgromadziliśmy tam prawdziwe skarby, w pewnej części nabyte za pieniądze, przeważnie jednak otrzymane w darze od zaprzyjaźnionych Czerwonych Krzyżów innych krajów: Amerykańskiego, Angielskiego, Francuskiego, Szwajcarskiego, Hiszpańskiego.

Zaraz w początkach naszego istnienia Amerykański Czerwony Krzyż, który, jak wiadomo, rozwijał już wtedy w Polsce bardzo piękną działalność, powziął zupełnie zresztą słuszny zamiar, aby przekazać nam wszystkie swoje agendy i placówki i zlikwidować się. Rozpoczęły się w tej materji narady i pertraktacje, w związku zaś z tem paru członków Zarządu, w tej liczbie i ja, wyruszyło na Kresy Wschodnie, aby na miejscu zapoznać się z organizacją i zakresem działania pracujących tam Amerykanów. Zaznaczam — o czem może nie wszyscy wiedzą, — że wówczas Amerykański Czerwony Krzyż z wojskiem naszem naogół nie miał stałego kontaktu, pracował zaś wyłącznie prawie dla ludności cywilnej, co zresztą w niczem nie pomniejsza jego kolosalnych dla Polski zasług. Zwiedziliśmy przy wspomnianym objeździe olbrzymią, cudownie zaopatrzoną składnicę główną w Białymstoku, następnie zaś szereg placówek: w Słonimie, Berezie Kartuskiej, Kobryniu, Macie-

jowie i t. d. Wszędzie widzieliśmy, poza pomocą na polu higjeny, przedewszystkiem dowody wielkiej pracy w kierunku bezpośredniego odżywiania zniszczonej wojną i wynędzniałej ludności, tak drogą bezpośredniego rozdawnictwa produktów, jak również za pomocą kuchni polowych lub stałych.

Zamierzona likwidacja Amerykańskiego Czerwonego Krzyża do skutku wówczas nie doszła; uznano, że organizacja nasza zbyt jeszcze była młoda i słaba, aby można było w ręce nasze złożyć tak szeroko zorganizowaną działalność. Amerykanie pozostali nadal w Polsce, ku wielkiemu zresztą pożytkowi dla sprawy.

Wycieczka na Kresy Wschodnie miała ten dobry skutek, że uświadomiła nam potrzebę rozwinięcia między innemi działalności w kierunku higjenicznym, celem mianowicie uchronienia naszych żołnierzy przed tyfusem plamistym, który tam wówczas nagminnie panował. Widzieliśmy w różnych miejscach pozostawione przez okupantów Niemców, znajdujące się już w ruinie, kąpieliska, oraz instalacje dezynfekcyjne. Zakrzątnęliśmy się zaraz koło odbudowy jednego takiego zakładu, mianowicie w Słonimie. Mimo trudności, kąpielisko wraz z urządzeniem do dezynfekcji, zostało odbudowane i uruchomione w jesieni 1919 r., przy nim zaś urządzono pralnię.

Jednocześnie prawie poczęliśmy budować pociąg dezynfekcyjno-kąpielowy. Wykonany on został przy pomocy warsztatów kolejowych, całkowity zaś ekwipunek wewnętrzny ruchomy, razem z oświetleniem elektrycznem, sprawiony był sumptem Zrzeszenia urzędników państwowych pod nazwą „Pomoc żołnierzowi", którego to Zrzeszenia byłem inicjatorem, oraz przewodniczącym — przed wstąpieniem do Zarządu Głównego Polskiego Czerwonego Krzyża. Pociąg składał się z 12 wagonów, posiadał natryski, wielką komorę dezynfekcyjną, dezynfekcyjną pralnię, zapas bielizny, kuchnię i mieszkania dla personelu. Miał komendanta, oraz dziesięć osób załogi. Wyruszył po uroczystem poświęceniu go na front, w jesieni roku 1919.

Ciekawe były jego dalsze losy. Przedewszystkiem na front go „nie puszczono". Miał on obsadę cywilną, Dowództwo zaś Naczelne domagało się zmilitaryzowania go, dzięki bowiem nieuregulowanemu jasno stosunkowi Czerw. Krzyża do wojska żadna inna forma bytowania na froncie jednostek C. K. nie była wówczas jeszcze znana. Z początku więc jakiś czas pracował nasz pociąg na odcinku Mikaszewicz, gdzie wówczas na mocy konwencji, przeprowadzonej przez delegatów Czerwonych Krzyży obu walczących stron, odbywała się reewakuacja uchodźców. Oddał on tam wielkie usługi, kąpiąc, strzygąc i ubierając w świeżą bieliznę mocno zawszonych reemigrantów, oraz dezynfekując ich niemniej zakażone rzeczy.

Potrzeba jednak podobnej pomocy na froncie była tak wielka, że mimo wszystkie przeszkody formalne zaraz po wykonaniu powyższych prac, pociąg zaczął pracować i dla wojska. Wkrótce zaś potem otrzymał wojskowego dowódcę i został zmilitaryzowany. Nie przestał jednak być naszą własnością, przyczem stosunek jego do Czerwonego Krzyża ułożył się w ten sposób, że służbowo i personalnie zależał on od Dowództwa, pod względem gospodarczym natomiast, od Pełnomocnika Czerwonego Krzyża, który eo ipso, obowiązany był dbać o utrzymanie go stale w dobrym stanie. Komendant pociągu składał nam perjodyczne sprawozdania ze swej działalności. Mimo zmienne losy wojny pociąg, który otrzymał kolejny numer 12, przetrwał szczęśliwie aż do końca kampanji, cały czas, pracując bardzo intensywnie na pożytek frontu.

Więcej tego samego typu jednostek jużeśmy potem nie tworzyli, natomiast od początku roku 1920 zaczęliśmy zaopatrywać w niewielkie natryski i w pralnie, wszystkie nowotworzone punkty sanitarno-odżywcze, następnie zaś zorganizowaliśmy i wysłaliśmy na front kilka specjalnych kolumn kąpielowo-dezynfekcyjnych. Pierwsze trzy stworzyłem według własnych natchnień i pomysłów: każda z nich posiadała przenośne, lekkie natryski, według wzoru francuskich „bains-douches" (specjalnie własnemi niemal siłami przez nas przy składnicy głównej konstruowane), nieduże pralnie parowe (z ręcznym napędem); spory zapas bielizny nowej, oraz po jednym dezynfektorze na kołach, systemu Lautenszlegera lub Max - Rumpa.

Związek Banków, który ofiarował na cele pomocy sanitarnej kilkadziesiąt miljonów marek, wysłał pod naszą flagą na front w lipcu 1920 r. kilka takich samych jednostek, ale znacznie suciej i bogaciej wyekwipowanych.

Otrzymawszy od Naczelnego Komisarza do walki z epidemjami, p. dra Godlewskiego, kilkanaście pralni, stworzyliśmy wraz z gronem najbliższych przyjaciół i kolegów z Ministerstwa Kolei — specjalny Oddział Czerwonego Krzyża — pod egidą Zarządu Głównego. Oddział ten powołał do życia fachowe biuro instalacyjne z funkcjonarju-

szów płatnych, które to znów biuro zorganizowało szereg brygad robotniczych i w ciągu około 3 miesięcy zmontowało i uruchomiło 8 pralni, mianowicie w Radomiu, Pińsku, Słonimie, Baranowiczach, Białymstoku, Warszawie, Strzałkowie i Wilnie. Funkcjonowały one naogół z powodzeniem po parę miesięcy każda, niektóre, jak w Baranowiczach, w Warszawie i w Wilnie — dłużej od innych; pracowały zaś tak dla wojska, jak i dla repatrjantów, dla instytucyj społecznych, poczem zabrane zostały z powrotem przez prawego właściciela, t. j. przez Urząd Zdrowia; niektóre jednak, jak Radomska, Wileńska i — zdaje się — Strzałkowska (obóz jeńców) pozostały w rękach wojska. Z całej tej imprezy Zarządowi Głównemu Polskiego Czerwonego Krzyża zostało wkońcu złożone szczegółowe sprawozdanie ogólne i finansowe, jak również przekazano do likwidacji cały renament, tak w gotówce, jak i w materjałach.

Przechodząc teraz do właściwego toku wydarzeń, wspomnieć muszę przedewszystkiem o przeprowadzonej przez nas w początkach 1920 r. w całym kraju wspaniałej propagandzie dla zjednania większej liczby członków, oraz dla pogłębienia wśród ogółu idei samarytańskiej. Na koszta techniczne tej roboty otrzymano od Amerykańskiego Czerwonego Krzyża tytułem subsydjum coś około jednego miljona marek. Cel zamierzony osiągnięto całkowicie, to znaczy zwerbowano więcej, niż miljon nowych członków i znakomicie spotęgowano wśród szerokiego ogółu zainteresowanie się sprawami Czerwonego Krzyża. Od tej pory poczyna się w społeczeństwie żywszy ruch w kierunku współpracy z nami. Dzięki zgłoszeniu się licznych osób z pośród inteligencji zawodowej Zarząd Główny pozyskuje możność utworzenia specjalnej Inspekcji dla lepszego zespolenia Oddziałów z Centralą. Zaczynają jednocześnie napływać od zagranicznych Czerwonych Krzyży bardzo znaczne ofiary w naturze, od Rządu zaś poważniejsze zaliczki na rachunek przyszłych dochodów.

Dzięki tym szczęśliwym okolicznościom zaczynamy rozwijać wydatniejszą działalność. W porozumieniu tedy z Naczelnym Komisarzem do walki z epidemjami i przy jego finansowej pomocy organizujemy trzy szpitale epidemiczne, po 100 łóżek każdy. Tworzymy następnie szpital wewnętrzno-chirurgiczny na 250 łóżek. Ponieważ powstał on przeważnie ze specjalnych darów otrzymanych na ten cel od Angielskiego Czerwonego Krzyża, przeto nazwano go Angielskim.

Jednocześnie formujemy cały szereg tak zwanych punktów „żywnościowo-opatrunkowych". W roku 1919 tworzone były przez poszczególnych pełnomocników przy armjach, w miarę koniecznej potrzeby, były więc najrozmaitszych typów i rozmiarów, wyekwipowanie zaś ich naogół pozostawiało wiele do życzenia.

Z początkiem roku 1920 zaczęliśmy je tworzyć w Warszawie według jednolitego typu, w składzie mniej więcej 6 wagonów każdy, zaopatrując je w kąpiele i natryski, oraz w pralnie z najprostrzemi urządzeniami dezynfekcyjnemi. Razem takich jednostek — łącznie z dawniej utworzonemi — posiadaliśmy w lecie 1920 roku coś około 60.

Obok tego organizowaliśmy kolumny dezynfekcyjno-kąpielowe, o czem mówiłem już poprzednio.

W początkach roku 1920 utworzyliśmy specjalną składnicę ruchomą, dobrze zaopatrzoną we wszelkie materjały sanitarne i częściowo odżywcze której zadaniem było zasilanie składnic posiadanych przez pełnomocników. Była to instytucja bardzo pożyteczna. W lecie 1920 roku (dokładnej daty nie pamiętam) utworzony został na żądanie Naczelnego Dowództwa urząd Pełnomocnika Głównego (przedtem byli tylko Pełnomocnicy przy armjach), w którego rękach miała się koncentrować cała akcja frontowa. Aczkolwiek obsadzony przez człowieka, wysoce do podobnych funkcyj uzdolnionego, to jednak wskutek krótkości czasu i niezmiernie trudnej sytuacji ówczesnej, urząd ten nie zdołał utrwalić się w swoich atrybucjach w sposób należyty.

Obok frontowej zaczęła się wtedy rozwijać żywiej działalność na tyłach — w oddziałach.

Powstaje więc kolumna transportowa konna, ziemi Hrubieszowskiej, tworzy się sumptem ziemi Radomskiej (przy pomocy i staraniem centrali) czołówka konna, powstają w paru miejscach zakłady dla ozdrowieńców. Największy z nich w Karolinie ziemi Warszawskiej funduje się, przy wydatnej zresztą pomocy ze strony Centrali, staraniem Towarzystwa Opieki nad nerwowo-chorymi, Koła Ziemianek oraz Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża w Skierniewicach. Zaczyna się dźwigać przy pomocy Zarządu Głównego Sanatorjum w Zakopanem. Tworzą się po całym kraju liczne kursy dla sióstr. Są one o różnym poziomie i różnej przez to wartości, naogół jednak rolę swoją w zakresie pomnożenia zastępu sanitarjuszek jako tako spełniają, co jest tembardziej ważne, że zapotrzebowanie ze strony wojska w tym kierunku

rośnie prawie nieustannie. W lecie 1920 roku liczymy już około 5 i pół tysiąca sióstr, zatrudnionych częściowo we własnych, głównie jednak w różnych formacjach wojskowych. Obok tych wszystkich prac, zupełnie osobnym — że tak powiem — nurtem, pod zwierzchnią tylko kontrolą Zarządu Głównego toczy się i rozwija piękna i doniosła praca t. zw. Biura informacyjno-wywiadowczego Polskiego Czerwonego Krzyża. Założone samodzielnie przez dwie młode niewiasty dobrej woli, ogarnia wkrótce działalnością swoją cały kraj wraz z frontem, i staje się niezastąpionem. Sztab Główny, oceniając jego pożyteczną i sprawną pracę, otacza je troskliwą opieką. Biuro potrafi docierać wszędzie, wyszukiwać zewsząd potrzebne wiadomości i w ten sposób jako organ informacyjno-wywiadowczy staje całkowicie na wysokości zadania, przynosząc wiele pociechy rodzinom i krewnym, troszczącym się o losy swych najbliższych, jednocześnie zaś dostarczając wojsku wiele cennych danych co do rannych, chorych, zabitych i zaginionych. Wśród tych wszystkich prac, po krótkotrwałej radości z powodu zajęcia Kijowa, do którego wysłaliśmy zaraz specjalną dobrze zaopatrzoną ekspedycję dla pomocy nie tylko wojska, ale i tamtejszej ludności cywilnej, zaczynają się ciężkie niepowodzenia polskiego oręża na froncie. Wojska nasze cofają się, w związku z tem powstają szalone trudności z ewakuacją dosyć już wtedy licznych naszych jednostek frontowych. Przy odwrocie tracimy jeden szpital na odcinku Mińska Litewskiego, — drugi w okręgu Królewszczyzny. Giną chwalebną śmiercią za Ojczyznę: Pełnomocnik Grocholski oraz parę sióstr. Gubimy co chwilę kontakt z wieloma naszymi jednostkami, które, w miarę coraz większej ewakuacji w głąb, coraz bardziej się stłaczają.

Jednocześnie powstaje armja ochotnicza, nam zaś przypada w udziale duża część kłopotów o jej sanitarny ekwipunek. Nie umiałbym dokładnie powiedzieć, w jakich to było rozmiarach robione, dane dokładne przyszły historyk znajdzie oczywiście w naszych księgach magazynowych, wiem jednak, że całe pułki, bataljony, szwadrony, baterje i dywizjony — z numeracją porządkową powyżej cyfry 200 (oznaka armji ochotniczej) otrzymywały wtedy przez moje ręce odpowiednie przydziały apteczek, narzędzi chirurgicznych, pakietów indywidualnych, jak również luźnych środków opatrunkowych i lekarstw. Dzięki Bogu, że składnica była w to wszystko dobrze zaopatrzona.

W związku z powyższem musieliśmy zorganizować wtedy (w Sali ratuszowej) masowy wyrób pakietów indywidualnych, przy pomocy przeważnie bezpłatnej siły roboczej; jednocześnie 50 maszyn, również bezpłatnie nam użyczonych, szyło bieliznę, w składnicy zaś kilkadziesiąt robotnic z naszego tytoniu wyrabiało papierosy.

Tworzył się pociąg sanitarny, ufundowany przy naszej pomocy przez grupę Warszawską kolejarzy, nieco wcześniej zaś takiż pociąg, zorganizowany przez Okręg Wielkopolski. Rozwinęło się też wówczas na większą skalę bezpośrednie rozdawnictwo na froncie różnych darów jak: papierosy, bielizna, słodycze, nawet konserwy. Wozili to na front różni posłowie i działacze społeczni i oddawali tam w imieniu Czerwonego Krzyża.

Składnica funkcjonowała dosłownie po całych dniach i nocach, Zarząd pracował niemal tak samo. Na szczęście pomagało nam wtedy dzielnie wielu członków Komitetu, napływały również liczne zaofiarowania pracy ze strony różnych osób postronnych.

W samej Organizacji naszej zaszło parę ważnych zmian. Zamiast dotychczasowego Komisarza Cywilnego, otrzymaliśmy wprost z Departamentu Sanitarnego Oficera Łącznikowego, uczestniczącego bezpośrednio w pracach Zarządu. Była to inowacja bardzo pożyteczna.

Jednocześnie prawie powołaliśmy na swego Przewodniczącego Generała J. Hallera — ówczesnego Dowódcę Północno-Wschodniego frontu, co również zacieśniło nasz kontakt z wojskiem.

Nadeszły tymczasem dni najcięższe. Front utworzył się pod samą Warszawą.

Zaszła konieczność bezpośredniego aprowizowania robotników, kopiących okopy. Stworzyliśmy w tym celu szereg lotnych Oddziałów z kuchniami polowemi. Niektóre z nich pracowały bardzo dobrze.

W składnicy rozpoczęły się przygotowania do ewakuacji. O nas samych zaczął się już troszczyć przedstawiciel Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wydając nam narazie stosowne legitymacje ochronne.

Na szczęście nie wypadło z tego korzystać. Losy wojny odwróciły się. Zaczął się ruch powrotny naszych formacyj ku Wschodowi, a w związku z tem i rozplątywanie różnych węzłów i powikłań, wynikłych przy ewakuacji.

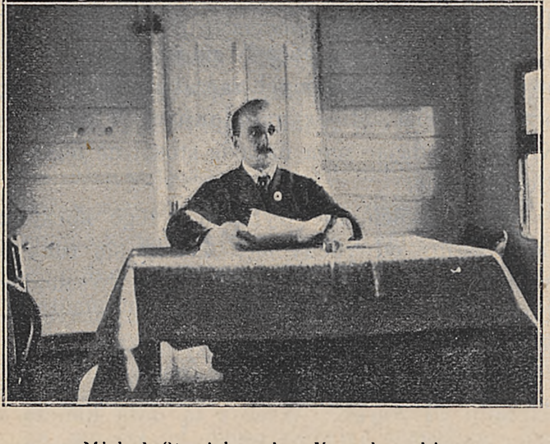
W dniu 1 września 1920 r. zmienił się skład Zarządu Głównego. Wraz z tą datą kończą się moje wspomnienia osobiste, jako sekretarza generalnego Polskiego Czerwonego Krzyża.

Ppłk. Dr. FRANCISZEK BAŁASZESKUL, D-ca 6 Baonu Sanit. Lwów.

Wspomnienia współpracy z P. T. C. K.

Podczas służby wojskowej od listopada 1918 po dzień dzisiejszy miałem zaszczyt niejednokrotnie współpracować z delegatami P. T. C. K. Może jednak najciekawsze momenty tej współpracy przypadały na czas wojny polsko-rosyjskiej 1918 — 1921 i dlatego pragnę podać kilka epizodów z tego okresu, na podstawie własnych przeżyć i wspomnień.

Dnia 2 października 1919 r. jako komendant pociągu sanitarnego Nr. 15 (późniejszego 53) otrzymałem rozkaz od Naczelnego Dowództwa w przeciągu dni 5-ciu przygotować pociąg w ten sposób, aby mógł on służyć jako czasowe pomieszczenie dla delegacji P. T. C. K., która uda się w tymże pociągu do stacji Mikaszewicze, dokąd przybędzie również delegacja Czerw. Krzyża R. S. F. S. R., i gdzie obie delegacje mają się porozumieć co do wymiany jeńców i zakładników cywilnych. Dla wyjaśnienia dodam, że ze względu na stan wojenny między obu państwami tylko Czerwony Krzyż mógł takie pertraktacje prowadzić, a jego pracy i incjatywie zawdzięcza swój powrót a nieraz i życie cały szereg obywateli polskich, uwięzionych podówczas w Rosji Sowieckiej. Mając do dyspozycji pociąg typu amerykańskiego, przeznaczyłem jedną jego część na mieszkanie delegacji P. T. C. K. i załogi własnej, drugą część natomiast na pomieszczenie delegacji sowieckiej. Środkowe dwa wagony służyły jako sale obrad dla obu delegacyj.



Michał Stanisław hr. Kossakowski, prezes delegacji P. C. K.

Z Warszawy odjechaliśmy dnia 8 października i przybyliśmy na miejsce przeznaczenia 10-go października 1919 r. Stacja Mikaszewicze, położona na wschód od Łunińca, okazała się prawie bezludną miejscowością, leżącą głęboko w lasach, jakby stworzoną dla podobnej pracy, wymagającej skupienia i spokoju. Wrażenie zupełnego odcięcia od świata, spotęgował wkrótce gęsto sypiący śnieg, który spowinął już w ostatnich dniach października okoliczne lasy, stację i pociąg, dochodzącym do metrowej grubości całunem. Prace obu delegacyj, po wzajemnem sobie przedłużeniu pełnomocnictw, rozpoczęły się natychmiast. W skład polskiej delegacji Czerwonego Krzyża wchodzili pp.: Michał Stanisław hr. Kossakowski jako prezes, Edward Zaleski jako zastępca prezesa, oraz członkowie delegacji pp.: Helena Bispingowa, Dr. Wacław Gawłowski, Marjan Strumiłło, Leon Trzeciak i Ludwik Uniechowski.

Z ramienia Naczelnego Dowództwa przydzieleni byli do delegacji polskiej pp.: kpt. Boerner, por. Baczyński i por. Birnbaum. Okazałbym się niewdzięcznym, gdybym na tem miejscu nie wymienił również p. J. Szulcowej, która miała sobie poruczony dozór nad aprowizacją delegacji oraz pp. A. Perżanowskiej i A. Kownackiej, przemiłych sekretarek delegacji.

Skład delegacji sowieckiej był następujący: pp.: prof. Juljan Marchlewski jako prezes, oraz członkowie pp.: Marchlewska, Sonje-Patek, Jabłoński, Manulicz i Jepanieszników.

Obrady i pertraktacje, które początkowo miały potrwać dwa do trzech tygodni, przeciągnęły się ponad dwa miesiące, a owocem ich żmudnej i wytrwałej pracy, była umowa, która miała przynieść setkom obywateli polskich tak bardzo upragniony powrót do odrodzonej Ojczyzny. Umową tą, powołującą się na „wzniosłe hasła humanitarne towarzystw Czerwonego Krzyża" zobowiązywało się Ros. Tow. Czerw. Krzyża w imieniu Rządu R. S. F. S. R. „przystąpić niezwłocznie do odtransportowania do oznaczonej linji demarkacyjnej jeńców cywilnych i zakładników obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, znajdujących się w powyższym charakterze na terenie R. S. F. R. S. bądźto w więzieniach, punktach prewencyjnych, bądźteż w fortecach lub obozach koncentracyjnych, wzglę-

dnie pozostających na wolności". Analogiczne zobowiązanie wystawiło równocześnie P. T. C. K. w imieniu Rządu Rzeczypospolitej. Ważną zdobyczą delegacji polskiej był punkt umowy, przyjęty przez obie delegacje, mocą którego oba Rządy „z chwilą wejścia umowy w życie natychmiast wstrzymują wykonanie kar, nałożonych w drodze dyscyplinarnej, administracyjnej, sądowej lub innej na osoby, które mają być wydane". Dalsze punkty umowy przewidywały szczegółowo, które osoby mają prawo korzystać z dobrodziejstwa tej umowy, oraz szczegółowe techniczne wskazówki dla transportu tychże osób oraz ich domowników i bagażu. Umowa powyższa została spisaną w dwu językach polskim i rosyjskim, z wyraźnem jednak zastrzeżeniem „że w razie wątpliwości przy interpretacji tej umowy, tekst polski uważany jest za



Grono delegatów P. C. K. w Mikaszewiczach.

miarodajny ze względu na to, że wobec dokładnej znajomości języka polskiego, posiadanej przez przedstawicieli obu delegacji, tekst ten wyraża najdokładniej wolę stron obu".

Wreszcie 15 grudnia 1919 r. ukończono żmudne prace i tegoż dnia wieczorem odstawiłem delegację sowiecką do placówek rosyjskich, znajdującej się po wschodniej stronie mostu na rzece Ptycz, poczem powróciłem do stacji Mikaszewicze, skąd odjechaliśmy nazajutrz i przybyliśmy do Warszawy dnia 18-go grudnia 1919 r.

Czy i jakie były później skutki praktyczne powyższej umowy, nie wiem dokładnie. To jednak wiem, że niektórzy wybitni zakładnicy polscy już w ostatnich dniach pertraktacji zaczęli napływać, a jednym z pierwszych był ks. biskup Ropp, którego wysłano nawet z insygniami jego godności duchownej.



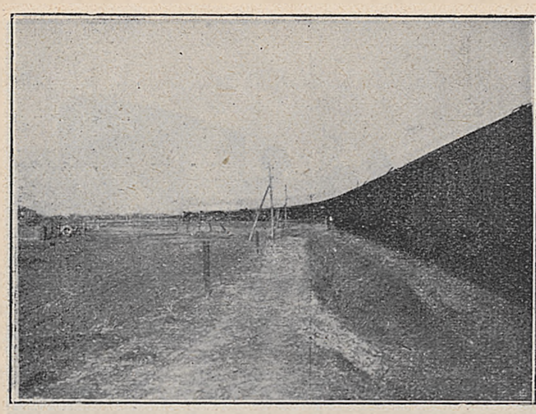
Oficerowie pociągu sanitarnego Nr. 15 w towarzystwie „kolorowych" żołnierzy francuskich.

Stwierdzić jednak należy, że samo doprowadzenie do skutku zejścia się delegacyj obu Czerwonych Krzyży z incjatywy P. T. C. K. było w ówczesnych warunkach wielkim sukcesem. Ulżyło ono niedoli wielu obywateli polskich w Rosji Sowieckiej, wyjaśniło wiele spornych kwestyj, zapoczątkowało narazie nieoficjalną wymianę zdań w sprawie wymiany jeńców wojennych i może być zapisane w księdze prac P. T. C. K. na jednem z naczelnych miejsc.

W kilka tygodni później zostało Naczelne Dowództwo W. P. zaalarmowane wiadomością, że w Galaczu, porcie rumuńskim, znajduje się większa ilość obywateli polskich, którym udało się ujść z Rosji Sowieckiej, ale których Rząd Rumuński, mając pewne zastrzeżenia, odrazu internował i wezwał Rząd Polski do ewakuacji tychże do Polski własnemi środkami. Na skutek powyższej relacji,



Delegacja Amerykańskiego Cz. Krzyża w Galaczu.



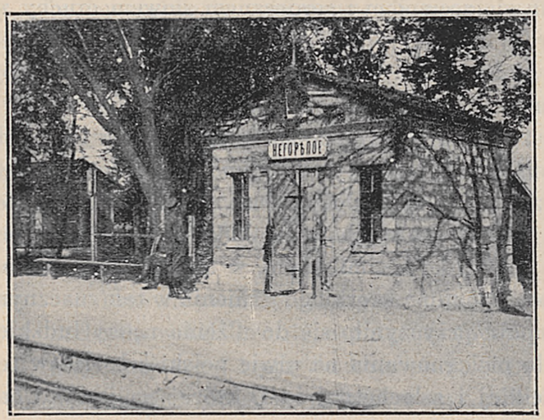
Pociąg z uchodźcami w drodze powrotnej dojeżdża do Jass.

otrzymałem w Warszawie dnia 17-go lutego 1920 r. rozkaz przygotować swój pociąg sanit. Nr. 15 tak, aby po odebraniu z poselstwa Rumuńskiego w Warszawie „listu, zezwalającego na wjazd pociągu sanitarnego polskiego wraz z uzbrojoną załogą (około 30 ludzi) w granice Państwa Rumuńskiego", niezwłocznie odjechać do Lwowa, tam zaopatrzyć się w prowiant (liczba uchodźców nie była wiadoma) i inne potrzebne akcesorja i natychmiast wyjechać via Czerniowce — Jassy do Galaczu. Pomocnym mi w tej akcji był Państwowy Urząd dla spraw powrotu Jeńców, Uchodźców i Robotników (JUR), a przedewszystkoem P. T. C. K. w osobie p. Antoniego Brzozowskiego, swego specjalnego delegata, którego głębokiej znajomości spraw uchodźców z Rosji i praktycznym wskazówkom zawdzięczam uniknięcie niejednej przykrości i nieporozumienia. Również na wniosek i inicjatywę P. T. C. K. wzięła udział w podróży tej delegacja amerykańskiego Czerwonego Krzyża, w skład której wchodzili pp.: płk. Harry Snively, miss M. Fronczak, miss Gladys E. Vaughan i del. Stanley Misleck. Delegacja ta współpracując z delegatem p. Brzozowskim, przyczyniła się bardzo ulżeniu niedoli uchodźców, przez rozdawnictwo ciepłej odzieży i prowiantów, a zwłaszcza mleka kondensowanego dla dzieci i chorych.

Do Galaczu przybyliśmy 1 marca 1920 r. W mieście tem, które jest dużym portem ujścia Dunaju do morza Czarnego, a podówczas był wielką składnicą amunicji wojsk koalicyjnych na wschodzie, panował nieopisany zgiełk, a na każdym niemal kroku spotykało się żołnierzy wszystkich państw koalicyjnych, sam zaś port zajęty był pra-

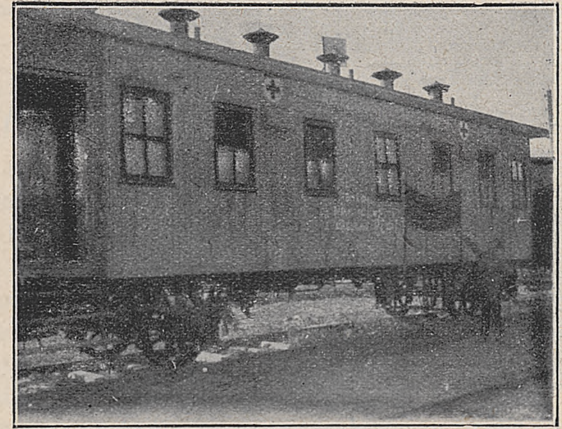
wie zupełnie przez różnego typu okręty wojenne tychże państw. Po zameldowaniu się u władz portowych udaliśmy się niezwłocznie do północnej części portu, gdzie na osobnym placu w towarowych wagonach znajdowali się stłoczeni, zziębnięci i głodni uchodźcy — przeważnie inteligencja — wraz z rodzinami. Okazało się, że wielu z nich nie posiada żadnego dokumentu, stwierdzającego choćby niedostatecznie ich polskość, wielu zaś w młodym jeszcze wieku wywędrowało jużto dodobrowolnie już też przymusowo wgłąb Rosji, obecnie zaś jako starcy, chcą ze swemi rodzinami wrócić do wolnej Ojczyzny.

Instrukcja moja była wyraźna: tych zabrać, którzy niezbicie udowodnią pochodzenie z terenów, wchodzących w skład Rzeczypospolitej Polskiej. Jednak na pierwszą wzmiankę o tem za-



Stacja graniczna Niegorjełoje, skąd odbierano jeńców polskich.

rządzeniu powstał taki nieopisany lament i rozdzierający uszy płacz, że nie mogłem zdecydować się pozostawić na łasce losu uchodźców zwłaszcza starców i dzieci, nie mogących udowodnić pełnego prawa do repatrjacji tem bardziej, że zdawałem sobie dokładnie sprawę z tego co ich czeka z pozostawieniem ich losowi. Nieprzyjętych bowiem przeczemnie uchodźców miały władze rumuńskie zamiar odstawić z powrotem do granicy sowieckiej, kierując się paniczną obawą przed przemyceniem w głąb kraju agitatorów bolszewickich i jeszcze większą obawą przed zawleczeniem chorób zakaźnych zwłaszcza tyfusu plamistego. Po naradzie z delegatem P. T. C. K. p. Brzozowskim postanowiłem zabrać z bardzo małemi wyjątkami wszystkich. Tu jednak powstała nowa trudność. Pojemność mego pociągu wynosiła prócz własnej



Sowiecki wagon Czerw. Krzyża po wyładowaniu jeńców w Niegorjełoje.

załogi 300 osób maximum, zaś liczba uchodźców przenosiła z górą 500. I tu znowu wspólnie z p. Brzozowskim i płk. Snively udaliśmy się do władz rumuńskich o pomoc. Muszę na tem miejscu podnieść, że władze te okazały pełne zrozumienie i ludzkość dla niedoli tej gromady biedaków i niezwłocznie oddały do mojej dyspozycji dwadzieścia krytych i opalanych wagonów towarowych, oraz przydzieliły specjalnego urzędnika kolejowego p. Aulin, który miał polecenie towarzyszyć nam w drodze i ułatwiać porozumienie z władzami kolejowemi rumuńskiemi. Również dzięki uprzejmości władz rumuńskich udało się przeprowadzić dezynfekcję uchodźców, przed załadowaniem ich do pociągu jak również otrzymać dodatkowy parowóz (trzeci z rzędu), który był nieodzowny wobec zwiększonego tonażu pociągu.



Grupa jeńców polskich powracających z Rosji.

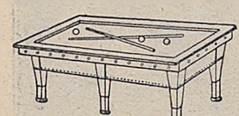


Uchodźcy polscy w Galaczu.

Wreszcie po ukończeniu przygotowań dnia 9-go marca 1920 roku wyruszyliśmy w drogę powrotną. Rozmieściłem uchodźców w ten sposób, że starców, ludzi chorych, kobiety i dzieci umieściłem w sanitarnej części pociągu, mężczyzn zaś i zdrowszych w doczepionych ogrzewanych towarowych wagonach. Radość ich nie miała granic, a podziękowaniom nie było końca. Podawałem im pożywienie proste choć smacznie przyrządzone—smakowało im to jak najlepsze delikatesy. Dnia 13 marca stanąłem z transportem we Lwowie, gdzie uchodźcami zajął się już „JUR" i władze polityczne. Nie mogę w powyższej akcji nie podnieść zasług P. T. C. K., które przez dostarczenie mi niezbędnych leków, a zwłaszcza środków dezynfekcyjnych oraz przydzielenie specjalnego delegata, jak również spowodowanie wzięcia udziału w akcji amerykańskiego Czerwonego Krzyża, przyczyniło się znakomicie do usprawnienia tak ciężkiego transportu i zapobiegło zawleczeniu chorób zakaźnych w granice Polski.

Na zakończenie tych kilku wspomnień chcę dodać, że już pod koniec wojny polsko-rosyjskiej zetknąłem się raz jeszcze z nadzwyczaj humanitarną akcją P. T. C. K., a mianowicie przy okazji wymiany jeńców wojennych w okresie rokowań pokojowych w Rydze. Wówczas to na jednym z punktów granicznych (Stołpce—Niegorjełoje) dokąd odstawiono jeńców naszych z Rosji, widziałem rozwiniętą stację sanitarno-odżywczą P.T.C.K., gdzie jeńcy przed przyjęciem ich do wagonów otrzymali posiłek oraz drobne upominki w postaci grzebieni, mydła, scyzoryków i t. p. Trzeba było widzieć rozradowane twarze tych wymęczonych i wygłodniałych biedaków, zwłaszcza gdy spotykali się z ciepłem i serdecznem słowem otuchy ze strony personelu P. T. C. K. i trzeba było słyszeć te gorące słowa podzięki, płynące z serca, aby obrazu tego nigdy nie zapomnieć.

Kończę tę drobną garść wspomnień i cieszyłbym się bardzo, gdyby ona mogła w czemkolwiek przyczynić się do zobrazowania działalności P. T. C. K., powstałego dzięki ludziom dobrej woli, w większości bezimiennym, w tak ciężkich warunkach i pomimo krótkiego istnienia w tak znacznym stopniu przyczyniło się do ulżenia nędzy ludzkiej i do pielęgnowania na niwie polskiej kwiatów tej wielkiej i szlachetnej idei, której na imię „Charitas".



Ppłk. Dr. ST. MICHAŁOWSKI, Szef Sanitarny K. O. P.

Z dziennika szpitala polowego X.

Dziesięć lat mija od czasu, kiedy Szpital Polowy pewnej dywizji piechoty, znajdujący się pod moją komendą, został umieszczony przy stacji kolejowej Szepietówka z rozkazem obsługiwania całego odcinka ówczesnego frontu, to jest od Zwiahla do Starokonstantynowa włącznie. Zbliżała się zima, ustały marsze i poprzednie walki, rannych więc było względnie niewiele, groziło natomiast niebezpieczeństwo chorób zakaźnych, szczególniej tyfusu plamistego, zawsze napotykanego wśród miejscowej ludności, a przybierający od czasu do czasu postać groźnej epidemji. Niebezpieczeństwo było tem większe, że kraj, w którym pięć lat panowała wojna, znajdował się w opłakanych warunkach sanitarnych.

Zadanie zatem Szpitala Polowego było nadzwyczaj ciężkie, gdyż głównie chodziło o walkę ze spodziewaną epidemją, niedopuszczenie jej w głąb kraju, a do tego zadania szpital dywizyjny nie był dostatecznie przygotowany; nie było potrzebnej ilości lekarzy i wcale nie było pielęgniarek.

Przewidywane niebezpieczeństwo tymczasem nadeszło w tak groźnej i potężnej formie, że byliśmy zaskoczeni i prawie bezsilni. Już w listopadzie zaczęły się 20 stopniowe mrozy, żołnierze oddziałów, stojących na froncie, zmuszeni do zakwaterowania się w wiejskich brudnych i zawszonych chatach, zaczęli masowo zapadać na tyfus plamisty i napływać do Szpitala z całego stu kilometrowego odcinka. Na alarmy moje, Szefa Sanitarnego i dowódcy dywizji, przysłano kilku lekarzy i „zarekwirowano" pielęgniarki z byłego Rosyjskiego Czerwonego Krzyża, które można było znaleźć w Równem, Łucku, Krzemieńcu i innych miastach Wołynia. Nie było czasu ani możności kontrolować lub segregować nadsyłanego personelu, który wprost z wagonu szedł na sale do pracy przy chorych, przybywających bez przerwy całą dobę pociągami i sankami z frontu. Duży dom kolejowy, początkowo zajęty na szpital napełnił się w ciągu kilku dni, trzeba było zajmować coraz nowe budynki prywatne, a kiedy tych zabrakło, budować baraki-ziemianki. Cała Szepietówka po paru tygodniach wyglądała już jak jeden olbrzymi szpital, rozrzucony na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Powstały trudności w wyżywieniu chorych, liczba których w pewne dni dochodziła do 1000 osób. Na domiar złego tyfus począł szerzyć się wśród personelu pielęgniarek i lekarzy, wyrywając ze szczupłych i bez tego szeregów, coraz nowe ofiary. Zachorowało 2 lekarzy, zachorowała 6 pielęgniarek, z których 3 zmarły. Sytuacja stawała się rozpaczliwą, gdyż epidemja dochodziła do najwyższego punktu nasilenia; zima była niesłychanie ostra, a walczących z chorobą coraz mniej. Oddziały, pilnujące frontu, znużone długotrwałą zimą i złemi warunkami życia, a wskutek tego coraz mniej odporne dziesiątkował tyfus do tego stopnia, że niektóre potraciły 80% swego stanu.

Na szczęście w tym właśnie okresie z pomocą przyszedł Polski Czerwony Krzyż, stawiający pierwsze kroki na gruncie odrodzonej Rzeczypospolitej. Przybył więc przedewszystkiem delegowany z Warszawy punkt żywnościowy P. C. K., pod kierownictwem panny Wandy B., która wraz ze swą zastępczynią p. Izą niepospolite zasługi położyły w dziale dożywiania i opieki nad chorymi, niezmordowanie pracując i narażając życie na niebezpieczeństwo tyfusu, na który p. B. po paru tygodniach zapadła.

Punkt ten został przy szpitalu i nadal, dzieląc z nim trudy i niebezpieczeństwa późniejszej wyprawy na Kijów.

Oprócz punktu żywnościowego, Czerwony Krzyż mógł już przysłać pierwsze siostry-pielęgniarki, po świeżo ukończonym kursie, które mogły zastąpić i uzupełnić braki w personelu pielęgniarskim, mocno już przerzedzonym i nie wystarczającym jak ilościowo, tak też pod względem jakości. Były to w większej części studentki wyższych uczelni Warszawskich, z zapałem i poświęceniem oddające swój trud i pracę polepszeniu doli żołnierza polskiego.

Z pomocą tych sióstr udało się opanować wreszcie straszliwą epidemję, która pozostawiła po sobie nowy cmentarz w Szepietówce, liczący kilkaset grobów żołnierskich.

Przyszedł nowy okres — okres wiosny 1920 r. i wyprawy ukraińskiej, pomyślnie początkowo rozwijający się pochód obfitował następnie w momenty bardzo niebezpieczne, gdyż na dywizję właśnie spadło pierwsze uderzenie konnej armji Bu-

diennego. Szpital w tym czasie stał w okolicach Koziatyna, mając na stacji Pohrebyszcze wysuniętą czołówkę chirurgiczną z 3-ma siostrami Czerwonego Krzyża, 1 lekarzem i nielicznym personelem niższym. Natarcie Budiennego przerwało cieniutką linję frontu i czołówka odcięta od szpitala, pozostała na łasce losu. Przeżyliśmy wtedy kilka dni niepokoju, ponieważ słychać już było, jak obchodzą się z jeńcami, szczególniej kobietami, kozacy Budiennego oraz podburzeni przez niego chłopi. Doszły nas wieści o straszliwym losie, jaki spotkał Szpital Polowy, stojący pod Lipowcem, o rzezi i gwałtach w Berdyczowie i innych miejscowościach. Opisy były jakby żywcem wyjęte z Sienkiewiczowskiego „Ogniem i Mieczem" i różniły się tylko w datach i osobach zamordowanych przez czerń. Widocznie jednak Opatrzność czuwała nad młodemi siostrami i całą czołówką, gdyż po kilku dniach przekradania się nocami i polnemi dróżkami, dostały się do Koziatyna na kilka godzin zaledwie przed ostateczną jego ewakuacją.

Z Koziatyna rozpoczął się mozolny odwrót dywizji, powstrzymującej napór dziesięciokrotnie silniejszej armji bolszewickiej, odwrót, przerywany bojami, po których przybywali ranni; trzeba ich było opatrywać a następnie zabierać i wieźć z sobą, ponieważ wszystkie drogi kolejowe były już przecięte, a na drogach kołowych zawsze można było spodziewać się pojawienia się lotnego oddziału bolszewickiego, albo miejscowych chłopów, napadających nawet na mniejsze oddziały wojskowe.

Szpital musiał stać się oddziałem samowystarczającym, to jest często musiał posuwać się zupełnie osobno, organizując obronę pochodu i postojów własnemi siłami. Stworzył się więc obraz oryginalny i niespotykany w wojnie Europejskiej: szpital właściwy z rannymi i siostrami C. K. zajmował na postoju i w pochodzie centrum, otoczone z przodu, z tyłu i z boków strażami; zdarzało się, że wchodząc do wsi słyszało się strzały, którymi chłopi spotykali nadciągający oddział; trzeba było stoczyć małą bitwę, zapalić parę chat, aby sytuację opanować. Na szczęście liczebność personelu szpitala nietylko się nie zmniejszyła, ale znacznie wzrosła, gdyż po drodze przyłączali się do niego żołnierze z rozmaitych pułków i oddziałów, od których się odbili. W ten sposób udało się uformować liczny i dobrze uzbrojony oddział, który zabezpieczał pochód i postoje aż pod Lwów,

gdzie znowu karta dziejów na naszą korzyść się odwróciła.

W początkowym okresie znać było wśród sióstr pewien niepokój i zdenerwowanie, spowodowane niezwykłemi warunkami pracy, lecz po tygodniu już się przyzwyczaiły i z zupełnym opanowaniem i dyscypliną zajmowały się każda swoim działem.

To też doborowi sióstr Czerwonego Krzyża, ich dyscyplinie i oddaniu się pracy w tak niezwykłych warunkach, w dużej mierze zawdzięczać należy, że szpital, o którym mowa, tylko jeden z trzech, szczęśliwie przebył odwrót z Ukrainy do Lwowa, ponosząc bardzo małe straty, i z pod Lwowa mógł natychmiast podążyć za swą dywizją, ścigającą już Budiennego.

Jak powstała Sekcja Sióstr P. T. C. K.

W końcu roku 1918 postanowiono utworzyć Polski Czerwony Krzyż. Po kilku wstępnych zebraniach wysłano podanie do Genewy, o przyjęcie do Międzynarodowego C. K. Podanie to podpisali założyciele a więc: Margrabina Elżbieta Wielopolska, a między innemi też Helena Bisping i Helena Lesser. Hr. Władysław Tyszkiewicz mianowany przez Rząd Komisarzem C. K. ogłosił wybory do Komitetu Głównego na dzień 27 kwietnia 1919 r. w sali Muzeum Przemysłu. Tłumy publiczności wzięły udział w tem zebraniu. Zaproszona do stołu prezydjalnego na „sekretarza" pisałam ten pierwszy protokół. Nazajutrz rano rezultat wyborów był wiadomy, gdyż komisja skrutacyjna, do której i ja należałam pracowała całą noc w mieszkaniu ks. Marcelego Nowakowskiego.

Komisarz hr. Tyszkiewicz naznaczył wybory do Zarządu Komitetu Głównego na dzień 4 maja Dnia 4-go maja 1919 roku zostałam wybraną na przewodniczącą Sekcji Sióstr, i od tego dnia oficjalnie sekcję tą prowadziłam — de facto jednak, organizowałam już Sekcję Sióstr, i od dnia 31 marca 1919 roku. W marcu bowiem, zaproponował mi Szef Sanitarny jenerał Zdzisław Hordyński, który znał mnie jako przewodniczącą „Opieki Wojennej„ — i znał działalność moją na terenie Szpitala Ujazdowskiego, — abym zorganizowała Sekcję Sióstr C. K., prosił też usilnie, abym do pracy tej, przystąpiła natychmiast, nie czekając wyborów, — poparł tę prośbę również hr. Tyszkiewicz.

Gdy propozycję tę po pewnem wahaniu przyjęłam, odebrałam pismo Komisarza C. K., które dosłownie przytaczam:

31 Marca 1919 r.

Do Przewodniczącej Sekcji Sanitarjuszek p. bar. Lesser. Najuprzejmiej proszę Sz. Panią o rozpoczęcie urzędowania od dnia jutrzejszego w lokalu na 2 piętrze Gmachu Staszica.

Z poważaniem
W. Tyszkiewicz.

Tak więc dnia 1 kwietnia zaczęłam organizować kadry Sióstr P. C. K., rozpoczęłam rejestrację pielęgniarek i organizowanie kursów sanitarnych. W czasie, gdy prowadziłam Sekcję Sióstr do października 1921 r., zarejestrowałam w Czerwonym Krzyżu przeszło 5.000 pielęgniarek. Kursów dla nowoprzybywających kandydatek uruchomiono w tych latach: 9 ogólnych, a oprócz tego 3 kursy skrócone dla akademiczek, oraz 3 kursy specjalne dla nauki masażu, razem 15 kursów.

Helena Lesser.

Warszawa, marzec 1929.



MARJA PRZYBOROWSKA.

Biuro „Improwizacji".

Jakto, przecież spodziewamy się dowiedzieć czegoś o pracy Polskiego Czerwonego Krzyża, o jego historji, o rozwoju poszczególnych działów, — cóż to znowu za „Biuro Improwizacji"?

A jednak było takie. Wprawdzie na pieczątkach i blankietach figurowała inna nazwa: „Biuro Informacyjne Polskiego T-wa Czerwonego Krzyża" — której z małą zmianą używa do dziś kadra pokojowa biura — ale jednakże list zaadresowany niezręcznem, dziecinnem jakby pismem:

Towarzystwo Polskiego Czerwonego Krzyża
Biuro Improwizacji

trafiał gdzie należało...

Było to rzeczywiście „biuro improwizacji", które dziesięć lat temu z górą zagnieździło się w Pałacu Staszica, a raczej „pałacu Ptaczyca", jak brzmiał kiedyś adres na nadesłanym z głębokiej wsi liście. I dlaczegoby nie „Ptaczyca" — czuliśmy się wszyscy jak uskrzydleni zapałem do pracy, chęcią pomagania komu można i jak można.

Była nas gromadka studentek i studentów, którzy w pamiętnych dniach listopadowych 1918 roku nie mogli z takich czy innych powodów iść na front i płonęli chęcią przyłożenia ręki — do dzieła. Któżby mógł wówczas wytrzymać w domu czy w bibljotece, studjować kodeks cywilny czy elegję rzymską! Tak, jak te szare setki nieprzejrzane nieznanych braci stanęły w szeregach na froncie — ach, jakiż dziwny gorący dreszcz przebiegał członki, kiedy rytmicznym krokiem, z rzewnie zawadjacką piosenką, obdarci a pełni fantazji, przechodzili ulicami — tak, jak te szare setki nieprzejrzane stanęły w szeregu, tak i ty, człowieku, musiałeś stanąć wówczas w szeregu, jeżeli nie obok nich, to chociaż o tę parę kroków na nimi: kartofle im obierać, czy listy im pisać — wszystko jedno; co trzeba.

Były to czasy gorączkowych, chaotycznych poczynań organizacyjnych społeczeństwa. O jakiejś skoordynowanej pomocy wojskowo-sanitarnej nie było jeszcze wówczas i mowy. Dopiero na początku 1919 roku zaczęły się jakoś łączyć i grupować luzem chodzące grupy i jednostki dobrej woli. Gdzieś w lutym dopiero zaczął się organizować Polski Czerwony Krzyż. A tymczasem już od tego niezapomnianego listopada 1918 dawał się odczuwać dotkliwie — obok tysiąca innych braków, brak instytucji, któraby ułatwiała żołnierzowi skomunikowanie się z rodziną. Brak poczty polowej, nieuregulowane jeszcze stosunki w centralnych organach wojskowych, a przedewszystkiem partyzancki sposób tworzenia oddziałów, nieustalone sposoby notowania strat wojska, — uśmiałby się zresztą na te ostatnie słowa ktoś, kto te tygodnie przeżył na froncie: co tu gadać o jakichś „spisach" i ustalonym sposobie notowania strat, kiedy rozkazy przychodziło często pisać na deseczce w braku innego „materjału piśmiennego"! — wszystko to składało się na desperacki często nastrój rodzin, niemających całemi tygodniami i więcej żadnej wiadomości od swoich z wojska i nachodzących nieszczęsne urzędy wojskowe, gdzie oficerowie i tak nie wiedzieli, co pierwsze chwytać do roboty, i mało byli usposobieni do długich gawęd i ocierania obficie nieraz płynących łez.

Wtedy to nasza zapalona gromadka postanowiła stworzyć biuro — łącznik pomiędzy armją naszą a społeczeństwem, między władzami a rodzinami. Słyszeliśmy, że takie biura istnieją wszędzie przy narodowych Czerwonych Krzyżach. Ponieważ nie było jeszcze w Polsce Czerwonego Krzyża, więc przyłączyliśmy się do jednej z wielu efemerycznych ówczesnych organizacji, która również jak i my „zaimprowizowała się" zająwszy jakiś opuszczony przez Niemców lokal — i zabraliśmy się do roboty.

Naturalnie, że nie umieliśmy nic, a wiedzieliśmy tylko to jedno: że matki i żony muszą wiedzieć o swoich chłopcach, a żołnierze o domu; że oficerowie po biurach muszą mieć spokój od tych spraw. Pozatem nic.

Dzisiaj po tylu latach można się już przyznać pocichu, że niejeden z nas niebardzo się orjentował, czem tak dalece różni się kompanja od baonu, nie mówiąc już o niezgłębionej magji takich słów, jak dyon i dak. Ale kształciliśmy się szybko. Na szczęście znaleźliśmy zaraz przy pierwszych krokach nieocenione wprost oparcie i pomoc w Szefostwie Sanitarnem Naczelnego Dowództwa. Kochany generał Rogalski, wówczas Szef Sanitarny frontu, którego pomoc każdy z nas tak wdzięcznem sercem wspomina! Mieliśmy od niego wska-

zówki, poparcie potrzebne, a co najważniejsze zaczęliśmy otrzymywać coraz to porządniej napływające wykazy strat wojska. Mieliśmy w ręku materjał. Uporządkować go tak, by był podatny każdej chwili do użytku; dopełniać luki korespondencją; w godzinach przyjęć służyć ludziom informacjami — tak zarysowały się odrazu w początkach działy naszej pracy.

Rzecz jasna, że technika pracy była w początkach naiwna, robiło się moc błędów, ale też i sporo dobrej roboty, mimo wielkiego braku doświadczenia. Pracowali przez pierwsze miesiące sami „ochotnicy", każdy ofiarowywał inne godziny i inne dni, więc z konieczności kilkoro a właściwie dwoje inicjatorów i najprzysięglejszych „informatorów", oddanych sprawie bez zastrzeżeń, sterczało od 8 rano do 9 wieczorem na posterunku, aby być łącznikiem wśród tej rzeszy ochotniczej, pełnej dobrej woli ale niekompetentnej (bo my byliśmy po paru tygodniach już m o c n o kompetentni!). Na dobro tej gromadki ochotniczej trzeba jednak powiedzieć, że rzadko „etatowi" urzędnicy mogą dać tyle świeżości i fantazji w pracy, tyle ciepła w obejściu się z przychodzącemi rodzinami. Kiedy po paru miesiącach wprowadziliśmy już z konieczności płatnych funkcjonarjuszy, pozostał jednakże od początku zaszczepiony „duch ochotniczy". Pamiętam np., że w 2-gie święto Bożego Narodzenia 1919 roku nasze pracownice poniosły do szpitala Ujazdowskiego ufundowany z zebranych między sobą składek słodki, bardzo smakowity podwieczorek. Kakao i ciastka własnego wypieku smakowały wybornie, ale jeszcze bardziej widać radowało chorych towarzystwo młodych, wesołych dziewcząt. „Ciastka możecie sobie zabrać, wszystko zabrać, ale przyjdźcie jeszcze kiedy z nami porozmawiać, choć na parę minut" — prosili przy pożegnaniu.

Byliśmy też wszyscy gorliwymi propagatorami Polskiego Czerwonego Krzyża, do którego zgłosiliśmy się zaraz po powstaniu pierwszego ośrodka, dumnie dzierżąc pod pachą księgi z rejestrowanemi stratami i wywiadami — owoc paromiesięcznej już pracy. Odtąd nasze Biuro miało swój właściwy „przydział", jak wyrażaliśmy się, i rozwijało się już pod opieką coraz to rosnącego w siłę Pol. Czerwonego Krzyża.

Ten duch ochotniczy, o którym wspominałam, wrogi jakimś sztywnym, zacieśniającym ramom, dawał nam kontakt z ludźmi, jakiego napewno nie uzyskalibyśmy inaczej.

Kiedyś naprzykład w pierwszych miesiącach naszej pracy, zjawili się do nas jacyś państwo z pięknie opakowaną w płótno paczką.

„Nikt nam jej wysłać nie chce. Syn jest jeńcem niemieckim, chory, chcemy mu posłać lekarstwa, słoniny, chleba, a tu niema sposobu. Niechże się panie zmiłują".

Nie przesyłaliśmy dotąd żadnych paczek i sprawa to była wówczas niełatwa, ale jakże się nie postarać? ma przepaść całe to ciepło tak pięknie zaszyte w tobołek?

— A jest dokładny adres? i adres nadawcy? proszę nam to zostawić, może jakoś znajdziemy sposób.

Zostawili uradowani, a nazajutrz przynieśli jeszcze list z prośbą, by go do paczki dołączyć. Listy trzeba było wówczas przeglądać, i tem się tłumaczy, że zapoznaliśmy się z jego treścią; a była następująca:

„Najukochańszy synu!

Donoszę ci, że jesteśmy zdrowi, czego i Tobie życzymy, i chcę cię zawiadomić, że po tylu latach udało mi się znaleźć człowieka, a raczej jedną panią, która podjęła się wysłać ową przesyłkę; to coś nadzwyczajnego, że jeszcze są ludzie, którzy odczuwają cierpienia rodziców i ciebie jako niewolnika, tego nie zapomnę, żem znalazł człowieka, który odczuwa boleść bliźniego".

W pisemku, które wydawaliśmy w tych latach dla jednolitego informowania pracowników etatowych i ochotniczych a także i powstających w innych miastach analogicznych biur informacyjnych Czerwonego Krzyża o naszych „postępach w technice pracy", ale przedewszystkiem dla utrzymania tego „ducha ochotniczego" — to pisemko to był świstek odbijany na maszynie w czterech coś czy sześciu egzemplarzach — znajduję taki wyraz tych naszych dążeń ówczesnych: w artykule na temat częstego po biurach frazesu „czy to do nas należy"?

„Pewne ramy, regulaminy i schematy potrzebne są w każdej pracy, ale powinny uwydatniać, nie zakrywać linję przewodnią i cel, ten żywy nerw akcji. Ściśle formalne stanowisko grozi każdej pracy zastojem i martwotą. Chcąc być żywym organem pomocy, powinniśmy mieć ciągłe poczucie celu, dbać o ciągły i nietylko zewnętrzny kontakt z tą falą życia, która przepływa przez nasze biuro. Na każdą rzeczywistą potrzebę w miarę możności odpowiadać dobrą wolą. Nie bać się nowości wykraczających poza ustalone schematy organizacji. Każdy schemat jest dobry, póki od-

powiada istotnej potrzebie — z chwilą gdy go życie przerasta, — jest śmieciem nieużytecznym i zawalidrogą".

Pamiętam chwile z tak zwanych „popołudniowych dyżurów", kiedy to przyjmowaliśmy klijentów, chwile, które były codziennie jak gdyby małemi egzaminami, czy nasz materjał ma rzeczywistą wartość? czy my sami—jako żołnierze na służbie, jesteśmy na poziomie tego, czego życie wymaga?

Kiedyś np. stała w kąciku, trzymając obiema rękami kobiałkę pełną prowiantów, wiejska kobiecina z twarzą, pooraną zmarszczkami, osmaloną od wiatru i słońca. Wodziła za mną błękitnemi bezradnemi oczyma, kiedy chodziłam od katalogu do katalogu — bo już dawno zarzuciliśmy spisywanie list w księgach; mieliśmy całkiem „współczesne" kartkowe katalogi w szafkach, których ciągle nam przybywało. Ale Władysława Kardy, o którego pyta babina, jak na złość niema w naszych kartkach!

— Cóż to takiego może być na Chmielnej 53. Przecież tam niema żadnego szpitala — pytam zakłopotaną.

— Jest napewno, proszę pani, bo do mnie przyszedł jeden, także z pod 53 Nru na Chmielnej i powiedział, że on tam jest, niby mój syn, Władysław Karda. To ja zaraz pojechałam. A jego tego samego dnia raniutko właśnie stamtąd wywieźli. Powiedzieli, że do Ujazdowskiego. Chodziłam, chodziłam, wkońcu trafiłam, ale jego niema w Ujazdowskim. Co oni z nim zrobili?

— A jak się nazywa ten szpital Chmielna 53?

— A ja wiem jak się nazywa? Szpital, to i szpital.

Cóż to za szpital, o którym władze nie wiedzą, — myślę.

Chyba „niewykonalny wywiad" — musi staruszka wędrować swoją drogą! Ale właśnie — dokąd wędrować?

A tu jak na złość biuro pełne interesantów, stosy papierów niezałatwionych — zegarek też mówi swoje...

— To już niema dla mnie rady nijakiej?

Ugodziły mnie znowu z pod obciśniętej czerwonej chustki bezradne, błękitne oczy. Chwytam za telefon.

— Biuro numerów. Proszę o szpital Chmielna 53.

— Szpital? tam niema szpitala — składnica sanitarna tam jest od tygodnia.

Aha! mam cię, Władysławie Karda!

Łączą. Wykładam o co idzie ordynansowi. Potem komendantowi. Ten marszczy się przez telefon, ale przypomniał sobie zaraz: „tak, Karda Władysław, wczoraj rano odesłany do szpitala epidemicznego — tyfus".

— To matka nie może go widzieć?

— Czemu nie? tyfus brzuszny, trzeci tydzień, rekonwalescent, gorączka już spadła.

— Adres szpitala epidemicznego?

Komendant nie wie.

Łączę na chybił trafił „szpital epidemiczy". Pytam:

— Jaki adres?

— Grochowska 77. A o co chodzi?

Klaruję. Na to słyszę:

— Tu się chorych nie odwiedza.

Opowiadam, co wiem od komendanta składnicy sanitarnej.

— To niech Pani zaczeka, zaraz się dowiem.

Mój interlokutor ma głos i akcent prostaka, ale wrodzoną uprzejmość dobrych ludzi. Wraca po chwili:

— Proszę Pani, dobrze się czuje. Wczoraj przyjechał: Karda Władysław. Może go matka odwiedzić. Dobrze się czuje, niech jej Pani powie.

Tłumaczę wszystko staruszce. Patrzą na mnie rozjaśnione jej zblakłe błękitne oczy. Piszę jej adres na kartce, polecam wsiąść do osiemnastki. Ogarnęła się chustką, wesoło zachlubotało mleko w butelce — poszła.

W ten sposób trafiła jednak matka do Władysława Kardy.

Ale nietylko „biuro przyjęć" — również i korespondencja miała swoje rysy ciekawe, swoje śmiechy i uśmiechy — no, i łzy czasem.

Przy którejś np. odpowiedzi wojskowego dopisane drobniutkiem pismem pod oficjalnym meldunkiem, że „żyje i zdrów", czytamy słowa: „przy sposobności przesyłamy serdeczne pozdrowienia naszym opiekunkom — szóstacy".

A ppor. K. przesyła osobiście wyczerpującą odpowiedź, poczem dodaje: „Chciałbym wiedzieć, kto o mnie, zapomnianego zupełnie, pyta, jaki jest adres pytającego".

Naszem zmartwieniem były listy zawierające tak skąpe informacje i adresy, że nie można było nic z niemi począć. Stygł np. w zimnych naszych kartotekach nigdy niedoręczony z powodu braku adresu i przydziału, taki oto list:

„Najdroższy mój mężu Antosiu, oto ja żona twoja Paulinka z naszemi dziatkami kłaniam się do ciebie najniższym ukłonem, życząc ci wszystkiego dobrego. My żywi i zdrowi jesteśmy, tylko matka twoja bardzo słaba pragnie ciebie widzieć jeszcze. A teraz zasyłam błagalną prośbę do starostwa, pod którą władzą znajduje się mój mąż Antoni Borkowski, proszę bardzo pokornie o zwolnienie na urlop mego męża a matka prosi o swego syna, gdyż matka jest bardzo słaba, więc prosimy pokornie wielmożnych starostwa nie odrzucić błagalną prośbę i zwolnić A. B. na urlop, na ile będzie łaska i możność.

Pozostaje niska sługa i żona A. B.

(dotąd dobre, ale całe clou i cały dramat był w takim dopisku):

a w jakim pułku jest mój mąż to ja nie wiem to piszę do Czerwonego Krzyża i czekam niecierpliwie łaskawego uwzględnienia".

Niestety Czerwony Krzyż nic mógł nic „uwzględnić" — wykazu szeregowców nasza armja nie miała, i miećby nie mogła w tych gorących chwilach „improwizacji".

Taki znowu list czekał u nas długie miesiące, zdaje się, że nigdy nie doszedł rąk „Simeńka":

„Kochane nasze dziecko Sima list twuj my otszymali za kturen barzo dzienkujem że spomnił na naszą starość. Tszy liata jak my od was już nie mieli żadnej wiadomości i myśleli, że jusz was niema na świecie.

Kochany nasz Simeńka, my by chcieli barzo widzieć ciebie choć przed śmiercio my jusz barzo stare liudi do tego dużo czego cierpieli f tych trudnych czasach co jeden pan buk wi naniebie jak my żyli i jak teraz żyjem. Niema komu zarobić...

Drogi synu, twoja stara matka oczy wypłakała po was, chciałaby widzieć choć przez okno swego syna chturego niewidziała 10 liat, także samo i ojciec stareńki chtury tszensiesie na kiku chce widzieć choć pszed śmiercio...."

Ale czasem jednak odrazu wybawiały nas z kłopotu nasze poczciwe kartki rejestracyjne, coraz aktualniejsze, coraz bardziej wyczerpujące. Pyta np. taka pani Michalina Karp, co się dzieje z jej mężem Aleksandrem Karp, czy czasem nie chory lub nie ranny, „to proszę grzecznie i serdecznie o zawiadomienie do Przeradowa do Michaliny Karp".

Katolog mówi: „6 wrz. przybył do Szpitala załogi we Włocławku". Zaraz wędruje pytanie do Włocławka, krótka tymczasowa wiadomość do pani Michaliny Karp.

Nietylko o żołnierzy zapytywano w naszem Biurze, czasem rozwinął się cały wielki dział wywiadów o osoby cywilne: w Ameryce, w Rosji — i w innych krajach. Były i tam sprawy niewykonalne — to znowu nieoczekiwane radosne niespodzianki, były i tam swoje łzy i uśmiechy — ale gdzie to wszystko powiadać — na wołowej skórze nie spisałby nawet, a tu tylko zwyczajna kartka papieru pod ręką!

Ale później, gdy już sława naszego biura ustaliła się trochę, zdawało się, że ludzie przeceniali naszą możność; — nikt chyba więcej, niż ta skromna kobiecina, co kiedyś wszedłszy do biura pierwszą z brzega urzędniczkę zagabnęła cichym głosem:

— Proszę panienki, jeden wojskowy mi powiedział, że tu jest takie biuro, gdzie się zapisuje polskie krzywdy, więc ja przyszłam, żeby panienki zapisały moją krzywdę. Bolszewicy zamordowali w Petersburgu mego syna. On był bardzo ważny dla wojska polskiego... Dlatego ja chcę koniecznie, żeby moja krzywda była tu zapisana, żeby rząd polski wiedział, jak oni go zamordowali.

— Ale teraz trudno się tam czegoś dowiedzieć nie mamy komunikacji z Rosją — odpowiada urzędniczka, jakaś onieśmielona.

— Ja wcale się nie chcę niczego dowiadywać, chcę tylko, żeby moja krzywda była u panienek zapisana; kiedy rząd polski będzie zbierał polskie krzywdy, żeby i moja była umieszczona... Bolszewicy zabili go strasznie. Najgorszy był sędzia trybunału Surowcew. Zabrałam go napół żywego i zmarł zaraz w drodze, a ja wiozłam ciało aż do domu, żeby go pochować w swojej ziemi. To proszę panienki, niech panienki zapiszą między polskie krzywdy.

Mam jeszcze dwóch synów w wojsku polskiem, jeden wstąpił do wojska w Jekaterynosławiu, potem przez Murman przeszedł do Hallera i z Hallerem przyjechał do Polski. Teraz powiedział mi jeden człowiek, że on umarł w szpitalu w Wilnie, ale ja temu nie wierzę. To był niedobry człowiek, źle mu patrzało z oczu, tak chciał powiedzieć, żeby się matce serce ścisnęło.

Trzeci służy w ułanach i bardzo kaszle, ja myślę, że on ma suchoty.

Niech panienka nie myśli, ja wiem że to trzeba dla Polski, ale matce to czasem strasznie ciężko.

I nam nie było lekko. Ale bywały i takie rozmowy, po których dziwnie lekko robiło się na sercu.

Oto naprzykład wchodzi czerstwa, pyzata, rumiana kobiecina, poznaję, że była przed paru tygodniami.

— O kogo to Pani pyta? bo zapomniałam nazwiska.

— Pietreszko mój syn — odpowiedziała, w szerokim uśmiechu pokazuje białe zęby. Żegluje ode drzwi ku memu stolikowi, kołysząc zamaszyście nafałdowaną spódnicą.

— Piotruszko?

— Pietreszko: Piotr, po naszemu Piotrek, a do tego Reszko.

— Aha! Reszke Piotr. Przecież miała Pani niedawno odpowiedź, że cały i zdrów.

— To ja wiem, ale chciałabym się dowiedzieć, jak z nim teraz. Możeby tak na urlop przyjechał?

— A jak dawno był w domu?

— Ady już od roku na froncie.

— To mu się urlop prawnie należy. Zapytamy w tej sprawie Dowództwa.

Ale ona ciągle jeszcze stała, z uśmiechem na rozjaśnionej twarzy, i nie zabierała się jakoś do odejścia.

— Jak ja was wszystkie panienki kocham, takie nasze kochane polskie panienki! bo to nasza Polska lepiej teraz stoi, takiego biura za Niemca nie było, a teraz to się można o żołnierza dopytać.

Uśmiechała się ciągle, choć łzy jak grad spływały po jej czerstwej, szerokiej twarzy.

— Miałam ja synów w wojsku rosyjskiem, miałam w niewoli niemieckiej...

— To się pewnie Pani trudno było dowiedzieć?

— Nijak nie mogłam, proszę panienki, nijak nie mogłam się dowiedzieć, chociaż chodziłam po różnych biurach. A teraz mamy polskie biuro — więc dziękuję panienkom bardzo.

I cofając się w dygach, rogiem chustki obwiązanej na głowie ocierała łzy, nie przestając się uśmiechać.

— Ja nawet panienkom nie umiem powiedzieć, jak dziękuję, ale z całego serca dziękuję.

W takich chwilach czuliśmy, że kraj przyjął nasze gorące chęci służby, że dzięki tej pracy, którą los dał nam w ręce, czemś realnem, dobrem, opiekuńczem i łaskawem staje się ludziom — Ojczyzna.

Pionierzy jutra.

„Zaprawiajcie przez czyny młodzież do obowiązków, budźcie współczucie dla niedoli ludzkiej — a stworzycie pokolenie, które doprowadzi kiedyś narody do nierozerwalnego sojuszu".

Pod powyższym tytułem umieszczono kiedyś artykuł w „Bluszczu" o Młodzieży Czerwonokrzyskiej.

Artykuł zwięzły, rzeczowy, nie przykuł mojej uwa gi na dłużej, natomiast tytuł tak bardzo wydał mi się prawdziwy, tak doskonale określający pogląd nasz na organizację Młodzieży Czerwonego Krzyża, że postanowiłam nad swojemi uwagami umieścić go i cokolwiek rozwinąć.

Młodzież Czerwonokrzyska — to przedewszystkiem pionierzy jutra Czerwonego Krzyża, to ci, którzy już całkowicie przygotowani do pracy społecznej — będą w szeregach „dorosłego" Czerwonego Krzyża nie pionkami płacącemi jedynie składki, lecz tymi, którzy szeregi powiększą, którzy własną pracą, umiłowaniem ideologji gmach Czerwonego Krzyża podniosą do największego poziomu.

Młodzież Czerwonego Krzyża to wreszcie pionierzy jutra ludzkości całej.

Powie niejeden, że to zbyt śmiałe twierdzenie, ale czyż każda nowa idea wprowadzana w życie nie nazywa się „śmiałą"? Czyż każdy człowiek wprowadzający ją w życie — nie jest człowiekiem odważnym?

Młodzież Czerwonego Krzyża musi być śmiałą, odważną, pełną zapału i sił.

I dzisiaj, w dużym procencie, młodzież ta po kilkoletniej pracy nad sobą, stanęła na wysokości zadania.



Afisz propagandowy Ligi Czerwonych Krzyży w Paryżu.

Napotykając na niezmierne trudności w normalnem rozwijaniu się — swoją ideę pokoju i współzrozumienia, swoje zadania pełnienia obowiązków obywatelskich wciela w skromne czyny,



Zakład fryzjerski Koła Młodzieży P. C. K. w Koniecpolu.

wolno przeorywując bruzdę po bruździe starych przekonań.

Młodzież Czerwonokrzyska — to nie masonerja, ani nic nie mająca wspólnego z pożyteczną zresztą Y. M. C. A., jak wielu ludzi nieuświadomionych podejrzewa.

Organizacja Młodzieży Czerwonego Krzyża — to czysty wykwit serca. Tak naturalne i proste bez żadnych tajemnic posiadająca założenia, że dziecko małe, które niemi zainteresujemy, pozna je do głębi i to w bardzo krótkim czasie.

Zadania Kół Mł. P. C. K. stanowią doskonałą metodę wychowawczą. Nie koncentrują wyobraźni dziecka na jednym punkcie zdobycia naprzykład munduru, czy jakiejś na nim naszywki.

Młodzież Czerwonego Krzyża w zakresie swych prac nie posiada krępujących ją ram, może działalność swoją rozwijać, zmniejszać, zależnie od potrzeb i warunków miejscowych.

Charakterystyczną cechą prac w Kołach Mł. C. K. — to jest ta nadzwyczajna łączność z życiem, ze zwykłem życiem codziennem.

Jest to wielki plus — jeżeli chodzi o wychowanie młodzieży.

Wielki minus, jeżeli chodzi o szybki wzrost ilości członków tej organizacji.

Bo łączenie zadań z życiem codziennem jest niezawsze ciekawe, nie porywa kolorowością wrażeń — jest najczęściej szare — a nierzadko nudne.

Wartościowe jednak bardziej, niż noszenie naszywki bez wewnętrznej treści u przyszłego człowieka.

Łatwiej jest sobie wyrobić teoretyczny pogląd na świat, niż do głębi poznać i pokochać to życie jasne, radosne, ciekawe i współczuć temu ponuremu, szaremu i przygnębiającemu.

Życie w Kole Mł. C. K. pomimo wszystko jest ciekawe, nie pozbawione interesujących momentów, zdolnych zainteresować i zapalić młodzież.

Przyjrzyjmy się poszczególnym działom pracy, a może łatwiej zdamy sobie sprawę z tego, czem jest w wychowaniu ogólnem metoda Kół Mł. C. K.

Dział samopomocy i pracy społecznej — oto istota zadań Kół Mł. C. K., samopomoc w jak najszerszym zakresie we własnem środowisku, pomoc biednym i nieszczęśliwym.

Dział higjeny i sportu — drugi z rzędu najważniejszy dział pracy — krzewienie higjeny i czystości, zamiłowania do sportów wśród kolegów, koleżanek i najbliższego otoczenia. Szkoła, w której istnieje Koło Mł. C. K. ma niesłychanie



„Pierwsza pomoc" — okładka wydawnictwa
Hiszpańskich Kół M. C. K.

już ułatwione zadanie fizycznego wychowania młodzieży.

Dział korespondencji międzyszkolnej kształci młodzież, zapoznając ją z obcemi krajami (ułatwia lekcje geografji), uczy miłości bliźniego, łącząc w przyjaźni z daleko zamieszkałymi rówieśnikami.

Dział rękodzielniczy wyrabia samodzielność (warsztaty, szycie), przyczynia się do powiększenia funduszów Koła.

Dział artystyczny obok rozrywki, kształci młodzież w poczuciu piękna (dekoracje, przedstawienia). Daje również dochody.

Wreszcie inne, nowopowstałe działy jak: sekcja punktualności: sekcja dobrych mateczek, sekcja przyjaciół „Czynu Młodzieży" (pismo Kół Warsz. C. K.) sekcja przyrodnicza — mówią same za siebie.

Koła Mł. C. K. powstały w r. 1921, w roku 1922 zalegalizowane na Zjeździe C. K. w Genewie.



Grupa „Górali i Krakowiaków" z Jasełek Polskich, odegranych w szkole im. M. Magdaleny we Lwowie.

W Polsce liczymy obecnie 500 Kół i około 100 tysięcy młodzieży. Stoimy pod względem rozwoju w porównaniu z innemi krajami, mniejwięcej na 12 miejscu. Jeżeli zważymy, że w 57 państwach istnieje organizacja Kół Mł. C. K., miejsce zajmowane przez nas wyda o naszej działalności opinję dodatnią.

Szereg wydawnictw zagranicznych i polskich zaznajomić nas może z działalnością Kół Mł. C. K., historją powstania i rozwojem.

Ten pobieżny rzut oka na ideologję, znaczenie i coraz potężniejszy rozwój Kół Mł. P. C. K. świadczy wymownie o tem, jak wielkie możliwości rozwojowe kryje w sobie prosta i piękna myśl stworzenia organizacji rozwijającej wrodzone każdemu dziecku uczucia miłości i braterstwa i jak potężną dźwignią nowego jutra stać się muszą wielkie armje młodzieży wyruszające na podbój świata pod hasłem miłości bliźniego i powszechnego pokoju. **B. N.**



Młodzież czerwonokrzyska w Orzewie opiekuje się młodszą dziatwą.



Referat oświatowy P. C. K. w szpitalach w Warszawie.
I-y Okręgowy Szpital Wojskowy. Czytelnia.

Oświata P. C. K. w szpitalach wojskowych

Każdy zbiorowy czyn społeczny ma swe źródło w inicjatywie jednostek, odczuwających jego potrzebę. Nieraz chwila decyduje o jego spełnieniu, a wartość i pożytek mierzy się trwałością jego lub zamiłowaniem.

Tak było z akcją oświatową, wszczętą podczas wojny dla chorych i rannych żołnierzy w szpitalach, a prowadzoną dotychczas przez Czerwony Krzyż.

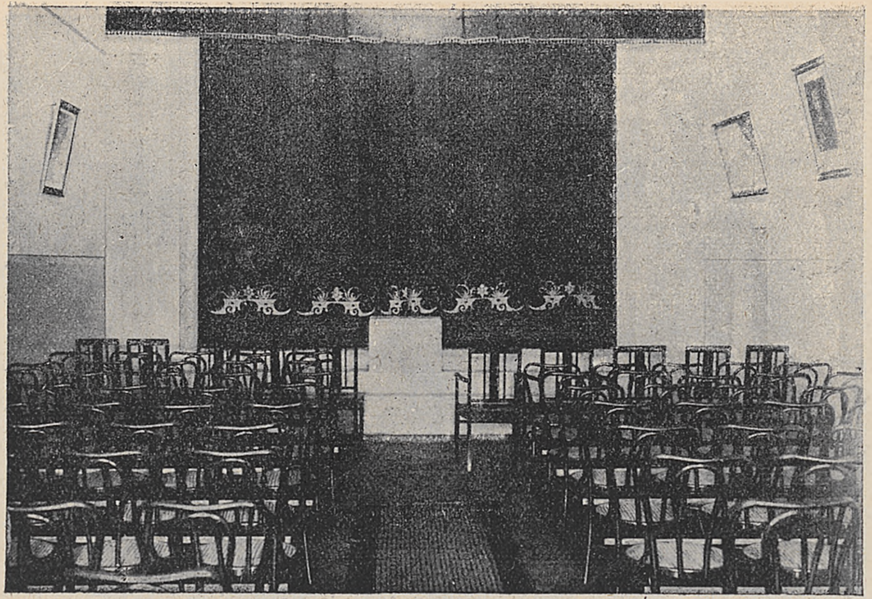
W 1919 r. do szpitala Czerwonego Krzyża przy ul. Smolnej w Warszawie przybywały liczne rzesze rannych, a wśród nich — Orlęta lwowskie. Zgnębieni, obdarci i wynędzniali obrońcy Lwowa budzili powszechne współczucie. Otoczenie ich troskliwą i serdeczną opieką było nieodpartym nakazem polskiego sumienia.

Dzięki inicjatywie paru dzielnych i pełnych poświęcenia kobiet polskich, które jako sanitarjuszki stanęły do ochotniczej pracy w szpitalu, utworzono Koło Pomocy dla Żołnierza. Przedewszystkiem zorganizowano dożywianie i dostarczono rannym odzieży. W następstwie pomyślano o ich potrzebach duchowych. Większość z pośród nich — byli to analfabeci lub półanalfabeci. Skazani byli na długie leczenie a wraz z tem na absolutną bezczynność — co stwarzało doskonałe warunki dla dostarczenia im rozrywki umysłowej. Zadanie to podjęła utworzona w łonie koła pomocy sekcja oświatowa. Zawodowe nauczycielki podjęły się uczyć rannych czytania i pisania i tak świetny był rezultat ich pracy, że w ciągu roku 741 żołnierzy umiało czytać i pisać. Fundusze narazie czerpano z ofiar prywatnych, uzyskiwanych przez Koło pomocy; Z biegiem czasu akcją oświatową zainteresował się Wojskowy Referat Oświatowy i w miarę możności wspierał ją finansowo.

Oto źródło, z którego powstała idea niesienia oświaty przez Polski Czerwony Krzyż żołnierzowi przebywającemu nieraz długie miesiące w szpitalu.

W 1920 r. akcję oświatową przejął Zarząd Warsz. Oddziału P. C. K. i wprowadził ją do wszystkich wojskowych szpitali stołecznych: w Ujazdowskim, Mokotowskim, przy ul. Pokornej i Zakroczymskiej.

Nauczanie zostało powierzone siostrom oświatowym, wybranym wśród fachowych nauczycielek. Zwierzchnie kierownictwo nad niemi z ramienia Wojskowego Referatu Oświatowego objął oficer referent oświatowy. Po skasowaniu przez władze wojskowe tego etatu, Zarząd Warsz. Oddziału wyznaczył starszą siostrę, która dotychczas ma pieczę nad oświatą w 3-ch istniejących obecnie wojskowych szpitalach.



Sala teatralna i koncertowa w I-ym Okręgowym Szpitalu Wojskowym w Warszawie.

W obecnej chwili 8 sióstr oświatowych prowadzi nauczanie żołnierzy. Wszystkie koszty z tej akcji wynikające, ponosi z własnych funduszów Warsz. Oddział P. C. K., przy którym powstał jako odrębna sekcja Komitet opieki nad oświatą w szpitalach wojskowych pod przewodnictwem członka Zarządu.

Nauka podzielona jest na 3 kursy: dla analfabetów, półanalfabetów z elementarnemi wykładami historji i geografji polskiej, arytmetyki i t. p., zaś kurs 3-ci obejmuje poważniejszy zakres nauki.

Pozatem prowadzona jest niemniej ważna praca wychowawczo-kulturalna przez wygłaszanie pogadanek, odczytów, organizowanie koncertów, przedstawień teatralnych i kinowych ze specjalnie dobranym programem. Niosąc miłą rozrywkę budzą one w duszach żołnierzy zamiłowanie do szlachetnej zabawy i podnoszą ich poziom duchowy.

Przeciętna frekwencja żołnierzy na lekcjach wynosi miesięcznie 518; akcja oświatowa obejmuje miesięcznie ok. 1833 żołnierzy i sanitarjuszy. Pogadanek i odczytów wygłasza się miesięcznie ok. 64 przy obecności 400—600 osób. Pozatem organizowane są uroczyste obchody rocznic narodowych. W szpitalach wojskowych istnieją bibljoteki w ogólnej ilości 12679 tomów wyborowych książek, które cieszą się ogromnem powodzeniem. Ruch w czytelnictwie jest imponujący: w miesiącu kwietniu b. roku wydano z bibljotek 4624 książek, przy ilości 861 czytelników.

A teraz parę słów o tem, jak reaguje na tę pracę oświatową żołnierz przebywający w szpitalach czy to jako uzdrowieniec po przebytej chorobie czy też jako pełniący obowiązki w t. zw. „Kompanji obsługi".

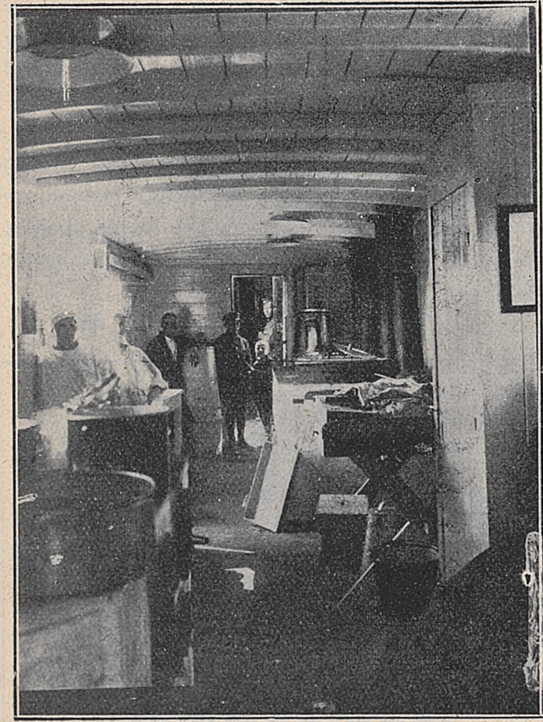
Żołnierze przychodzą do szpitala z różnych pułków; jest to prawie zawsze materjał zupełnie surowy i ciemny, bez poczucia swej narodowości ani uświadomienia państwowego.

Przez kilka pierwszych dni przychodzą oni na lekcję jedynie dlatego, że taki mieli rozkaz. Patrzą z niechęcią na siostrę oświatową. Wkrótce budzi się zainteresowanie, zwłaszcza, gdy żołnierz nauczy się liter, czy paru działań arytmetycznych, zaczyna rozumieć korzyść, jaką z nauki odnosi. Na pogadanki przychodzić zaczyna coraz ochotniej, słucha ich z uwagą i korzysta coraz więcej. Wreszcie, gdy już nauczy się czytać i pisać pojedyńcze słowa — budzi się w nim prawdziwy zapał do nauki i wdzięczność dla sióstr oświatowych.

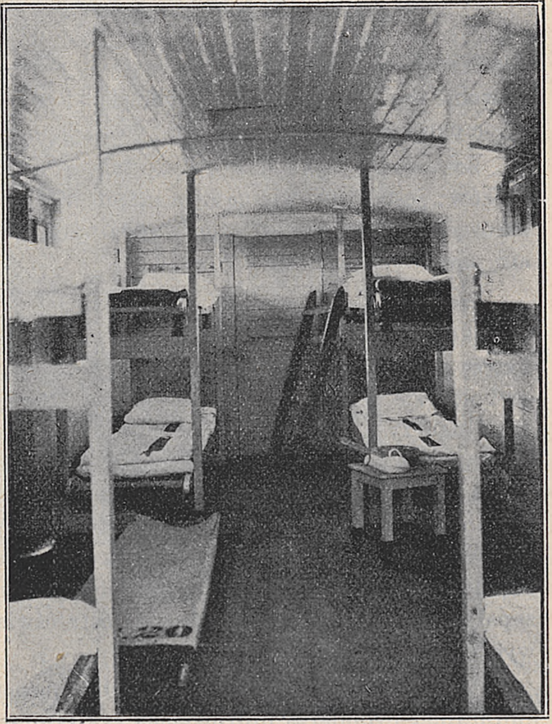
Porównać nie można stanu umysłu i poziomu kulturalnego żołnierza ozdrowieńca czy sanitarjusza w chwili gdy rozpoczął naukę z jego nastrojem, gdy opuszcza szpital. Nawet żołnierze mniejszości narodowej wychodząc ze szpitala po ukończeniu nauki nietylko umieją czytać i pisać, stają się oni zarazem uświadomionymi i lojalnymi obywatelami państwa i po powrocie do cywilnego życia stają się żywymi propagatorami polskiej kultury.

Tak więc Polski Czerwony Krzyż pielęgnując zdrowie żołnierza niesie mu zarazem w ofierze skarby oświaty, zasiewa w jego duszy szlachetne ziarna kultury i tym sposobem pełni czyn społeczny o wysokiej doniosłości państwowej i narodowej.

Arc.



Kuchnia.



Przedział szpitalny.

Pociąg sanitarny im. Pracowników Warszawskiej Dyrekcji P. K. P.

W roku 1920, kiedy nawała bolszewicka zagrażała stolicy i całemu państwu polskiemu, Pracownicy Warsz. Dyrekcji P. K. P. w zrozumieniu obywatelskiego obowiązku niesienia pomocy walczącej armji w obronie mienia obywateli i całości granic Rzeczypospolitej, stworzyli komitet organizacyjno-gospodarczy Pociągu Sanitarnego im. Pracowników Warsz. Dyrekcji P. K. P. Prezydjum Komitetu zwróciło się do Zarządu Głównego P. C. K. z prośbą o uznanie Komitetu Oddziałem Polskiego Czerwonego Krzyża z terenem działalności w obrębie szlaków Warszawskiej Dyrekcji P. K. P. Zarząd Główny P. C. K. prośbę przyjął, a więc Komitet Pociągu Sanitarnego, począł działać, jako Zarząd Oddziału P. C. K. Warsz. Dyr. P. K. P. W skład Komitetu, względnie Zarządu Oddziału P. C. K. wchodzili: Prezes honorowy — inż. W. Jakubowski, Prezes Komitetu i Oddziału P. C. K. — Stefan Lesiewicz, zastępca prezesa — J. Glass, sekretarz — dr. J. Szukiewicz, członkowie — inż. M. Czarkowski, W. Gąssowski, Izdebski, J. Celiński, H. Falęcki, W. Skrzypkowski. Fr. Koliński, Wilamowski.



Widok ogólny pociągu.

Zarząd Oddziału P. C. K. Warsz. Dyr. P. K. P. energicznie przystąpił do akcji wśród pracowników kolejowych.

I oto w bardzo krótkim czasie powstaje pociąg sanitarny, złożony z 40 wagonów, na 240 łóżek,

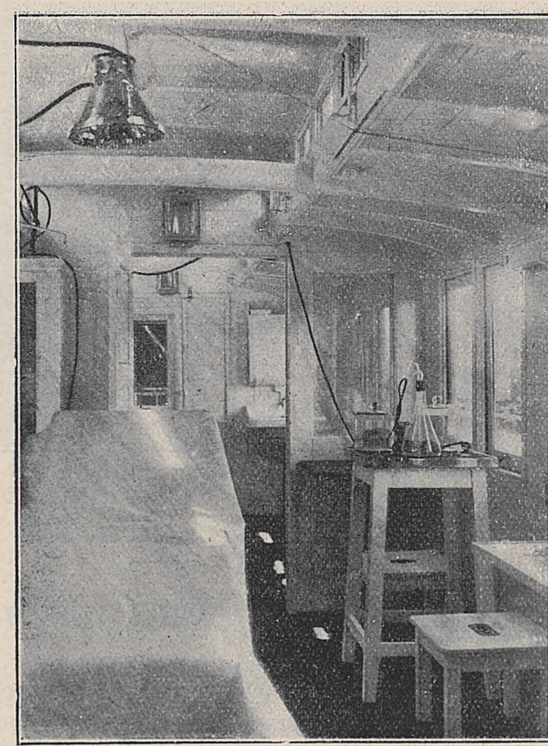
z całkowitym ekwipunkiem i zaprowiantowaniem oraz całkowitem urządzeniem szpitalnem.

Pociąg ten ufundowany został jedynie ze składek pracowników Warsz. Dyr. P. K. P., zaś Komitet tej fundacji zobowiązał się pociąg nawet już po oddaniu go władzom wojskowym prowiantować i całkowicie utrzymywać.

Koszt pociągu wynosił: 1.636.817,71 mk. nadto zaopatrzenie sanitarne 272.760 mk., kiedy zaś pociąg wyruszał na front, otrzymywał od komitetu żywność oraz 10.000 mk. do dyspozycji komendanta pociągu.

Pociąg przekazany władzom wojskowym, nosił Nr. 20, i nie jedne oddał usługi w chwilach najgorętszych i najkrwawszych dla kraju. Gotowy był bowiem już przed sierpniem 1920 roku.

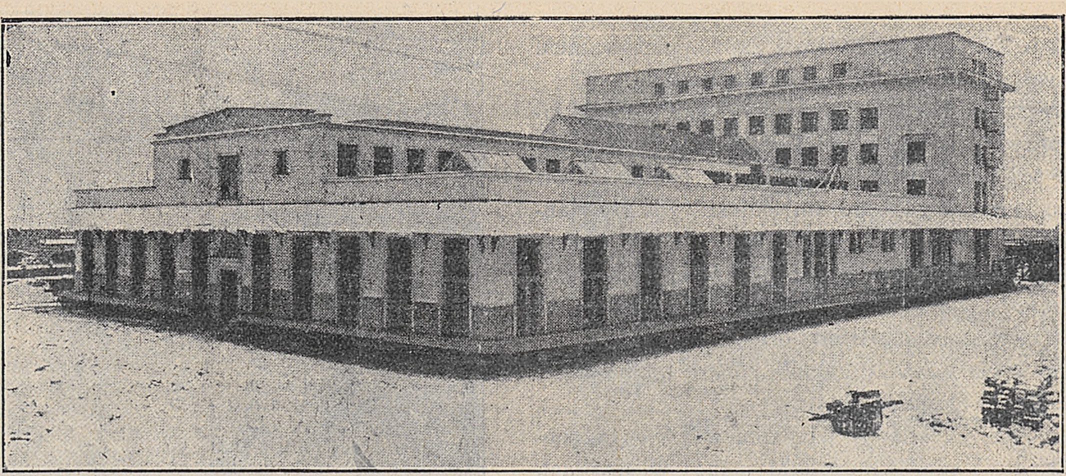
Po zakończeniu zmagań wojennych w 1921 r. pociąg został zdemobilizowany. Wagony przejęła Warsz. Dyr. P. K. P. , część inwentarza przekazano Polsk. Czerw. Krzyżowi, zaś inwentarz szpitalny oraz pozostała gotówka pozwoliły Pracownikom Warsz. Dyr. P. K. P. stworzyć fundację kolonij letnich dla pracowników kolejowych i ich dzieci w Aleksandrowie Kujawskim, które już dziś posiadają okazałe trzy domy, zaś frekwencja w czasie lata bywa około 500 osób.



Przedział chirurgiczny.

Należy z całem uznaniem podnieść piękny czyn pracowników kolejowych, którzy nie mogąc zbrojnem ramieniem pomóc Ojczyźnie, pełniąc już ważną służbę kolejową, w ten sposób wyrazili swą ofiarność i wysokie poczucie obywatelskie w chwilach tak groźnych i ciężkich w dziejach naszej Odrodzonej Rzeczypospolitej.

f. k.

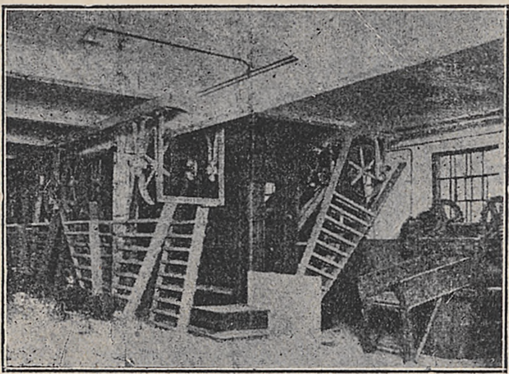


Widok ogólny piekarni miejskiej.

Miejska piekarnia mechaniczna.

Z karygodną wprost obojętnością odnosiła się dotychczas Warszawa do sprawy chleba, jaki spożywała, choć w codziennych wspominała ją modlitwach, jakby w poczuciu swej winy w następnem zdaniu błagając o jej odpuszczenie.

Faktem jest bowiem, że żaden chyba z wielkich, niezbędnych do codziennego życia przemysłów nie trwał tak długo i w tak uporczywem zaniedbaniu, jak właśnie przemysł piekarski. Nawet podawane raz wraz przez dzienniki wiadomości o bochenkach chleba z zapieczonemi w nich myszami i karaluchami nie zdołały poruszyć opinji publicznej. Nie poruszyły jej też sprawozdania z dokonywanych przez policję i władze samorządowe nocnych rewizyj w piekarniach, wykazujące nieprawdopodobny brud i niechlujstwo, panujące w tych zakładach.



Męszarki do mąki.

W takich warunkach mowy być nie mogło o przeprowadzeniu radykalnej poprawy przemysłu piekarskiego drogą wzmożonego nadzoru czy jakichkolwiek represyj i konieczność stworzenia wielkiej, wyposażonej we wszystkie nowoczesne urządzenia piekarni narzucała się samorzutnie, jako jedyny sposób podniesienia przemysłu piekarskiego przez danie wysokiego wzoru dla przedsiębiorstw prywatnych.

Na posiedzeniu, odbytem w dniu 18 października 1923 r. Rada Miejska uchwaliła też projekt budowy piekarni, a Magistrat powołał specjalny komitet, który miał czuwać nad realizowaniem projektu.

Obecnie piekarnia jest całkowicie gotowa i już rozpoczęliśmy rozwożenie taniego i zdrowego chleba do instytucyj społecznych, sklepów zaopatrywania i prywatnych.

Wypiek chleba dziennie wynosi 1000 kg. i z każdym dniem się powiększa.

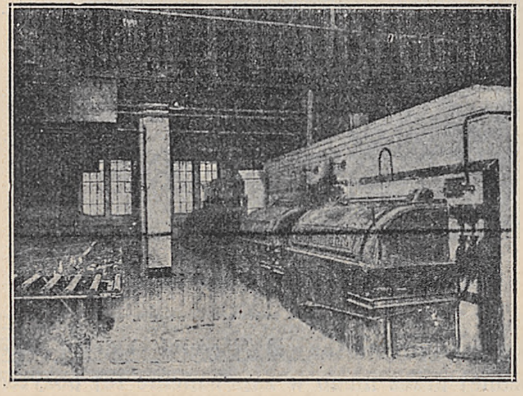
Piekarnia ta będzie pierwszym w Polsce warsztatem, który zastosował wszystkie najnowsze zdobycze wiedzy i techniki w przemyśle piekarskim, a mechanizacja pracy posunięta jest do ostatecznych granic i usuwa niemal zupełnie dotknięcie rąk ludzkich od produktu, spełniając w ten sposób zasadniczy warunek higjeny przy wszelkiej produkcji.

Uruchomienie tego zakładu stanowi punkt zwrotny w przemyśle piekarnianym i oznacza przejście od chałupnictwa do wielkiego przemy-

słu. Tutaj po raz pierwszy spotka się też piekarnictwo polskie z laboratoryjną analizą surowca i naukową organizacją pracy.

Do projektu i budowy zakładu powołany został inżynier M. Paszkowski, długoletni badacz tego przemysłu zagranicą i doświadczony budowniczy. Według jego projektu powstał budynek, składający się z dwóch części: wieży, zawierającej składy mąki, sali do miesienia ciasta oraz sali do obrabiania i formowania ciasta, a wreszcie pieców i ekspedycji pieczywa.

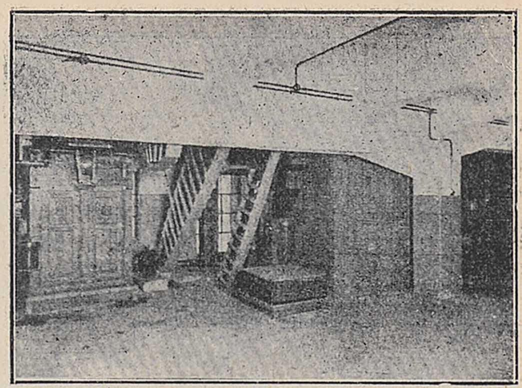
Mąka z worów, ułożonych w składach, dostaje się na mechaniczne sita, przechodzi następnie przez mięszadła mechaniczne, wypełniające ją powietrzem, stamtąd przez wagi automatyczne zsypuje się do mięszadeł, do których z mechanicznie regulowanego zbiornika wlewa się woda, a gdy



Kamery fermentacyjne i wejście do pieców.

mieszadło dostatecznie wymięsza całą masę, dostaje się ona do odpowiednich przyrządów, które wywracają ciasto do lejów, połączonych z maszynami do dzielenia ciasta.

Maszyna dzieląca wyrzuca nieforemne bryły posiadających wymaganą temperaturę i wilgoć. ściśle określonej wagi do maszyn, nadających ciastu kształt bochenka wymaganej formy, które automatycznie wchodzą do kamer fermentacyjnych, Po przebyciu w kamerach fermentacyjnych tak długo, jak tego wymaga należyte wyrośnięcie ciasta, skrzynki same ustawiają się rzędem przed piecem automatycznym, a następnie ciasto zostaje wyrzucone na poruszający się stale trzon, który przenosi je z jednego końca pieca na drugi, a ten czas przebiegu jest wystarczający do upieczenia bochenka. W ten sposób włożone z jednej strony pieca surowe ciasto, wychodzi z drugiej jego strony jako upieczony już bochenek chleba.



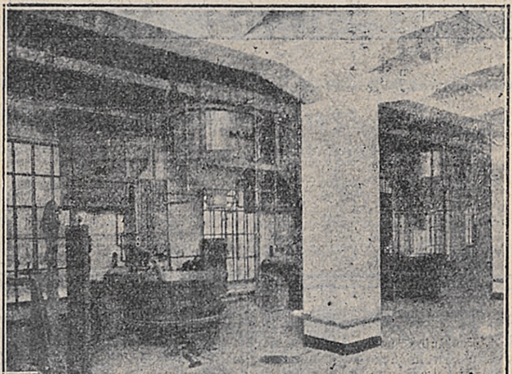
Przesiewacze do mąki.

Również automatycznie odbywać się będzie przenoszenie chleba do ekspedycji i zawijanie go w papier.

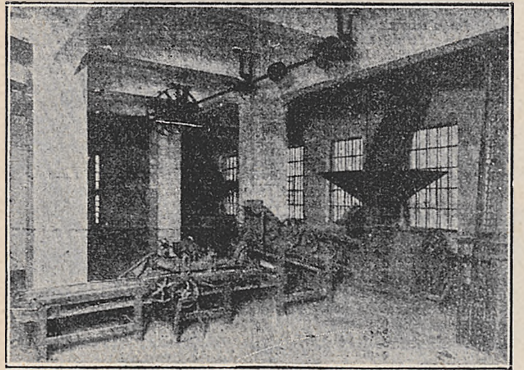
Naturalnie wszystkie te urządzenia mają w pierwszym rzędzie na celu względy higjeniczne i zachowanie jak największej czystości, ale całkowita prawie mechanizacja pracy pozwala również na zastosowanie najdalej idącej ekonomji si łroboczych, tak, iż cała piekarnia przy trzech zmianach zatrudniać będzie przeciętnie ośmiu ludzi w administracji i trzech inkasentów, personel fachowy składać się będzie z 14 osób, personel zaś niefachowy liczyć będzie 103 osoby.

Każdy piekarz przed rozpoczęciem pracy kąpany będzie w znajdujących się na miejscu łazienkach i obowiązkowo będzie musiał zmieniać ubranie na białe.

Piekarnia miejska w pierwszym rzędzie zaopatrywać będzie wszystkie instytucje społeczne, zakłady dobroczynne, wychowawcze oraz szerokie masy ludności mniej zamożnej, a zadaniu temu sprosta ona tem łatwiej, iż dzienna jej produkcja wynosić będzie 88.500 kilogramów.



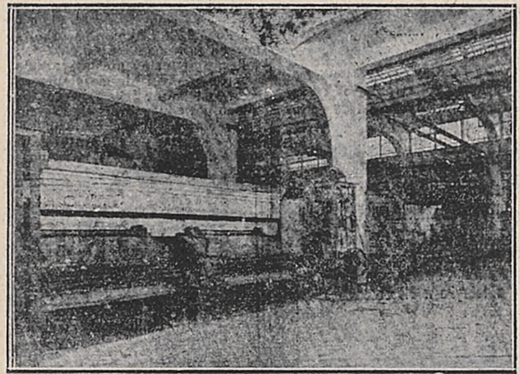
Mięszarki do ciasta.



Maszyny do dzielenia i formowania bochenków.

Aby osiągnąć tak poważną cyfrę wypieku, piekarnia spotrzebowywać będzie około 6 wagonów mąki dziennie. Mąka ta, jak już wspominaliśmy, poddawana będzie badaniom laboratoryjnym i naturalnie tylko najprzedniejsze gatunki używane będą do wypieku. Rodzaje pieczywa przewidziane są trzy: bułeczki, chleb pszenny i chleb żytni.

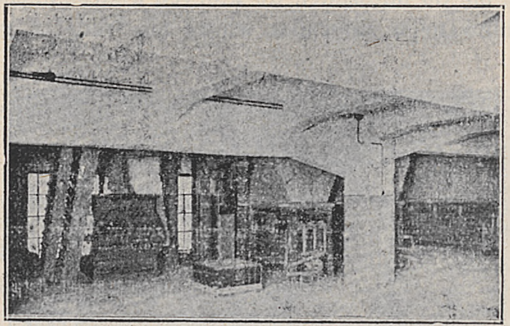
Kalkulowanie cen oparte będzie na zasadzie minimalnych zysków i nietraktowania przedsiębiorstwa jako dochodowego, lecz przeciwnie jako zakładu użyteczności publicznej.



Piece piekarskie firmy E. Lidona w Paryżu, ostatni wyraz techniki.

Powstanie tak niezbędnej, na europejską skalę pomyślanej instytucji, powitać należy z całem uznaniem: sam fakt jej powstania przyczynić się musi do podniesienia poziomu naszego piekarnictwa, podniesie wymagnia publiczności, wzbudzi szczytne współzawodnictwo wśród właścicieli przedsiębiorstw prywatnych, sama zaś piekarnia po jej uruchomieniu zasili rynek w poważne ilości zdrowego i uczciwie kalkulowanego chleba, co niezawodnie dodatnio przyczyni się do racjonalniejszego kształtowania cen pieczywa.

Dzieło architekta, p. inż. M. Paszkowskiego — piękny gmach Miejskiej Piekarni Mechanicznej — jest już skończone i z całą dokładnością



Trzepaczka do worków i mięszarki do mąki.

dziś już ocenić można cały ogrom wiedzy i pracy, włożonej przez niego w zapewnienie tej pożytecznej instytucji wszystkich możliwych udogodnień i urządzeń technicznych, będących ostatnim wyrazem postępu europejskiego w tej dziedzinie. W obecnej chwili ster obejmuje dyrektor Piekarni Miejskiej p. Jan Szczodrowski oraz jej kierownik techniczny p. Muszyński. Od tych dwóch ludzi zależeć będzie sprawna działalność oraz dalszy rozwój instytucji. Dotychczasowa ich praca jednak, ich doświadczenie fachowe i zdolności organizacyjne dają pełną rękojmię, iż pod ich kierownictwem instytucja ziści wszystkie pokładane w niej nadzieje...

Art. op.



Propaganda czystości: uczestnicy przedstawienia urządzonego przez Koło Młodzieży P. C. K. w Starym Myszyńcu na Kurpiach.

Résumé.

La Société de la Croix-Rouge Polonaise est en train de célébrer l'anniversaire des dix premières années de son existence. Constituée le 27 avril 1919, officiellement reconnue par le Comité International de la Croix-Rouge le 14 juillet 1919, et affiliée la même année à la Ligue des Sociétés de la Croix-Rouge, la Croix-Rouge Polonaise se trouva d'emblée aux prises avec une tâche immense et fut admirablement secondée par les Sociétés Soeurs, qui lui facilitèrent l'accomplissement du travail intense que les événements lui imposèrent des les premières heures de son existence. La présente livraison du „Polski Czerwony Krzyż" renferme une série d'articles consacrés aux moments les plus saillants d'une activité qui traversa des phases différentes, mais fut toujours adaptée aux besoins les plus impérieux de la nation polonaise, dont la Croix-Rouge s'était constituée le serviteur zélé et fidèle.

Nous nous sommes efforcés de retracer la continuité du travail de la Croix-Rouge Polonaise dans le courant des dix années révolues. Ce tableau d'ensemble n'est pas aussi complet que nous l'aurions désiré et présente plus d'une lacune, il constituée quand même un témoignage probant de l'oeuvre accomplie et nous servira d'encouragement pour l'avenir.

Sommaire.

Treść.

Redakcja, Warszawa, Smolna 6, tel. 61-71.

Administracja: Warszawa, Mazowiecka 9 m. 7, tel. 302-96. Konto czek. w P. K. O. Nr. 12.762.

Redakcja nie przyjmuje odpowiedzialności za ogłoszenia i zamieszczone artykuły opisowe, płatne.

Dział Reklamowo-Adresowy opracował *Paweł Donschak.*

ARCYKSIĄŻĘCY BROWAR w ŻYWCU



POLECA SWOJE PIWA:

„Zdrój Żywiecki"
„MARCOWE"
„PORTER"
i „ALE".

Jako specjalność poleca Browar piwo „Porter" polecane przez wielu lekarzy jako odżywczy środek dla chorych i rekonwalescentów. Arcyksiążęcy Browar w Żywcu otrzymał bardzo wiele najwyższych odznaczeń tak krajowych jak i zagranicznych za jakość swoich piw.

REPREZENTACJE PRAWIE WE WSZYSTKICH MIASTACH POLSKI.

w Warszawie reprezentacja znajduje się przy ul. Krochmalnej 85, tel. Nr. 405-00,

pod firmą **Michał Lorenc**

CUKIERNIA

„ZIEMIAŃSKA"

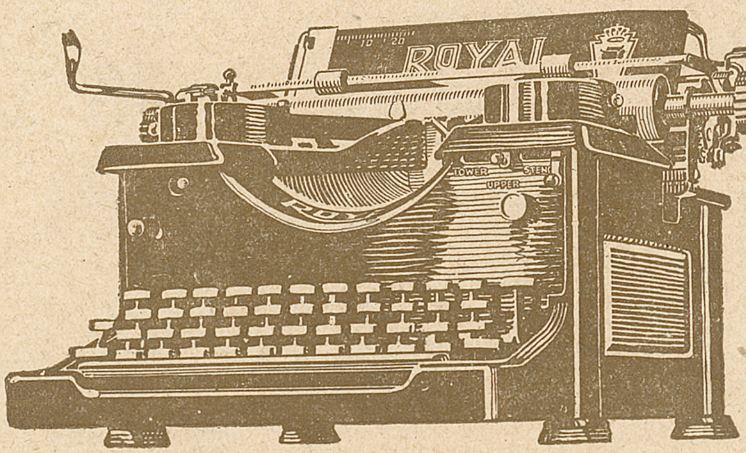
Albrecht & Skępski

Poleca swoje słynne z dobroci wyroby cukiernicze.

Warszawa

ul. Mazowiecka Nr. 12

ul. Marszałkowska Nr. 114.



Nie tylko zagranicą

na wystawach maszyny „**Royal**” otrzymały najwyższe odznaczenie,

Ale i u nas w Polsce

na Targach Północnych w Wilnie w r. b. pod protektoratem Marszałka Józefa Piłsudskiego maszyna

ROYAL

TRADE MARK
ROYAL TYPEWRITER COMPANY, INC.

otrzymała

ZŁOTY MEDAL

Jeneralne Przedstawicielstwo na Polskę

„PACIFIC“

Spółka Akcyjna

Warszawa, Al. Jerozolimskie 25. Telefon 117-80

Drukarnia: Piotr Pyz i S-ka, Warszawa, Miodowa 8.